

Oparta na faktach przejmująca powieść o sile matczynej miłości

# Diney Costeloe

# Skradzione dziecko



Diney Costeloe

# Skradzione dziecko

PRZEŁOŻYŁA  
Anna Sauvignon



*Pat i Terry'emu Brookshawom w dowód oddania i wdzięczności za wszystko.*

# Spis treści

Okladka

Karta tytułowa

Prolog

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

49

Epilog

Podziękowania

Karta redakcyjna

## Prolog

**T**uliła go tylko przez chwilę, drobne stworzonko o włoskach jak puszek i zaciśniętych oczkach w sonej buzi. Położna na widok niemowlęcia niemal wydarła je z ramion Maggie. Roger, od dawna upragniony, najukochańszy skarb, został jej odebrany, a asystująca pielęgniarka odwróciła wzrok, skupiona na uprzątnięciu splamionej pościeli.

- Nie! – zawyła Maggie rozpaczliwie, na co kobieta zbliżyła się do łóżka.
- Spokojnie, wszystko w porządku – wymruczała kojąco. – Siostra go tylko zważy i umyje.
- Moje dziecko... – zabrzmiał rozdzierający szepet. – Dajcie mi Rogera.
- Niech tylko obejrzy go lekarz – zapewniła starsza akuszerka. – Teraz trzeba odpocząć.
- Gdzie Colin? – wychrypiała Maggie resztką sił. Długi i trudny poród wyczerpał ją ponad miarę.

Pragnęła jedynie zasnąć z miękkim ciałkiem przy piersi, rozkoszując się pierwszymi chwilami rodzicielstwa wspólnie z mężem.

W gabinecie obok lekarz westchnął na widok noworodka. Poród był zdecydowanie przedwczesny, ledwie w siódmym miesiącu, i trwał o wiele za długo. Matka parła z trudem i zanim przyszło do użycia kleszczy, dziecku zabrakło tlenu. Wśród gorączkowego poruszenia padły dyspozycje, podjęto czynności reanimacyjne, lecz krucha istotka wkrótce dała za wygraną. Kilku godzinne życie zgasło, zanim się rozpoczęło.

Nieświadoma niczego Maggie zapadła w głęboki sen, a po przebudzeniu ujrzała obok siebie skurczoną z bólu twarz męża.

- Nie – stwierdziła kategorycznie. – Nie Roger. Żył i był ciepłutki, gdy go dotykałam.
- Przykro mi, kochanie, nie zdążył złapać tchu.
- Nieprawda! – wykrzyknęła. – To pomyłka. Oddajcie mi Rogera! – Odrzuciła kódrę w przypiływie zawziętości. – Chcę mojego synka. Gdzie on jest?

Colin nie zdołał jej powstrzymać, lecz gdy tylko dźwignęła się do pionu, grunt uciekł jej spod nóg i zemdląła w objęciach męża.

# 1

Ciszę nocnego nieba rozpruł donośny ryk. Kolejny nalot. Mieszkańcy Plymouth na moment wstrzymali oddech i na oczekaniu podjęli ewakuację. Patrolujący ulice David Shawbrook pośpieszył do bazy. Nancy czuwała w domu nad uspionymi dziećmi. Zaraz po pierwszym sygnale zapędzi całą gromadkę do schronu na końcu ulicy. W ich ogrodowym bunkrze trudno się było pomieścić w szóstkę z niemowlęciem, a siedmioletnia Angela fatalnie znosiła to miejsce, więc przy odpowiednio wczesnym ostrzeżeniu woleli dołączać do sąsiadów w zbiorowym schronie przy Parham Road.

Ponaglana przez matkę dzieci po omacku wypęły z łóżek i posłusznie podążyły za nią w dół nieoświetlonej ulicy. Na skrzyżowaniu utworzył się już zator okolicznych mieszkańców, a kolejni nadciągali zewsząd całymi rodzinami.

Wśród Shawbrooków brakowało jedynie Very. Za młoda na kurs pielęgniarek wzorem siostry Muriel i na służbę wojskową jak pierworodny Tony, rezydentna osiemnastolatka wieczorami pracowała w pubie Lord Howard. Tego dnia umówiła się na drinka po godzinach z kolegą zza baru.

„Tacie wypada nocny dyżur, a mama pójdzie spać – pomyślała dziewczyna. – Nie zauważaj, że wrócę później. A nawet gdyby – zadrżała w podnieceniu – warto zaryzykować”.

Przez cały wieczór czekała, aż George zamknie lokal i wreszcie zostawi ich samych. Charlie miał takie piękne kasztanowe oczy i czarujący uśmiech. Znowu poczuła dreszcz.

Na dźwięk syren chłopak chwycił ją za rękę i wyciągnął na dwór.

– Prędej – ponaglał, gdy z oddali dobiegł złowrogi pomruk, a po dachach przemknęły snopy światła. Charlie zerknął w niebo z niepokojem. Mieli niewiele czasu. – Pośpiesz się!

– Nie mogę – załkała Vera, z trudem nadążając w drogocennych szpilkach. Włożyła je specjalnie z okazji wieczornej randki, lecz teraz łamała nogi na nierównym bruku.

– Zdejmij buty! – zawołał Charlie.

Vera posłuchała, choć biec na bosaka po zimnych kocich łbach wcale nie było łatwiej.

Warkot nad ich głowami narastał, gdy wreszcie dopadli wejścia i zbiegli do podziemi, gdzie Vera odnalazła mamę i rodzeństwo.

– Vera! – Nancy w popłochu zdała sobie sprawę, że z troski o maluchy nawet nie spostrzegła nieobecności córki. – Gdzie byłaś? Powinnaś wrócić dawno temu! – natarła gniewnie, lecz na widok Charliego zaniemówiła ze zgrozy. Młodzi najwyraźniej przybiegli razem prosto z baru. – Gdzie Freddie? – wychrypiała, spoglądając z trwogą na córkę.

– Jak to gdzie? Z tobą – odparła dziewczyna.

– Przecież ty go zabierasz!

W przećwiczonym scenariuszu rodzinnej ewakuacji Verze przypadł nadzór nad Freddie, kiedy mama strzegła pozostałych dzieci.

Jedynie rodzice oraz najstarsze rodzeństwo wiedzieli, że Freddie był synkiem Very. Gdy pewnego dnia w środku zimy wyznała, że dała się uwieść przystojnemu marynarzowi na przepustce i spodziewa się z nim dziecka, Shawbrookowie wzięli ciężar na siebie i adoptowali wnuka. Sąsiedzi domyślili się prawdy, lecz obyło się bez komentarzy. Dziadkowie w roli rodziców nie stanowili rzadkości, a młodzi członkowie rodziny naturalnie przyjęli fakt, że w któreś czerwcowe popołudnie mama powiła nowego braciszka.

„Lepiej, by nie wiedział – rozważała Nancy z ledwie kilkugodzinnym maleństwem w ramionach. – Może gdy dorośnie”.

Jednak na swój sposób zaczęła przygotowywać grunt. Od początku Vera miała obowiązek opieki nad małym, a po znalezieniu pracy musiała płacić matce pięć szylingów tygodniowo za pomoc. Wobec coraz częstszych alarmów Nancy powierzyła jej chłopca w trakcie nocnych ucieczek.

Tego wieczoru Vera była poza domem, a na dźwięk syren pobiegła wraz z innymi do schronu, przekonana, że mama zadba o dzieci. Okazało się, że nie o wszystkie. Nie pomyślała o Freddiem. Vera też nie. Dziewięciomiesięczne niemowlę, oczko w głowie całej rodziny, zostało samo w domu.

Z sercem w gardle Vera wypadła ze schronu i puściła się bosą ulicą, ścigana okrzykiem matki.

– Zostań w Andersonie!

Ogłuszający ryk wrogich bombowców przybrał na sile wraz z otwarciem ich żelaznych podbrzuszy, z których sypaną śmiercionośny grad. Zdjęta lękiem o synka Vera parła do przodu wśród płomieni, nie zważając na poranione stopy, gdy nagle ziemią wstrząsnął przeraźliwy huk i zaległa ciemność.

W schronie Nancy odchodziła od zmysłów z niepokoju i bezsilności. Vera była sama na zewnątrz pod ostrzałem. Pozostawało się modlić, by zdołała ocaleć z dzieckiem w przydomowej ziemiance. Wśród apokaliptycznych odgłosów na powierzchni Nancy ciasno objęła najmłodsze córeczki, jakby to mogło je osłonić przed rażeniem bomb. Dwaj starsi chłopcy przycupnęli obok, usiłując odróżnić wrogów od sprzymierzeńców po jazgocie silników. Ta zabawa pozwalała im zająć myśli w ciągu długich godzin inwazji.

– Chcę do domu! – załkała Angela. – Nie lubię bomb.

– Ja też nie – szepnęła Nancy. – Ale musimy być dzielni, aż odlecą. Niedługo będzie po wszystkim.

– Słowo? – padło żałośnie z ust dziewczynki.

– Oczywiście. Chodź na kolana. Zaśpiewamy coś?

– *Stary Donald farmę miał!* – wykrzyknęła Winnie, przywierając do matki z drugiej strony.

– Najpierw spytałam Angel, więc *Stary Donald* pójdzie w drugiej kolejności – rozstrzygnęła Nancy.

– Co wybierasz, kochanie?

– *Płyn, płyn łódką swą* – odparła Angel.

– To dla maluchów – prychnęła Winnie pogardliwie.

– W sam raz na rozgrzewkę – uznała Nancy. – Gotowe?

Przy akompaniamentem spadających pocisków zanuciły popularną melodię. Stopniowo dołączyły do nich pozostałe udręczone głosy. Po *Starym Donaldzie* nastąpiły kolejne przeboje, a gdy wyczerpali repertuar, obietnica Nancy się spełniła. Samoloty zawróciły ku morzu, do bazy we Francji, zostawiając za sobą krajobraz ruiny i pożogi. Jeden z nich, jakby w poczuciu niedosytu, jeszcze raz zatoczył koło nad gorejącym śródmieściem, uwalniając resztę zabójczego ładunku. Pożegnalny popis brawury ambitnego pilota zdążył storpedować domy, sklepy, biura... i schron przy Parham Road.



W głużej ciszy po odwrócie nieprzyjaciela z wolna odezwały się szlochy i nawoływania. Wychodzący spod ziemi ludzie przecierali oczy ze zdumienia. W miejscu miasta zastali gruzy strzaskanej zabudowy, z których gdzieniegdzie sterczały płonące szkielety wyższych kondygnacji.

David Shawbrook przetrwał szturm w jednostce straży. Na czas ofensywy wstrzymano patrole, za to teraz poszczególne oddziały rozproszyły się po okolicy. Służby ratunkowe penetrowały zgliszcza, próbując zduścić pożary i uwolnić ocalałych z ruin przed powrotem nieprzyjaciela. Wyszczerbione kikuty kamienic chwiały się w posadach, w każdej chwili grożąc zawaleniem, a te, które raz po raz ulegały sile grawitacji, pogrywały sobie z życiem ratowników niosących pomoc. W schronie przy Parham Road po ostatnim zrzucie nie było czego szukać.

Równy z dźwiękiem syren jedenastoletni Ernie Drake schronił się z mamą w składziku pod schodami. Nie mieli innej kryjówki, a Jane nie chciała słyszeć o przemykaniu ulicami do zbiorowego schronu. Przyłgnęli do siebie w ciemności, słuchając kanonady dział przeciwlotniczych, skowytu pancernych sępów i kolejnych serii detonacji targających miastem. Szturm zdawał się trwać w nieskończoność, choć wybiła zaledwie północ, gdy odwołano alarm i odważyli się wyjść. Przy łatarce wypili po kubku kakao, a następnie udali się do łóżek z nadzieją na choćby kilka godzin snu.

Sam w mrocznym pokoju, Ernie nie mógł zasnąć, przewijając w myślach wypadki minionego wieczoru. Żaden z wcześniejszych ostrzałów nie wydawał się tak długi i intensywny. W dziupli pod schodami miało się wrażenie, że ściany wokół pękną pod naporem ognia. Względny spokój w końcu go ukołysał, lecz dokuczliwe wizje podsycane zamieszczeniem na zewnątrz na nowo kazały mu się ocknąć ze świadomością zgiełku na ulicach, łoskotu uprzątanego gruzu, pokrzykiwań, dzwonek straży pożarnej i ogólnego przygnębienia. W pełni rozbudzony Ernie odsłonił okno. Do świtu pozostało jeszcze trochę czasu, lecz na niebie jaśniała luna pogorzeliśka. Chłopiec z zapartym tchem wychylił głowę, by nieco dalej odkryć wyłom po apartamentowcu, z którego zostały jedynie odłamki cegieł i szkła zaścielające bruk. Pozbawiony dachu dom po sąsiedzku dymił jak odkryty garnek. Na tle buchających płomieni uwijały się czarne sylwetki ludzi walczących z żywiołem.

Ernie chłonął widok z lękiem i ekscytacją. Całkiem zapomniał o spaniu, śpieszno mu było na dwór. Wspólnie z kolegami prześcigali się w tropieniu wojennych artefaktów. Po takim natarciu jak ubiegłej nocy rumowisko niechybnie kryje w sobie wiele cennych skarbów. Gdyby pobiegł zaraz, zyskałby przewagę nad Joem i Sidneyem, a po kilku wymianach stałby się posiadaczem najbogatszej kolekcji w klasie.

Ubrał się i na palcach przemknął przez podest. Zza uchylonych drzwi sąsiedniej sypialni dobiegał miarowy oddech mamy. Mało prawdopodobne, by zerwała się przed dzwonkiem budzika, a do tego czasu on dawno będzie z powrotem. Bezszelestnie pokonał schody, z rozwągą omijając drugi stopień od dołu, który potwornie skrzypiał. W progu jeszcze raz nastawił uszu i uspokojony wyslizgnął się za drzwi.

Mimo wczesnej pory na ulicy roilo się od ludzi. Nieco dalej prowadzono akcję gaśniczą domu bez dachu, a powracający ze schronów mieszkańcy snuli się dookoła, porażeni ogromem szkód. Co odważniejsi jęli odwalać gruzy wysadzonego bloku, usilnie wypatrując oznak życia. Nad wszystkim unosił się krwawy dym i śwąd spalenizny.

Mały szeregowiec przy Haversham Road, w którym mieszkał Ernie, ucierpiał nieznacznie, lecz sąsiednie budynki nie miały już tyle szczęścia. Zapuszczając się coraz dalej z chrzęstem szkła pod stopami, chłopiec odkrywał kolejne spustoszenia, poważniejsze niż na pierwszy rzut oka. Rzędy kulawych kamienic słaniały się niebezpiecznie jak potrącone domino, a bliźniak na rogu, rozłupany na

pół niby nożem, eksponował wnętrze obu pięter. Ernie dostrzegł patrol krążący od drzwi do drzwi i uskoczył w boczną uliczkę. Było tu mniej ludzi, choć na jednej z działek nie zostało nic oprócz gruzu, a sąsiednie zabudowania z trudem trzymały pion. Trochę dalej brygada strażaków toczyła strumienie wody w pełgające szczątki pubu Lord Howard. Ernie obserwował akcję z bezpiecznej odległości, by go nie przepędzono. Szukanie wojennych trofeów w tych warunkach było zbyt ryzykowne.

Niewygasty żar bronił się z sykiem, posyłając w niebo kłęby czarnego dymu. Co powie tata przy okazji najbliższej przepustki na widok tej zwęglonej skorupy w miejscu swojego ukochanego pubu?

Chłopiec postanowił dyskretnie się wycofać, gdy wtem z jednej z pokiereszowanych ruin dobiegł go płacz dziecka. Ernie czujnym okiem zlustrował otwór po wyrwanych z zawiasów drzwiach i mroczny korytarz w głębi biegnący wzdłuż schodów przy ścianie. Cała konstrukcja zdawała się niepokojąco chwiejna i wypaczona. Podszedł bliżej i wycężył słuch. Nie było wątpliwości. W domu zawodziło niemowlę. Chłopiec ruszył naprzód, aż nagle ciężka dłoń spadła mu na ramię i usłyszał nad sobą szorstkie:

– Co tu robisz, młody człowieku?

Ernie zadarł głowę, by napotkać surowe oblicze rosnącego policjanta.

– N-nic... – wyjąkał w popłochu.

– Wyszedłeś na szaber, co?

– Nie – zapewnił żarliwie Ernie. Wiedział, jak karano szabrowników. – Nie robiłem nic złego.

– Na moje oko zamierzałeś spłądować ten dom – nastawał policjant.

– Nie, przysięgam, że nie – zaprzeczył prędko Ernie. – Tylko zdawało mi się, że ktoś tam jest.

– Popatrz no! – Sierżant Colin Peterson w duchu docenił refleks łobuza. – Że też ja nie nic... – Urwał, gdy wnętrze domu wypełnił donośny lament, pełen nieskrywanej pretensji i zniecierpliwienia.

– Mówiłem – burknął Ernie zaczepnie.

Colin Peterson wzmocnił uścisk na ramieniu chłopca, odsuwając go od budynku.

– Nie ruszaj się stąd na krok. Zaraz wracam.

– Wejdzie pan do środka? – Ernie rozwarł oczy z niedowierzaniem.

– Skoro tam jest żywe dziecko, trzeba je wydostać.

Malec obejrzał się na strażaków dogaszających pub.

– Może ich zawołać? – podsunął.

– Mają dość na głowie – uciął funkcjonariusz. – Szkoda czasu, tylko patrzeć, aż strop się zawali. – Otoczył chłopca ramieniem. – Zostań tu i nie wchodź choćby nie wiem co, jasne?

Zelektryzowany Ernie kiwnął głową.

– A gdyby naprawę doszło do zawału, sprowadź pomoc.

– Dobrze – zapewnił malec solennie i drżącym głosem dodał: – Proszę na siebie uważać.

– Spokojna głowa, mały. Wróć, nim się obejrzysz. – Funkcjonariusz łagodnie klepnął chłopca w plecy. – Stań tam i nie podchodź.

Ernie posłusznie podreptał na drugą stronę ulicy.

Jakby w ramach ponaglenia kilka luźnych dachówek z grzechotem spadło na chodnik i roztrzaskało się w chmurze pyłu.

– Ostrożnie! – Ernie odruchowo uskoczył.

Płacz dziecka przeszedł tymczasem w natarczywe wycie, wzywając Colina do działania.

– Idę.

Objął wzrokiem nadwątloną rudere, wziął głęboki oddech i przestąpił próg. Teraz albo nigdy.

Ernie z bijącym sercem śledził jego poczynania z oddali. Straciwszy sierżanta z oczu, niespokojnie zerknął w stronę spopieliałego pubu. Strażacy zwijali węże i drabiny, szykując się do następnej interwencji. Odjadą, nim policjant zdąży ich zawołać.

W korytarzu Colin zmierzył nieufnym spojrzeniem schody na piętro. Dolna część sprawiała dość solidne wrażenie, lecz kolejne stopnie balansowały w próżni, oderwane od ściany. Kto wie, czy udźwigną jego ciężar. Może jednak należało posłać smyka po straż pożarną? Znacznie łatwiej byłoby dostać się na piętro po drabinie przystawionej do okna. Ale to wymagało czasu, a budynek stał na słowo honoru.

Mężczyzna przywarł do poręczy przy ścianie i wypróbował pierwszy schodek, a znalazłszy stabilne oparcie, czujnie zrobił krok wyżej. Płacz dziecka nie milknął, więc policjant wbił wzrok w górny podest, by noga za nogą mozolnie piąć się po zwichrowanych stopniach. Na górze odkrył rozległą wklęsłość w podłodze wokół resztek ściany między pokojami. Przesuwając się po obrzeżach, dotarł do drzwi sypialni od strony ulicy. W środku oprócz wersalki i tapczanu ujrzał dziecięcy kojec, a w nim nieszczęśliwą istotkę uczipioną prętów.

– Już dobrze – zamruczał łagodnie. – Poczekaj na wujka.

Omiótł spojrzeniem parkiet dzielący go od łóżeczka. Wyglądał dość pewnie, lecz Colin w razie czego wybrał trasę wzdłuż mebli, sprawdzając kolejno każdą klepkę.

Bobas z przejęcia stracił równowagę i klapnął na materac, by obserwować rozwój sytuacji poprzez szpary.

– Jak się masz? – szepnął Colin, biorąc dziecko na ręce.

Rozpalony, mokry od łez policzek przylgnął do jego szyi. Policjant wyczuł wilgoć w śpioszkach, lecz w polu widzenia nie było świeżych pieluch, tylko kilka zbyt obszernych ubranek wisiało na oparciu krzesła. Mniejsza o to, byle uszli z życiem.

W tej samej chwili w pobliżu rozległ się przeraźliwy łoskot. Colin zdwoił czujność, zawadzając wzrokiem o sfatygowanego misia pandę z fioletową kokardką w narożniku kojca. Niewiele myśląc, sięgnął po maskotkę i zawrócił do drzwi. Na podeście usłyszał z dołu głos Erniego:

– Proszę pana! – Chłopiec niepewnie zaglądał do środka. – Wszystko w porządku?

– Zabieraj się stąd, ale już! – ryknął funkcjonariusz.

Przerażony dzieciak posłuchał, dzięki czemu Colin mógł skupić uwagę na kolejnych ruchach. Wymacał stopą krawędź, wprawiając w drganie całą klatkę schodową. Chwycił się więc poręczy, by jak najbardziej odciążyć chybotaławe stopnie, i praktycznie zbiegł na dół i dalej na ulicę, gdzie Ernie wlepił w niego wylęknione oczy.

– Mówiłem, że tam jest dziecko – zauważył, schylając się po upuszczoną w ostatniej chwili zabawkę. Otrzepał ją i podał małemu, lecz niemowlę, wyczerpane płaczem, zasnęło na ramieniu swojego wybawcy.

– Daj. – Policjant wepchnął sobie pluszaka do kieszeni. – Jak się nazywasz?

– Ernie Drake.

– Nie wiem, skąd się tu wziąłeś zaraz po nalocie, ale dzielny z ciebie młodzieniec, Ernie Drake. Ten kajtek zawdzięcza ci życie.

– I panu – zrewanżował się Ernie. – Nie każdy miałby tyle odwagi, by tam wejść, kiedy wszystko zaraz gruchnie.

Na dowód prawdziwości jego słów kolejny rząd dachówek rozbił się o chodnik.

– Prawda – przyznał Colin. – I dlatego trzymaj się od takich miejsc z daleka.

– Co pan z nim zrobi? – Ernie wskazał głową śpiącego dzidzusia.

– Zaniosę go do punktu ratunkowego. Tam bezpiecznie poczeka, aż ktoś się po niego zgłosi.

– Gdyby komuś na nim zależało, nie zostałby sam w domu – stwierdził chłopiec celnie.

– To umieszczą go w domu opieki. Tak czy siak trzeba to zasygnalizować, a nuż znajdzie się jakiś bliski. – Colin popatrzył na dziecko. Nie potrafił ocenić jego wieku, lecz bobas ważył swoje. – Nie mam nawet pojęcia, czy to chłopiec. Widzisz numer domu?

Ernie zmrużył oczy, dostrzegając tabliczkę przy framudze.

– Dwadzieścia jeden – przeczytał.

– Suffolk Place dwadzieścia jeden – powtórzył Colin ku pamięci, po czym dodał służbowym tonem:

– Zmykaj do domu. Nie wolno się tu kręcić, i do tego bez maski. Raz-dwa, twoja mama pewnie szaleje z niepokojem.

Jak na zamówienie zegar na pobliskim kościele wybił szóstą, uświadamiając Erniemu, że faktycznie mama wkrótce wstanie, a wtedy lepiej być w domu.

– Do widzenia. – Uniósł rękę na pożegnanie i pobiegł w górę ulicy.

– Świetnie się spisałeś! – krzyknął za nim sierżant, lecz chłopiec zdążył już zniknąć.

Colin poprawił bezwładny ciężar na ramieniu, a ufny oddech połaskotał go w szyję. Wiedział, co powinien zrobić, ale bił się z myślami. Tak zmasowany atak niewątpliwie pociągnął za sobą wiele ofiar. Bombardowanie objęło naraz całe miasto, dewastując kolejne dzielnice. Centra alarmowe będą pełne ludzi, którzy z dnia na dzień stracili dobytek. Nie wspominając o rannych i zdesperowanych. Tymczasem dziecku chyba nic się nie stało, było tylko mokre, zziębnięte i zapewne głodne. Oraz nieprzewinięte. Ratownicy i pomoc społeczna skupią się na najbardziej potrzebujących, a tej znajdzie wystarczy odrobina troski. Małaństwu będzie znacznie lepiej w domowym zaciszu pod opieką Maggie niż w zatłoczonym przytułku. Tylko co, gdyby ktoś go szukał? Choćby ten, kto porzucił je podczas napaści? Można przecież zgłosić to jutro, gdy zamieszanie przycichnie. Berbecz już najadł się strachu, szybciej wróci do siebie w atmosferze ciepła i czułości.

Pewien swego, Colin żwawym krokiem ruszył do domu, gdzie jak zawsze czekała na niego Maggie.

Poprosił o przeniesienie do Plymouth z nadzieją, że nowe miejsce pomoże jej się otrząsnąć.

– To świetna okazja – nalegał. – I do tego awans. Posterunkowy Peterson będzie panem sierżantem.

Maggie uśmiechała się bez przekonania, apatyczna i obojętna.

Ostatecznie uległa po śmierci matki chrzestnej Colina. Bliska przyjaciółka jego matki zapisała mu w spadku pięćset funtów. Niewyobrażalny majątek.

– Możemy kupić dom – kusił. – Pomyśl tylko. W Londynie nigdy nie będzie nas stać na własny kąt, ale w Plymouth znajdziemy coś dla siebie.

Ostatecznie przyjął stanowisko, lecz misja się nie powiodła. Mimo przeprowadzki Maggie wciąż nie pozwalała ranom się zabliznić. W trakcie którejś scysji Colin zarzucił jej egoizm, jakby zawłaszczyła sobie prawo do żałoby. Żona nie odezwała się do niego ani słowem przez wiele dni później i od tej pory dzielił ich chłodny dystans.

W nieznanym mieście Maggie przestała wychodzić i odcięła się jeszcze bardziej. Wyjazd z Londynu w niczym jej nie ulżył, zmiana otoczenia dała całkiem odwrotny efekt.

Wprawdzie podjęła się gospodarskich obowiązków, lecz nigdy nie poszła dalej po sprawunki niż pawilon na końcu ulicy. Unikała nowych sąsiadów i nie czyniła żadnych towarzyskich starań, gdy przypadkiem wpadła na nich w sklepie. Po wielokroć ignorowani lub odprawiani z niczym, okoliczni mieszkańcy niejako wspólnie uznali, że lepiej pozostawić nowo przyjezdnych samym sobie.

– Ten sierżant Peterson wygląda na porządnego człowieka – oceniła Elsie Jefferson w kolejce do rzeźnika, gdzie wraz z przyjaciółką Stellą Todd liczyły na świeże nerki lub ładny kawałek wątróbki z porannego przydziału. – Ale jego żona to istny soplek lodu. Nie sposób zamienić z nią słowa.

– Podobno... – Stella zniżyła głos, przysłaniając usta. – W trakcie nalotu na Londyn straciła kogoś bliskiego, bodajże brata... Ciężko to przeżyła.

– Każdy kogoś stracił – wypomniała Elsie. – Szwagier Paula, który był handlowcem, zaginął na morzu wiele miesięcy temu, ale jego siostra nie zamknęła się w domu, tylko zacięła zęby i próbowała żyć dalej.

– To chyba zależy od człowieka – skwitowała Stella, a w następnej chwili skupiła się na sprzedawcy i trudnym wyborze między parówkami i mortadellą, przy którym oziębła pani Peterson odpłynęła w niepamięć.

To był najgorszy pogrom do tej pory. Nigdy wcześniej Luftwaffe nie atakowała tak długo i zaciekle. Pierwsza fala jak zwykle rozpętała burzę ogniową.

„Nie czas żałować róż”, pomyślał David Shawbrook, chwytając za łopatę, by piaskiem zneutralizować jeden z syczących niewypałów. Wobec siły rażenia zasoby do walki z ogniem szybko się kończyły. Wraz z nadciągnięciem ciężkiej artylerii szturmującej przystań w Devonport i trakcję kolejowe David schronił się w sztabie straży. Przebywanie na zewnątrz pod nalotem zakrawało na samobójstwo.

Gdy zagrożenie minęło, dołączył do akcji ratunkowej, pracując nieprzerwanie aż do świtu. Pierwsze promienie słońca zza mgły odsłoniły smętne pobojowisko. Na ulicach przybywało ludzi i o poranku działania naprawcze ruszyły już pełną parą. Przetrzęsano zgliszcza w poszukiwaniu ofiar, transportowano rannych do punktów medycznych, w kościołach powstały czasowe składowiska ciał czekających na identyfikację i pochówek. Rzesze pozbawionych dachu nad głową oblegały ośrodki pomocy.

Będąc u kresu sił, David akurat wstąpił na kubek ożywczej herbaty, gdy przypadkiem usłyszał, co spotkało schron przy Parham Road. Wiadomość przyniosło dwóch mężczyzn, którzy wydobywszy ranną kobietę spod gruzów, przyszli zgłosić jej dane i adres szpitala.

– Trafiony bezpośrednio – relacjonował jeden.

– Bez szans – zgodził się drugi. – Kamień na kamieniu nie został.

– Gdzie? – spytała dyspozytorka Ruby Manson.

– Przy Parham Road. Było tam z sześćdziesiąt osób i trudno liczyć, by ktokolwiek przeżył.

Davidowi serce zamarło. Musiał się przesłyszeć albo mężczyzna coś pomylił.

– Co takiego? – zachrypiął, chwytając mówiącego za ramię, po czym podniósł głos: – Proszę powtórzyć!

Nieznajomy rzucił mu spłoszone spojrzenie.

– Bomba spadła centralnie na schron.

– Który? – David wzmocnił uścisk.

– Spokojnie – zareagował przybyły.

David opuścił ręce i z duszą na ramieniu wyszeptał:

– Który schron?

– Na rogu Parham Road.

Z nieludzkim skowytym David wypadł z dyżurki.

Mężczyźni spojrzeli po sobie. Łatwo było odgadnąć przyczynę dziwnego zachowania strażnika. Ruby z westchnieniem podniosła wzrok znad rejestru.

– To David Shawbrook. Mieszka w pobliżu Parham Road... – Urwała bez zbędnych słów.

W progę David zderzył się z wracającym z patrolu Paulem Jeffersonem.

– Cześć, Dave! Co to za alarm? – zawałał mężczyzna, osadzając przyjaciela w miejscu.

David wymamrotał coś beładnie, lecz Paul nie pozwolił się zbyć.

– O co chodzi?

– Podobno wysadzili schron... Co z Nancy... i dziećmi!

Drżenie w jego głosie ścięło Paulowi krew w żyłach. Shawbrookowie zwykle chronili się przy Parham Road.

– Puść mnie, muszę ich znaleźć! – David gwałtownie odepchnął mężczyznę.

– Poczekaj!

W dwóch pomknęli przez rozorane ulice aż na Kelsall Avenue. Na miejscu wessał ich tłum i dopiero po uciążliwych wysiłkach zdołali przedrzeć się przez gęstą ciżbę, zanim stanęli jak wryci na skraju wielkiego leju wypełnionego resztkami osmalonego betonu, blachy oraz drewna. Widok rozwiewał wszelkie nadzieje. Nie sposób przeżyć takiego uderzenia. Świadomość ta z wolna docierała do zgromadzonych, gdy kolejno bledli, ustępując na bok.

Nad głowami zebranych poniosł się szloch, a jeden mężczyzna zawałał:

– Patrzcie! Tam jest człowiek!

Nim ktokolwiek zdążył go powstrzymać, rzucił się na dno wyłomu, by pochwycić dłoń desperacko wystającą z ziemi. Zaraz jednak uskokzył z krzykiem pełnym grozy i na czworakach zwymiotował obok porzuconej kończyny przy wtórze trwożnego szmeru.

Paul odwrócił wzrok i objął przyjaciela, który wpatrywał się w scenę jakby zamroczony.

– Może to dłoń Nancy – rzekł głucho. – Wygląda na kobietę, więc niewykluczone.

– Nic tu po nas – powiedział Paul miękko. – Tu nikt nie ocalał.

David poderwał głowę.

– Może ich tu nie było? Może nie mieli czasu pobiec tak daleko i skryli się w Andersonie? Bombowce nadleciały zaraz po syrenach, prawda? – W jego głosie zadźwięczała błagalna nuta. – Nancy nie wypuściłaby dzieci z domu pod ostrzałem. Musieli zostać na podwórzu.

Ogarnął spojrzeniem wyłom pod stopami, po czym pędem zawrócił w kierunku Suffolk Place. Paul nie odstępował go na krok, okrucy zmiążdżonego szkła i tynku pryskały na boki. Na rogu Haversham Road puścili się w dół ulicy, by przystanąć przed jednym ze zdruzgotanych segmentów.

– Pewnie są w Andersonie!

Bez chwili namysłu David pobiegł do ogrodu na tyłach. W norze nie znalazł nikogo, nawet żadnych śladów czyjejś niedawnej obecności. Wnętrze tchnęło wonią pleśni i wilgoci, która zwykle pierzchała w ciepłe naftowej kuchenki. David powiódł wzrokiem dookoła, rejestrując nietknięte posłania na piętrówcach, wypełnioną puszkę herbatników oraz zimny palnik, i z zawodem wypetłzył na powierzchnię.

Paul czekał w ogrodzie. Nie znajdując słów pocieszenia, otoczył przyjaciela ramieniem i wyszli na ulicę. David z dławieniem w gardle spozjrzał na szczątki domu, w którym mieszkali z Nancy od ślubu ćwierć wieku wcześniej. Może zdoła coś uratować? Pal licho tych kilka kosztowności, zależało mu raczej na bliskich sercu pamiątkach.

– Wchodzę – oznajmił i bez chwili wahania zniknął w otworze po wyłamanych drzwiach.

Korytarzem dotarł do kuchni – ich domowego ogniska. W progę omiół spojrzeniem dobrze znane wnętrze. W poprzek okna biegła czarna taśma, którą własnoręcznie zabezpieczył pękniętą szybę. Na blacie obok zlewu piętrzył się stos brudnych naczyń, a na wystygłej kuchence stał rondel z jedzeniem.



Jedno z krzeseł leżało na podłodze, jakby ktoś zerwał się w pośpiechu od stołu. Bardzo prawdopodobne. Alarm zabrzmiał około siódmej, akurat w trakcie kolacji.

Kątem oka dostrzegł puszkę po herbacie, w której trzymali pieniądze na czynsz i rachunki. Wytrząsnął zawartość, wcisnął sobie banknoty do kieszeni.

- Dave! – dobiegł z ulicy zaniepokojony głos Paula. – Wychodź, stary! Długo nie ustoi.
- Zaraz! Tylko zajrzę na górę.
- Nie wygłupiaj się! Życie ci niemiłe?
- Bez obaw – odparł David, sprawdzając wytrzymałość dolnego stopnia.

Niczym Colin Peterson przed godziną przebył klatkę schodową na wycucie. Na piętrze wślizgnął się do jedynej dostępnej sypialni i bezradnie stanął pośród pustych łóżek młodszych dzieci. Jego maleństwa zginęły, rozerwane na strzępy przez nazistowskich zbirów. Długo tłumione łzy pociekły, gdy pomyślał o Tonym gdzieś na północy Afryki i Muriel w szpitalu w Portsmouth. Dla nich musiał żyć dalej, byli wszystkim, co mu zostało.

W ostatniej chwili przed wyjściem jego uwagę przykuły ślady stóp na pokrytym pyłem parkiecie. Z narastającą pasją przeszedł wzrokiem wytyczony na ziemi szlak. Tego ranka ktoś już węszył po domu. Jakiś parszywy złodziej zdążył rozgościć się w progach tego, co zostało z siedliska dotkniętej rodziny, i obłowić się na jej nieszczęściu.

Gdyby kiedykolwiek spotkał nikczemnika, który wolał ograbić swoich, niż pomóc w walce z najeźdźcą, David nie ręczył za siebie. Zgrzytając zębami, wycofał się na parter. W holu dostrzegł szalik Nancy na wieszaku, wzdymany podmuchem wiatru. Na moment ukrył twarz w miękkich fałdach wełny przesyconych zapachem żony, po czym owinął go sobie wokół szyi i wyszedł na ulicę ku niepomiernej uldze towarzysza. Mężczyzna jeszcze raz zerknął za siebie. Gruntowne naprawy postanowił odłożyć na później. Najpierw trzeba znaleźć sobie jakiś ką.

Widok policjanta z uśpionym niemowlęciem nie zwrócił niczyjej uwagi. W obliczu tragedii ludzie zakasali rękawy, by ratować, cokolwiek się da. Mijając kolejne pożary i rumowiska, Colin przyspieszył kroku, tknięty niepokojem. Dopiero na zakręcie kamień spadł mu z serca. Mimo wszechobecnych śladów spustoszenia jego piętrowiec wciąż stał bez widocznego uszczerbku. Jakby nic się nie wydarzyło, odkąd poprzedniego wieczoru sierżant wyszedł na patrol. Zwyczajowo nie omieszkął przed wejściem z dumą spojrzeć na swoją posiadłość. Segment wtulony w szereg identycznych szaraków o ciemnozielonych drzwiach i framugach okien na którymś zakręcie historii przerobiono na dwa mieszkania. On i Maggie urządzili się na parterze z dostępem do piwnicy, czerpiąc dodatkowe dochody z wynajmu pięttra z poddaszem bezdzietnemu małżeństwu Clayów. Ale poza przelotnym pozdrowieniem w sieni obie pary unikały bliższych kontaktów.

– Cenię sobie prywatność – wyznała sąsiadce pani Clay – ale ona nie wystawia nosa za próg.

Tym bardziej pod ostrzałem Luftwaffe. Z pierwszym ostrzeżeniem Maggie bezzwłocznie chroniła się w piwnicy, gdzie zainstalowała kanapę oraz piecyk i lampę naftową na wypadek awarii prądu. Zostawała tam zazwyczaj wiele godzin po odwołaniu alarmu, aż do powrotu męża.

– Piwnica jest głęboka – tłumaczyła, gdy Colin próbował ją przekonać do ziemianki w ogrodzie. – Nienawidzę tej zawilgłej nory, a tu będę bezpieczna. Znacznie bardziej niż ty na ulicy z bombowcami nad głową.

– Mogłabyś dołączyć do Clayów w publicznym schronie – sugerował mąż.

– Dziękuję, obejdzcie się. Nie wytrzymam w zamknięciu z obcymi. Wolę zaryzykować – powtarzała uparcie, aż Colin dał za wygraną.

Bobas zakwilił żałośnie, więc mężczyzna nie zwlekał dłużej.

– Maggie! Wróciłem, możesz już wyjść! – zawołał jak zawsze.

Zgodnie z oczekiwaniem drzwi do piwnicy skrzypnęły.

– Colin! Dzięki Bogu – wykrzyknęła Maggie. – Nawet tam można było ogłuchnąć... – Urwała na widok tłumoczka w ramionach męża. – Co to za dziecko? Pokaż.

Colin delikatnie uwolnił kołnierz kurtki z uścisku drobnych paluszków i podał jej małą bekę.

– Nie wiem.

Maggie przygarnęła niemowlę, pociągając nosem.

– Wiadomo, od czego trzeba zacząć. Chodźmy do kuchni, bo cieplej. – Wręczyła Colinowi lepki ciężar. – Potrzyмай, aż znajdę coś w rodzaju pieluszki.

Na powrót w objęciach policjanta, niemowlę podniosło krzyk, więc z braku pomysłu mężczyzna zaczął niezdarnie podrygiwać, mrużąc dla ukojenia.

Tymczasem Maggie wróciła ze starym ręcznikiem, który rozdarła na czworo, po czym uwolniła dziecko z przemoczonych śpioszków na blacie obok zlewu.

– Biedaku! – wykrzyknęła na widok zużytej pieluchy chłopca. – Zaraz cię umyjemy.

Colin usiadł za kuchennym stołem, śledząc zabiegi żony i jej twarz rozświetloną czułością. Pierwszy raz od śmierci ich synka było od niej szczęście.

Maggie umiejętnie zanurzyła dziecko w wypełnionym ciepłą wodą zlewie i wypucowała wiotkie ciało, by następnie osuszyć je skrawkiem ręcznika, podczas gdy drugi posłużył za pieluchę.

– Wyniosę to. – Colin sięgnął po cuchnące zawiniątko, lecz żona powstrzymała go gestem.

– Lepiej uprać, jeszcze nieraz się przyda. – Z maleństwem przy piersi zanurzyła twarz w puchu ciemnych włosów.

– Uprać to? – Mąż z niesmakiem ocenił zawartość zużytej pieluchy.

– Oczywiście. A co będzie jutro?

– Jutro – podjął Colin – zaniosę go do ośrodka. Pomyślałem, że dziś nie warto zawracać im głowy, a u nas łatwiej doszedłby do siebie.

– Bardzo słusznie. – Żona obdarzyła go „uśmiechem Maggie”. – Z ich pomocą najwyżej wylądowałby w jakimś bezdusznym sierocińcu. Naturalnie, że lepiej mu będzie z nami. Nikt tak o niego nie zadba. – Nachyliła się nad oseskiem. – Czas na śniadanie, prawda? Musisz być porządnie głodny, nieboraku. – Z malcem na biodrze zakrzętała się po kuchni. – Bądź tak miły i postaw garnuszek na ogniu – poprosiła męża, sięgając po dzbanuszek mleka w lodowni za oknem.

– Jak go nakarmisz bez smoczka? – zafrasował się Colin.

– Spróbujemy po łyżeczce z filizanki. Albo namoczę trochę rozdrobnionego chleba, może zdoła przełknąć. W końcu to już duży chłopak, prawie dziewięć miesięcy.

Colin wlepił w żonę zdumione spojrzenie.

– Jak to? Skąd wiesz?

Maggie roześmiała się dźwięcznie.

– Skąd wiem? Jak to skąd? Chyba jeszcze pamiętam, kiedy mój syn przyszedł na świat.

– Twój syn? – powtórzył mężczyzna z niedowierzaniem.

– Nasz – poprawiła się Maggie, rozpromieniona jak dawniej.

Policjant w milczeniu zdjął rondel z palnika. Mały podrzutek sprawił żonie taką radość, że Colin nie miał serca psuć nastroju. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki powróciła jego dawna Maggie. Duch, którym stała się po śmierci Rogera, zniknęła, a kobieta z dzieckiem na podołku wsuwająca kolejne porcje chleba w rozdziawione usteczka była obrazem siły i tkliwości. Dzidzius pałaszowała żwawo, jakby dawno nie jadła.

– Ależ był wygłodzony. – Maggie wyraziła na głos myśli męża.

Umościła sobie brzdąca na ramieniu, by lekkim poklepywaniem wymusić zdrowe beknięcie, a na koniec, szemrząc łagodnie, utuliła dziecko do snu.

– Mogę przynieść szufladę z komody w schowku – zaproponował Colin. – Pościelimy mu.

– Dobry pomysł – przyznała Maggie, nie chcąc wypuścić malca z objęć. – Na razie wystarczą szuflada i koc z naszej sypialni. Jutro pomyślimy o czymś wygodniejszym.

Colin wyszedł z kuchni, ale słowa żony wciąż dźwięczały mu w uszach. „...prawie dziewięć miesięcy...”, „...mój syn...”. Roger miałby dziś dziewięć miesięcy. Tyle że to nie był Roger. Roger umarł.

Czy aby nie wyrządził więcej szkody niż pożytku, przynosząc malca do domu? Maggie na pewno zdaje sobie sprawę, że to przejściowa sytuacja? Colin postanowił chwilowo nie wracać do tematu

i ustalić plan jutro rano. Tym bardziej że jego przewidywania co do kryzysu służb ratunkowych okazały się trafne. Każdy w mieście coś lub kogoś stracił, kogoś poszukiwał lub zwyczajnie nie miał gdzie się podziąć. Chyba lepiej, by ktoś taki jak Maggie zapewnił małej zgubie opiekę przez pewien czas. Utwierdzony w swojej słuszności, Colin wrócił do kuchni z kocem i szufladą pod pachą. Maggie uwiła posłanie i przysiadła nad uśpionym chłopcem, sporządzając w myślach listę potrzeb. Przypomniała sobie wielki kufer jeszcze z Londynu, który od przewodniczki gnił nieotwarty w piwnicy. Postanowiła przejrzeć jego zawartość, gdy zostanie sama.

Policjant poszedł spać przed kolejnym nocnym dyżurem. Musiał być w formie, aby stawić czoła nie tylko agresji wroga, ale także sformom łupieżców plądrujących miasto. Skradzione przedmioty często przedstawiały znikomą wartość materialną, lecz znaczyły wszystko dla ich właścicieli. Ten gagatek Ernie to jedynie przykład, choć nawet Colina zaskoczył młody wiek rabusia. Trzeba jednak przyznać, że ocalił życie pędrakowi. Wprawdzie to on, Colin, wyniósł dziecko z rozbitego budynku, lecz gdyby nie chłopak, w wojennej zawierusze prawdopodobnie nikt by nie usłyszał kwilenia.

Oby tylko Luftwaffe nie wróciła kolejnej nocy. Bardzo prawdopodobne, zważywszy, że wiele punktów miasta nadal stało w ogniu, oświetlając drogę do celu. W każdym razie sierżant Peterson będzie wieczorem gromił szabrowników na ulicach aż do zawycia syren.

Po wyjściu męża o zmierzchu Maggie udała się do piwnicy i wyciągnęła na środek wielki kufer. Przyjechał z nimi z Londynu, choć nie miał już być potrzebny. Po śmierci Rogera usłyszała, że nigdy nie będzie matką. Przy tak zdeformowanej macicy to podobno cud, że synek w ogóle przyszedł na świat. Na tym zakończyła się historia dwóch poronień i z trudem donoszonej do siódmego miesiąca ciąży. Po chwili wahania otworzyła wieko i zaczęła kolejno wyjmować nowiutkie fatałaszki skompletowane przed porodem.

Ubranka były za małe na kilkumiesięczne dziecko, lecz znalazła niewielką kołderkę, sześć płóciennych pieluszek, butelkę ze smoczkiem, grzechotkę oraz misia, które odłożyła dla Rogera. Nie potrafiła myśleć o nim inaczej. W ciągu kilku godzin, które spędziła z chłopcem, coraz bardziej stawał się Rogerem Petersonem. Schowała ciuszki z powrotem i wróciła do kuchni. Zmywając naczynia po kolacji, przylapała się na podśpiwaniu.

Równo z dźwiękiem syren zainstalowała oboje w bezpiecznym kącie piwnicy. Brudny i wyliniąły miś panda ze spletaną kokardką pod brodą, którego Colin przyniósł tego ranka, trącił nieprzyjemnie. „Trzeba mieć źle w głowie, by sądzić, że podobny flejtuch nadaje się do zabawy”, pomyślała Maggie z rozrzewnieniem. Umieściła pluszaka na szczycie biblioteczki, skąd miał trafić na śmietnik następnego dnia, natomiast do szuflady z uśpionym brzdącem włożyła maskotkę z kufra.

Przycupnęła obok, równie obojętna na odgłosy bitwy na powierzchni co pogrążony w błogiej nieświadomości dzidzius. W myślach snuła plany zadomowienia nowego członka rodziny. Jutro uprzątnie schówek, by urządzić tam dziecięcy pokój. Kilka pierwszych ciuszków może uszyć sama z koszuli Colina albo którejś ze swoich spódnic. Wszyscy tak robili, więc Roger nie będzie odstawał. Problem stanowiło jedzenie, choć mogli przecież ująć co nieco ze swoich racji dla małego.

Pod gradem bomb spadających na miasto Maggie ponownie nakarmiła i przewinęła chłopca. Był już na tyle silny, że gdy usadowiła go na ziemi, ruszył na zwiady na czworakach. Maggie kucnęła za kanapą, by niespodziewanie wyjrzeć zza oparcia ku uciesze małego odkrywcy. Z zachwytem patrzyła, gdy mozolnie dźwignął się do pionu, ale zaraz klapnął na pośladki wśród radosnego pisku. Układając go do snu po zabawie, stwierdziła, że szuflada na długo nie wystarczy i należy zaopatrzyć się w łóżeczko z prawdziwego zdarzenia.

Powrót Colina o świcie, długo po zakończeniu alarmu, wytrącił Maggie ze snu na kanapie w piwnicy. Kobieta pośpieszyła na powitanie męża, któremu w ciągu nocy poświęciła niewiele uwagi, pochłonięta nowym domownikiem.

– Brzmiało groźnie – zagaiła na widok zmęczonej twarzy policjanta.

– Gehenna. – Colin opadł na fotel. – Wrócili dokończyć wczorajszy atak. Pali się w całym mieście, nie nadążamy gasić.

– Zaparzę herbaty, a potem kładź się spać.

Gdy Maggie wróciła z tacą do salonu, Colin chrapał w fotelu.

David Shawbrook zajął wolny pokój u Jeffersonów.

– Obaj musimy się przespać – nalegał Paul. – Szabrownicy pewnie zechcą wrócić po resztę dziś w nocy.

– Dziękuję, ale nie trzeba – oponował David. – Zdrzemnę się w noclegowni.

– Wolne żarty! – zakrzyknął Paul. – Kiedy u nas marnuje się pusta sypialnia? Dave, w tej chwili nie masz dokąd pójść. Co ci szkodzi zamieszkać u nas? Elsie się ucieszy.

David śmiał powątpiewać. Żona przyjaciela nie pałała do niego sympatią. Jakby zazdrościła mu długiej przyjaźni z Paulem, którego poślubiła dużo później.

Mężczyźni poznali się pod koniec pierwszej wojny. Zbliżyła ich służba w jednym batalionie, lecz od pamiętnej nocy, gdy David wypelził z okopów i na brzuchu przebył morze błota, by przywlec ранnego Jeffersona z najeżonego minami pola bitwy, stali się nierozłączni. Paul doskonale pamiętał, komu i jakim kosztem zawdzięcza ocalenie, a tym samym powrót do domu, gdzie poznał przyszłą żonę.

Zażyłość druhów z wojska nie osłabła mimo chłodu Elsie, z którą Nancy też nie zdołała nawiązać bliskich stosunków.

– Ewidentnie uwzięła się na ciebie – stwierdziła po kolejnej ze sztywnych kolacji we czworo.

– Po prostu nie jest nam po drodze – odparł David ze wzruszeniem ramion.

– To coś więcej – zaprzeczyła Nancy. – Oczekiwałamby raczej odrobiny wdzięczności. Gdyby nie ty, nigdy nie poznałaby Paula.

– Niektórzy ludzie źle znoszą emocjonalną zależność. Męczy ich ciągle bicie czołem.

– Nie domagam się podziękowań, tylko elementarnej uprzejmości.

Od tej pory David i Paul woleli spotkać się przy piwie po pracy lub skoczyć we dwóch na mecz, niż uszczęśliwiać obie pary na siłę.

Davidowi nie uśmiechała się więc gościna u Jeffersonów, ale dał za wygraną. Rzeczywiście potrzebował cichego kąta, aby w pełni przeżyć osobisty dramat.

– Dzięki. – Skinął głową. – Tylko na jeden dzień. Jutro czegoś poszukam.

Paul zaniechał protestów. Pod wpływem wstrząsu do Davida wciąż nie docierało, że pogrom skazał na tułaczkę rzesze ludzi. Każdy metr kwadratowy był na wagę złota. Ci, którym się poszczęściło, mieli wręcz obowiązek przyjąć bezdomnych do siebie. Sam nie był ojcem, więc nawet nie próbował wczuć się w ból przyjaciela po utracie ukochanej żony i sześciorga dzieci z dnia na dzień.

Przecucia nie zawiodły Davida, choć na jego widok Elsie zmusiła się do uśmiechu.

– David, co cię sprowadza?

– Jego dom oberwał, więc pomieszka u nas – rzucił Paul pośpiesznie, wzrokiem nakazując żonie powściągliwość. – Padamy z nóg, złotko. Dałbym wszystko za coś do jedzenia i kilka godzin snu.

– Oczywiście. – Elsie ustąpiła w głąb sieni. – Ale najpierw doprowadźcie się do porządku. W czajniku jest wrzątek. Akurat zdąży posłać łóżko w pokoju gościnnym.

W kuchni Paul pojął, co miała na myśli, gdy zobaczył się w lustrze. Wyszorował w zlewie twarz i dłoń ciepłą wodą z czajnika, splukując do ścieków kurz i sadzę zdewastowanych ulic. David, ciągle brudny jak święta ziemia, niezdecydowanie tkwił w progu.

– Chodź się ochlapać, stary – zachęcił łagodnie Paul.

Towarzysz posłuchał jak w transie, a na koniec odprowadził niewidzącym wzrokiem mętną zawieszinę znikającą w odpływie.

– Usiądź, odsapnij trochę. – Paul zapalił ogień pod napełnionym czajnikiem.

Chwała Bogu, instalacja działała. Z uwagi na pożary w niejednej dzielnicy całkiem odcięto gaz.

David bezwiednie śledził zza stołu krzątanicę przyjaciela sięgającego po kubki i mleko schłodzone za oknem. Wyczuł przyjemne ciepło, jakby coś dochodziło w piekarniku. Posiłek przyrządzony na powrót Paula. Serce mu się ścisnęło na myśl o tym, że już nigdy nie wejdzie do własnej rozgrzanej kuchni, by wspólnie z Nancy i dziećmi zasiąść do kolacji. Wspomnienie ruiny, jaką zastał rano w miejscu dawnego obejścia, przywiodło go niemal do łez.

W oczekiwaniu na Elsie Paul zdążył nie tylko zaparzyć herbatę, ale także nałożyć ziemniaczaną zapiekankę na trzy talerze. Żona chmurnym wzrokiem obrzuciła skromne porcje dania przeznaczonego dla dwojga, lecz wyraz twarzy Paula zasznurował jej usta. Przy stole nie spuszczała oczu z Davida dla pozorów grzebiącego w jedzeniu, zanim z rezygnacją odsunął prawie pełny talerz.

Paul usłużnie poderwał się z miejsca.

– Chodź, Dave, pokażę ci, gdzie będziesz spał – rzekł rażno.

Sama w kuchni, Elsie po chwili wahania sięgnęła po talerz gościa, by ukradkiem rozdzielić resztki jego porcji między siebie i męża.

– Szkoda zmarnować – mruknęła dla spokoju sumienia, po czym szybko uporała się z własnym przydałem.

Paul zaprowadził przyjaciela do pokoju gościnnego, gdzie czekały świeżo posłane łóżko oraz czysty ręcznik.

– Łazienka jest tuż obok. Spróbuj się nieco zdrzemnąć... – Powstrzymał się od banału typu „sen to najlepsze lekarstwo”, bo nikogo by nie oszukał.

David odetchnął z ulgą po wyjściu przyjaciela. Domyślał się przeprawy czekającej Jeffersona na dole.

– Jak długo tu zostanie? – chciała wiedzieć Elsie, ledwie Paul wrócił do stołu, by wyczyścić ostatki po Davidzie.

– Nie mam pojęcia, skarbie. W jednej chwili stracił całą rodzinę i dorobek życia.

– Rozumiem, Paul. I rzecz jasna, może spędzić tu kilka dni, nikt go nie wygania na ulicę. Tylko...

– Wiedziałem, że można na ciebie liczyć. – Paul posłał jej czuły uśmiech. – Pół miasta poszło z dymem, więc pewnie zaczną kwaterować bezdomnych u każdego, kto ma trochę miejsca. Chyba lepiej przyjąć do siebie znajomego.

– Oczywiście – westchnęła Elsie. – Ale w takim razie potrzebna mi jego książeczka żywnościowa. Nie zdołamy wykarmić trojga.

Paul puścił ostatni komentarz mimo uszu.

– Znajdzie się jeszcze łyk herbaty, zanim pójdę spać?

W łazience na górze David z trudem rozpoznał się w lustrze. Szara z wycieńczenia, nieogolona twarz i zapadłe oczy przydały mu dziesięć lat w ciągu jednej nocy. Tyle wystarczyło, by stracił niemal wszystko. Nancy i maluchy zginęli. Bezpowrotnie. Nagły przyływ żalu prawie pozbawił go tchu.

Głosy z dołu przybrały na sile z otwarciem kuchennych drzwi, więc czym prędzej przemknął do pokoju, nieskory do dalszych rozmów, nawet z przyjacielem.

Spojrzał z okna na nieszczęsne miasto. Zręby pokiereszowanych kamienic sterczały niby drzazgi na tle posępnego nieba, rozświetlane krwawym blaskiem ognia. Odszukał wzrokiem zarys swojego domu słabo widoczny w oddali, nim krajobraz przesłoniła mu błona łez, których dłużej nie był w stanie tłumić.

Z rozpaczliwym szlochem zwinął się na łóżku, aż ukoił go sen. Ocknął się o zachodzie słońca z myślą o Muriel. Nie czuł się na siłach, aby w ciągu trzyminutowej rozmowy telefonicznej uprzedzić córkę o śmierci całej rodziny. Wystarczy, że Tony będzie musiał dowiedzieć się z listu gdzieś pośród piasków Afryki. Należało zatem pojechać do Portsmouth i spotkać się z Mu osobiście. Gdyby dzisiaj podczas nocnej warty znalazł kogoś na zastępstwo, mógłby wyruszyć z samego rana. Pokrzepiony tym planem działania poszedł do łazienki się odświeżyć.

Na dworze zapadał zmrok, gdy obaj mężczyźni podążyli każdy do swojej bazy.

– Spotkamy się rano w domu – zaznaczył Paul na odchodnym z dłonią na ramieniu przyjaciela.

– Chyba nie... – bąknął David.

– Na litość boską, Dave! – zniecierpliwił się Paul. – Dokąd ci tak śpieszno?

– Muszę zobaczyć się z Mu...

Paul z westchnieniem potarł oczy.

– Jasne, przepraszam, bracie. Nie mam pojęcia, co mówię. – Spuścił wzrok z zażenowaniem. – Wiesz, gdzie jej szukać?

– Mieszka w internacie dla pielęgniarek przy Royal Hospital. Powiniennem trafić.

– To kawał drogi. Jak planujesz tam dotrzeć?

– Pociągami jutro po pracy. Za to chętnie zostanę u was kilka dni potem, o ile ty i Elsie nie macie nic przeciwko.

– Ależ skąd. – Paul odetchnął z ulgą. – Zawsze jesteś mile widziany.

Wymienili serdeczny uścisk dłoni i rozeszli się w przeciwne strony.

Przewidywania Paula okazały się słuszne. Tej nocy wróg nie szczędził sił i środków. Pierwsze bomby zapalające na nowo wzniciły ogień, a kolejne roje opancerzonych maszyn bezlitośnie pastwiły się nad udręczonym miastem przez blisko cztery godziny. David i Paul w szeregach innych ochotników nie ustawali w wysiłkach ani na moment, bohatersko ratując, co się da. Dopiero światło brzasku obnażyło pełen obraz zniszczeń i pozwoliło podjąć skoordynowane działania.

David natychmiast pojął, że z wyjazdu do Muriel nici. Wobec tylu poszkodowanych i zaginionych był niezbędny tutaj. W trakcie obchodu nogi same zaniosły go na Suffolk Place, gdzie trafił na oplakany widok. Zabudowa po jednej stronie, w tym resztki jego domu, została całkowicie zmieciona z powierzchni ziemi. Przez chwilę w oszołomieniu chłonał wzrokiem gruzy dawnego życia, aż odwrócił się z rezygnacją i odszedł w kierunku bazy. Bezwzględnie należało skontaktować się z Mu, lecz na razie miał pilniejsze obowiązki. Córka mogła poczekać kilka dni.



## 6

Siostra Muriel Shawbrook i podporucznik Patrick Davenham przemierzali wietrzne ulice Portsmouth w drodze na kolację w ich ulubionym pubie Starfish ukrytym w bocznej uliczce nieopodal szpitala. Zamówiwszy w barze dwie szklanki różowego ginu, zaszyli się w odosobnionym kącie przy palenisku, pogrążeni w cichej rozmowie. Tworzyli uroczą parę. Patrick, imponującej postury w marynarskim mundurze, miał ciemne włosy i oczy oraz wyrazistą szczękę z silnie zarysowanym podbródkiem. Muriel, o jasnej karnacji usianej złotymi piegami, szmaragdowych oczach i miedzianych włosach, zwykle schowanych pod pielęgnarskim czepkiem, teraz zaś luźno związanych na plecach, stanowiła jego dokładne przeciwieństwo. Pochłonięci sobą, zrazu nie dosłyszeli nikłego brzęczenia w oddali, aż odezwał się przeciągły jęk syren, a właściciel pubu zarządził ewakuację. Większość klientów rzuciła się do drzwi, aby ratować bliskich, ale Patrick i Mu nie mieli nikogo prócz siebie. Podążyli więc do schronu na podwórzu – kopulastej konstrukcji z cegieł do połowy zakopanej w ziemi. Wejścia do wypełnionego drewnianymi ławami pomieszczenia strzegła czarna kotara, lecz mrok w środku rozpraszały regularnie rozmieszczone lampiony naftowe. Gdy przycupnęli pod ścianą, Patrick objął Mu opiekuńczym gestem, przeklinając w duchu. Inaczej zaplanował ten wieczór. Po romantycznej kolacji w zacisznym wnętrzu Starfish liczył na dogodny moment, aby zadać pytanie, z którym się nosił, odtąd pierwszy raz ujrzał Muriel.

Miesiąc wcześniej odwiedził w szpitalu kompana rannego w trakcie nalotu. Jego uwagę z miejsca przykuła sanitariuszka krążąca wśród łóżek, smukła i pełna wdzięku mimo wykrochmalonego fartucha i sztywnego czepka przytrzymującego pyszne rude włosy. Nachylała się nad pacjentami z troską i współczuciem, z każdym zamieniając kilka ciepłych słów.

– Dzień dobry, pan do kogo? – zagadnęła życzliwie błędzącego po oddziale oficera.

Zauroczony Patrick ledwie zdołał wykrztusić nazwisko Malcolma Fritha, na co Muriel wskazała łóżko w kącie.

– Tylko nie za długo – poprosiła. – Sporo przeszedł, nie potrzebuje wrażeń.

Patrick przyrzekł nie męczyć chorego, lecz odtąd zaglądał do szpitala co wieczór, niezmiennie witany przez zielonooką siostrę o zniewalającym uśmiechu.

– Jutro mnie wypisują – oznajmił Malcolm po tygodniu. – Nie będziesz się już musiał tu telepać. Zostanę u rodziców do czasu powrotu do służby.

– Fantastycznie. – Patrick się ucieszył, lecz jego wzrok mimo woli umknął w stronę kantorka przy drzwiach.

– Ostatnia szansa, by się z nią umówić – stwierdził Malcolm, śledząc tęskne spojrzenie przyjaciela.

– Bez obawy. Przygotowałem ci grunt.

– Pilnuj swojego nosa – zjeżył się Patrick.

– Nic innego nie robię – odrzekł Malcolm z promiennym uśmiechem. – Ale skoro nie mam u niej szans, niechby się tobie powiodło. Tylko nie przegap okazji.

Jego słowa dały Patrickowi do myślenia, więc w drodze do wyjścia przystanął obok pochylonej nad dokumentacją dziewczyny i choć byli sobie prawie obcy, zdobył się na zaproszenie do kina.

– Wszystko jedno kiedy – dorzucił. – Mój krążownik stoi w naprawie, więc nieprędko znów wypłyniemy.

Mu, która z niecierpliwością wyglądała codziennych wizyt przystojnego podporucznika, oblała się pąsem i nieśmiało wyszeptwała, że ma wolny wieczór w piątek.

– Świetnie. – Patrick nie posiadał się z radości. – Będę czekał przed internetem.

– Lepiej nie. Za dużo wścibskich oczu. Spotkajmy się od razu w kinie.

– W piątek o siódmej – powtórzył, a po chwili dodał: – Przepraszam, ale nawet nie znam pani imienia...

– Muriel Shawbrook. Dla przyjaciół Mu.

– Ładnie. Patrick Davenham.

– Wiem. – Mu ze znaczącym uśmiechem zerknęła w stronę Malcolma.

Patrick podążył za jej wzrokiem, na co towarzysz ochoczo uniósł oba kciuki.

I tak się potoczyło, lecz po czterech upojnych tygodniach remont na statku dobiegł końca, a załódze przyznano przepustkę na ostatni weekend przed powrotem na front. Patrick nie miał czasu do stracenia. Z pierścionkiem w kieszeni przez cały wieczór siedział jak na szpilkach, czekając na sprzyjającą okoliczność.

Wprawdzie atak wroga zmałował romantyczny nastrój, ale byli razem i tylko to się liczyło. Wokół nich przybywało ludzi, jednak Mu i Patrick nie widzieli świata poza sobą.

– Muszę ci coś powiedzieć – zagał męzczyzna.

– Dobra wiadomość czy zła?

– Poniekąd jedno i drugie. W sobotę i niedzielę mam wolne. Możesz się wtedy urwać z pracy?

– W ten weekend będzie trudno – rzekła Mu z westchnieniem. – Kiedy wypływacie?

– Niebawem. Ale to ostatnia przepustka, potem nie pozwolą nam schodzić na ląd wieczorami.

Na moment zaległa cisza. Wreszcie Patrick ujął dłonie dziewczyny. Raz kozie śmierć.

– Mu, wiesz, co do ciebie czuję, prawda? – zaczął łagodnie.

Muriel napotkała wyteżone spojrzenie jego ciemnych oczu. Patrick wzmocnił uścisk, więc skinęła głową.

– Chyba tak – szepnęła.

– „Chyba” to za mało. Musisz mieć absolutną pewność. – Wziął głęboki oddech. – Kocham cię ponad wszystko, bardziej, niż potrafię wyrazić. Pragnę spędzić z tobą resztę życia, nianńczyć nasze wnuki. Wybacz, że nie stać mnie na bardziej malownicze tło niż zatęchły bunkier pod ostrzałem, ale taki mój los. Zanim wyjdę w morze, muszę wiedzieć, czy zgodzisz się na mnie czekać, czy będziesz tu, kiedy wrócę. Wyjdiesz za mnie, Mu?

Dziewczyna czułym gestem przytuliła jego palce do ust.

– Z największą radością.

Patrick zaniemówił z wrażenia.

– Naprawdę? – wydukał z trudem.

Mu delikatnie oswobodziła dłonie, by zarzucić mu ręce na szyję.

– Tak. Wyjdę za ciebie, Patrick – powtórzyła z uniesioną twarzą.

Mężczyzna przygarnął ją jak najcenniejszy skarb i złożył na ustach ukochanej żarliwy pocałunek. Zatopiona w jego objęciach Muriel z całą wyrazistością poczuła, że nie może bez niego żyć. Patrick wydobyl puzderko i ostrożnie wsunął pierścienek na jej palec, wywołując wokół burzę braw i radosnych gwizdów. Młodzi rzucili speszone spojrzenia na boki, by z zaskoczeniem odkryć, że schron zdążył się wypełnić ludźmi.

– Gratulacje, stary! – dobiegło gdzieś z tyłu. – Szczęściarz z ciebie!

Mu spłonęła rumieńcem w roli głównej atrakcji wieczoru przed zbiorowiskiem obcych, za to Patrick promieniał. Zareczył się z najwspanialszą dziewczyną pod słońcem i najchętniej sam głosiłby nowinę całemu światu.

Wkrótce potem alarm odwołano i gąszcz ludzi z ulgą wyległ na powierzchnię, w świeży powiew kwietniowej nocy. Część natychmiast rozproszyła się w mroku, a pozostali wrócili do pubu, by opróżnić porzucone kufle. Ostatecznie nie doszło do natarcia. Od dwóch dni całe miasto staowało w gotowości na dźwięk przelatujących bombowców, które jednak wolały gdzie indziej spuścić śmiercionośny jad.

Zakochani zostali w Starfish na ostatniego drinka przed zamknięciem na noc internatu Muriel. Ponownie usadowieni w swoim ustroniu przy ogniu, oddali się planom na przyszłość.

– Mam przepustkę na cały weekend. Gdybyś dostała dzień urlopu, moglibyśmy skoczyć do twoich rodziców po błogosławieństwo.

– Rychło w czas – skwitowała Mu z rozbawieniem. – Już dałam ci słowo i mam pierścienek na palcu. – Dumnie uniosła dłoń z połyskującym klejnocikiem. – Nie próbuj się teraz wykrecać.

– Dobre sobie. – Patrick otoczył ją ciasno ramionami. – Poślubiłbym cię choćby jutro, gdybym mógł.

– Co cię powstrzymuje? – wymamrotała Mu z nosem na jego piersi. – Nie możemy się pobrać przed twoim odjazdem?

Patrick z zalem potrzęsnał głową.

– Nie zdążymy. Ale postaram się o pozwolenie przed najbliższym powrotem, a wtedy zapędzę cię do ołtarza w podskokach.

– Siostry pewnie zechcą być druhnami – napomknęła Mu.

– A jakże! Urządzimy wesele na całego. Poproszę brata, Neila, na świadka, o ile dostanie przepustkę.

– Co na to twoi rodzice?

– Będą zachwyceni – zapewnił Patrick z werwą. – Szkoda, że nie mogę zabrać cię do Glasgow, abyś ich poznała, ale nadam wiadomość jak najszybciej.

Przy pożegnaniu na progu internatu Mu przywarła do narzeczonego.

– Kocham cię – wyszeptala. – „Muriel Davenham” brzmi niczego sobie.

– Przyzwyczajaj się – odparł Patrick, kradnąc jej ostatni pocałunek.

– W samą porę – stwierdziła siostra Roderick na portierni, gdy dziewczyna wślizgnęła się do holu tuż przed zamknięciem drzwi.

– Dobranoc, siostrze – zaświergotała Mu z pałającymi oczami i pomknęła na górę.

„Cóż jej tak wesoło? – pomyślała starsza pielęgniarka. – Ciekawe, gdzie się włoczyła tyle czasu. Skaranie boskie z tymi pannicami!”

W pokoju Mu bezszelestnie wpełzła pod kołdrę, lecz daleko jej było do spania. Nasłuchując w ciemności równego oddechu Jean Darwin pod przeciwległą ścianą, przewijała w myślach

wspomnienia minionego wieczoru.

Zaręczona. Patrick należał do niej. Przewracała się z boku na bok, zbyt podekscytowana, by zasnąć. Szczęśliwie nazajutrz nie musiała wcześniej się zrywać. Zasadniczo wolała pracować na wieczornej zmianie, gdyby nie te alarmy, bo wówczas noc upływała na mozolnej ewakuacji całego oddziału. Tych, którzy mogli chodzić, sprowadzano do bunkra w podziemiach, a unieruchomionych pacjentów trzeba było okrywać kocami po czubek głowy dla ochrony przed pryskającymi odłamkami. Przez kilka następnych tygodni wyznaczono jej właśnie nocne dyżury. Może znajdzie się ktoś na zastępstwo, dzięki czemu Muriel zdążyłaby przedstawić narzeczonego rodzinie przed jego wyjazdem. Daleko nie szukając, Jean miała wolne w sobotę – oby tylko zgodziła się wziąć zastępstwo na jedną noc.

„Cóż to będzie za radość”, fantazjowała Mu, uśmiechając się bezwiednie w ciemności. Mama już od dawna dawała jej do zrozumienia, że pora się ustatkować.

– Masz dwadzieścia dwa lata – mówiła. – W twoim wieku od trzech lat byłam mężatką z Tonym u spódnicy i tobą pod sercem.

– Wiem, mamo, ale czasy się zmieniły, zwłaszcza w trakcie wojny...

– Wtedy też była wojna – przypomniła Nancy. – Wprawdzie ojca wzięli dopiero w ostatnim roku, lecz i tak nie było nam łatwo.

– Spotykam się z kimś – zdradziła Mu ostrożnie. – Należy do marynarki.

– Oficer?

– Podporucznik rezerwy ochotniczej.

– Oby tylko za chwilę nie wybył Bóg wie gdzie – zaniepokoiła się Nancy.

– Nie od razu, jego okręt wymaga naprawy. Ale znamy się od niedawna, więc to nic pewnego. I nie mów tacie. Z miejsca przyparłby Patricka do muru.

– Nazywa się Patrick?

– Tak. Patrick Davenham.

– Niech ci będzie, słonko, chociaż trudno, by tata dręczył twój wielbiciela na odległość.

„Wreszcie wszystko im powiem”, rozmyślała Mu z ożywieniem, wyobrażając sobie frajdę, jaką sprawi w domu. A tata nie powinien nadto zrzędzić. Przynajmniej wiadomo, że Patrick od początku miał uczciwe zamiary.

Już na granicy snu opadły ją wyrzuty sumienia przez to, że poczuła ulgę, gdy wróg ich dzisiaj ominął, by znęcać się nad kimś innym.

Maggie Peterson nie próżnowała, gdy Colin położył się spać. Z dawno niewidzianą energią rozłożyła w piwnicy maszynę do szycia, która od przyjazdu pokrywała się kurzem i pajęczynami, i przystąpiła do krawieckich przeróbek dla Rogera. Koc wyściełający szufladę pocięła na cztery pasy. Jeden z nich złożyła na pół i obrzuciła na brzegach na kształt małego śpiwora. Z drugiego po obrębieniu powstało dziecięce przykrycie. Resztę odłożyła na później. Wreszcie sięgnęła po „wakacyjną” koszulę męża, idealną na śpioszki i kaftaniki.

„Colinowi nieprędko się przyda – stwierdziła. – Przez tę wojnę na długo możemy zapomnieć o wakacjach”.

Gdy policjant wstał późnym popołudniem, z dumą pokazała mu efekt swoich działań.

– Specjalnie zrobiłam ciuszki trochę na wyrost – tłumaczyła z pałającymi oczami. – Przydałoby się też coś większego do spania, w szufladzie ledwie się mieści. Nie wspominając o wózku na spacer...

– Powoli – mitygował ją Colin. – Nie potrzeba nam tego wszystkiego. Za kilka dni zaniesiemy go do pogotowia ratunkowego, gdzie zajmą się nim jak należy.

– Jak należy! – W głosie Maggie zadźwięczał piskliwy ton. – Co to znaczy? Niby ja nie umiem się nim zająć?

– Ależ skąd! – Colin pożałował, że nie ugryzł się w język. – Wspaniale sobie z nim radzisz, ale nie może tu zostać...

– Dlaczego? – warknęła ostro. – Kogo ma poza nami?

– Tego właśnie nie wiemy. Rozumiem, że chcesz mu pomóc, ale pomyśl, przez co może przechodzić jego matka.

– Sama jest sobie winna. Zostawiła go na pewną śmierć – skwitowała Maggie bez litości.

– Niekoniecznie – perswadował cierpliwie. – Kto wie, co ją spotkało.

– Był samiutki w domu.

– Maggie... – Colin spojrział żonie prosto w oczy. – To nie jest nasz syn.

– Teraz już tak – naciskała, głucha na argumenty. – Urzędnicy umieszczą go w przytułku, a tam co go czeka? Przez całe życie będzie niczyj, skazany sam na siebie pośród obcych.

– To prawda – przyznał Colin – ale mamy obowiązek zgłosić, że odnalazł się cały i zdrowy, oraz podać nasz adres na wypadek, gdyby ktoś go szukał.

– A wtedy nam go odbiorą – prychnęła Maggie zapalczywie – i wróci do ludzi, którzy już raz go zgubili.

– Skarbie, pomyśl, jak ty byś się czuła, gdyby ktoś przygarnął twoje dziecko, ale trzymał to w tajemnicy.

– Mojego dziecka nikt by nie musiał przygarniać, bo zadbałabym o jego bezpieczeństwo – uniosła się Maggie.

– Szalałabyś z niepokoju! – Colin nie rezygnował. – Jak zapewne jego bliscy w tej chwili. Trzeba zawiadomić służby.

– Wykluczone!

– Kochanie... – Colin gestem powstrzymał żonę nabierającą tchu. – Nie, Maggie, musisz posłuchać. Dziś wieczorem w drodze do pracy pójde do ośrodka i powiem, że jest u nas chłopczyk znaleziony przy Suffolk Place, przy czym chętnie zapewnimy mu dom, by nie błąkał się po sierocińcach.

– A co, jeżeli każą nam go oddać? – Maggie poderwała się z krzesła i zaczęła krążyć po pokoju. – Albo...

– Mało prawdopodobne – wtrącił Colin. – Wyobrażasz sobie, ile zagubionych dzieci co dzień trafia do publicznych placówek? Jeszcze nam podziękują za dobre chęci.

– A w dowolnym momencie znów się o niego upomną. – Maggie wbiła w męża roziskrzony wzrok. – Chociaż jego bliscy pewnie poginęli. Tak by było najlepiej.

– Co ty opowiadasz?! – Colin nie wierzył własnym uszom. – Opmiętaj się, Maggie. Nikomu nie wolno życzyć śmierci.

Maggie zacięła usta i odwróciła wzrok. Wzięła na ręce uspione niemowlę i pomaszerowała z nim do sypialni, zamykając drzwi na klucz od środka.

Colin z westchnieniem opadł na krzesło. Nie chciał iść na posterunek, zostawiając żonę w takim stanie. Rozumiał jej rozgoryczenie i robił sobie wymówki. Trzeba było od razu zgłosić znalezienie chłopca, podać dane adresowe i dopiero wtedy ewentualnie przynieść go do domu. Ktoś mógł o niego rozpytywać.

– Niech to szlag – mruknął w rozterce.

W kuchni odkrył garnek zupy przygotowanej przez żonę, więc zapalił gaz i przyrządził sobie kanapkę z serem. Spożywając ten skromny posiłek w samotności, zastanawiał się, jak przekonać władze, by powierzyły im dziecko, choćby na jakiś czas. Jeżeli maluch rzeczywiście został sam na świecie, jak twierdziła Maggie, mogliby w przyszłości starać się o adopcję. Lecz właśnie dlatego nie wolno teraz zataić prawdy. Podniesiony na duchu, wstawił brudne naczynia do zlewu i poszedł na górę. Jego delikatne pukanie do drzwi małżeńskiej sypialni zrazu pozostało bez odpowiedzi, lecz gdy powtórzył mocniej, z wewnątrz dobiegło gniewne:

– Idź sobie!

– Maggie, czas na mnie.

Cisza.

– Maggie, muszę już iść.

– Świetnie. I nie wracaj!

– Bądź rozsądna. Porozmawiamy spokojnie jutro rano.

– Jeżeli go wydasz, nigdy więcej się do ciebie nie odezwę, jasne?

– Tak – westchnął policjant. – Spróbujmy wspólnie znaleźć rozwiązanie, dobrze? – Nie doczekawszy się reakcji, z ociąganiem zszedł na dół i jeszcze raz od progu zawołał: – Do zobaczenia jutro!

Wkrótce potem wieczorny sygnał ostrzegawczy kazał Maggie zanieść Rogera do piwnicy, gdzie jak zwykle zamierzała spędzić całą noc, zamiast budzić dziecko w chwili szturmu. Sama też wołała tam spać, czuła się bezpieczniej. Złość na męża bynajmniej jej nie przeszła, tym bardziej że w głębi duszy kobieta przyznawała mu rację. Lecz co będzie po jego powrocie jutro rano? A jeżeli po przyjęciu

zgłoszenia jakiś nadgorliwy urzędnik naprawdę stanie w progę i zażąda zwrotu maleństwa? Chwilowo odgoniła dokuczliwe myśli, by ułożyć chłopca do snu.

Po karmieniu bobas został zapakowany do nowego śpiworka i tak długo tulony i kołysany, aż bezwładnie zaciążył jej w ramionach. Maggie delikatnie umieściła zawiniątko w szufladzie, po czym stłumiwszy płomień lampy, wyciągnęła się obok na kanapie.

Na powierzchni dogorywały szczątki miasta obcesowo torpedowane lawiną bomb i ognia.

„Jak długo jeszcze? – zastanawiał się Colin, śpiesząc na posterunek pośród masowej zagłady. – Ile wytrzymamy?”

Zgiełk przechodził ludzkie pojęcie. Hukom eksplozji, spotęgowanym przez rumor padającej zabudowy i niemiłosierne rżenie powietrznych bestii, odpowiadały działa przeciwlotnicze z ładu i jednostek zacumowanych w porcie. Niebo przeszywały snopy światła z naziemnych reflektorów, co jakiś czas wyłaniając z mroku pancernego owada, natychmiast ściganego przez bystrych kanonierów. Tumultu dopełniały szalejący w całym mieście ogień i tabuny strażaków próbujących poskromić żywioł przy wtórze przewożonych taczek z piaskiem, warkoczających pomp i nawoływań.

W pobliżu posterunku Colin usłyszał za plecami szmer samochodu. Za kierownicą siedział starszy człowiek, z trudem nawigując wśród ociemniałych ulic. Oślupiały sierżant natychmiast go zatrzymał.

– Proszę wysiąść z pojazdu – rzekł, gdy kierowca opuścił szybę. – Ruch uliczny pod ostrzałem jest zabroniony. – Sięgnął do środka, by odemknąć drzwi. – Proszę za mną, odprowadzę pana do najbliższego schronu.

– To nie mój samochód – zaprotestował starzec drżącym głosem. – Nie mogę zaparkować byle gdzie, jeszcze go ukradną.

– Przykro mi. Proszę wyjść. Wróci pan po niego po nalocie.

– A jeżeli trafi w niego pocisk?

– Tym bardziej nie powinien pan być wtedy w środku.

Mężczyzna w końcu ustąpił. Wysiadł i starannie zamknął auto na klucz, by następnie podążyć za Colinem do bunkra przy sąsiedniej ulicy. Wracając na komisariat, Peterson przyśpieszył kroku. Był już mocno spóźniony. Zgłosi znalezienie małego po odwrocie nieprzyjaciela.

**B**lask w oczach Muriel i bijąca od niej aura szczęścia nie uszły następnej nocy uwadze koleżanek. W miłosnym uniesieniu dziewczyna fruwała po oddziale jak na skrzydłach, gotowa przytulić do serca cały świat.

– Humor dziś pani dopisuje! – cmoknęła siostra Pearce. – Można zapytać o przyczynę?

Muriel z łuną na policzkach zaprezentowała dłoń z pierścieniem.

– Ach tak. – W głosie przełożonej próżno było szukać zrozumienia. – Noszenie biżuterii jest niedozwolone. Proszę więcej się z tym nie afiszować.

Pod jej surowym okiem Muriel posłusznie schowała pierścionek do kieszeni fartucha.

– Czy to znaczy, że pani nas opuszcza?

– Nie od razu. Mój narzeczony – wymówiła to słowo z rozkoszą – służy w marynarce i wkrótce wraca na front. Planujemy ślub przy okazji następnej przepustki.

– Rozumiem. W takim razie dość tej pogawędki. Czas na wieczorny obchód.

Oddziałowa zamknęła się w dyżurce i przez szybę śledziła zabiegi siostry Shawbrook wokół nowo przyjętego pacjenta, mężczyzny z urazem głowy. „Planujemy ślub przy okazji następnej przepustki”, zadzwęczały jej w uszach pełne nadziei zapewnienia. Sama twierdziła coś bardzo podobnego, gdy w 1917 roku Arthur Flint wyjechał do Francji. „Pobierzemy się, kiedy wrócę”, obiecał, całując ją na pożegnanie. Tylko że nie wrócił. Trzy tygodnie później anonimowy snajper ograbił Ednę Pearce z marzeń o miłości i rodzinie. Nigdy nie wyszła za mąż, jak wiele kobiet wtedy, by dziś, po dwudziestu latach, obserwować gorzką powtórkę z historii w kolejnym pokoleniu.

Ożywione wspomnienia wciąż stały jej przed oczami, gdy następnego dnia siostra Shawbrook poprosiła o rozmowę po dyżurce.

Muriel, pełna obaw przed spotkaniem z przełożoną, zdążyła poradzić się Jean w trakcie wspólnej przerwy po północy.

– Ale z ciebie ścichapęk! – podsumowała współlokatorka żartobliwie. – Nie pisałeś o nim ani słówkiem.

– To się potoczyło tak szybko. Wolałam nie zapeszać. Jeannie... – Mu posłała koleżance przymilny uśmiech, z miejsca budząc jej podejrzenia.

– Tak?

– Nadal masz wolny weekend?

– Owszem... Bo co?

– Zgodziłabyś się zastąpić mnie w sobotę? – Wobec nastającej ciszy pośpieszyła z dalszym wyjaśnieniem: – Patrick ma ostatnią przepustkę, a chcielibyśmy razem powiedzieć moim rodzicom o zaręczynach. Gdybyś wzięła za mnie sobotnią noc, zdążyłabym skoczyć do Plymouth i wrócić na swoją zmianę w niedzielę wieczorem.



- Dojazd w tę i z powrotem zajmie wieki, w domu spędzisz ledwie kilka godzin.
- Wiem, ale to ważne.
- Czemu nie zamienić się od razu na cały weekend? – podesunęła Jean.
- Naprawdę? – Oczy Mu rozbłyły.
- Żaden problem. Tylko załatw to z siostrą Pearce.
- Co dla niej za różnica? – zauważyła Mu, nadrabiając miną.

Oddziałowa słynęła z rygorystycznego podejścia do regulaminu, stąd pukając do drzwi kantorka, dziewczyna nie mogła powstrzymać drżenia w brzuchu.

- Proszę. – Surowy ton ze środka nie wróżył najlepiej. Mu odetchnęła głęboko i nacisnęła klamkę.
- Co pani tu robi o tej porze? – zdziwiła się przełożona.
- Mam do siostry prośbę.

Kobieta wskazała jej krzesło na wprost siebie.

- Wobec tego słucham.

Mu usiadła sztywno ze złączonymi kolanami i spłótła dłonie na podołku. Ponaglona wnikliwym spojrzeniem oddziałowej, krótko wyjaśniła, z czym przyszła.

Każdego innego dnia Edna pewnie by odmówiła. Nie pochwałała naginania grafiku pod prywatne zachcianki. Wychodziła z założenia, że obowiązki służbowe nie podlegają dyskusji, i wymagała od personelu bezwzględnej dyscypliny i odpowiedzialności. Sama tylko raz pozwoliła sobie na odstępstwo od tej reguły... w dzień wyjazdu Arthura. Po kryjomu zamieniła się na dyżury z przyjaciółką, aby odprowadzić ukochanego na dworzec. Po raz ostatni widziała go właśnie, kiedy machał z okna odjeżdżającego pociągu. Od tej pory za jedyną pociechę służyła jej spłowieła fotografia na szafce obok łóżka. On – wiecznie młody, ona – coraz starsza.

Spojrzała w pełne wiary dziewczęce oczy.

– Dobrze – powiedziała bez cienia serdeczności. – Pod warunkiem, że siostra Darwin się zgodzi. Do zobaczenia w poniedziałek wieczorem.

Zakończywszy w ten sposób audyencję, wróciła do notatek na biurku, na co Muriel skwapliwie wycofała się na korytarz z rozspiewanym sercem.

Czekający przed szpitalem Patrick ruszył ku niej z otwartymi ramionami, ale Mu potrzęsnęła głową, by nie robić scen na widoku. Podjęli więc marsz obok siebie w poszukiwaniu nieco bardziej ustronnego miejsca.

- No i co? – zapytał Patrick, gdy przysiedli na wolnej ławce w parku nieopodal.

Muriel tym razem pozwoliła mu wziąć się w objęcia, przywierając do jego piersi. Mijająca ich starsza pani na wózku inwalidzkim zagderała do swojej opiekunki podniesionym głosem:

- Zachciało się publicznych amorów w środku dnia!

Towarzyszka, najwyraźniej przywykła do tego rodzaju komentarzy, w odpowiedzi rzuciła krótko:

- To wojskowy.

- Co to ma do rzeczy? – doleciała zrzędliva riposta, zanim spacerowiczki zniknęły za drzewami.

Mu zachichotała.

- Nawet mundur cię nie uratuje.

- Ani ciebie – odparował marynarz pogodnie. – Powiedz, czy udało ci się przełożyć sobotni dyżur.

- Nie tylko! Mam wolny cały weekend!

- Ja muszę wrócić najpóźniej w niedzielę o północy. Czyli wyjazd w sobotę z samego rana.

– Sprawdziłeś połączenia?

– Lepiej. Udało mi się zdobyć trochę benzyny i samochód!

Mu zrobiła wielkie oczy.

– Kapitalnie! Kto ci pożyczył samochód?

– Twój kumpel, Malcolm Frith – zażartował Patrick. – Właśnie wrócił z wywczasu u rodziców autem swojego ojca.

– A benzyna?

– Wolę nie wiedzieć – rzekł z figlarnym mrugnięciem. – Podobno bak jest pełny, a w razie czego mamy jeszcze zapas w kanistrze w bagażniku.

– Ale... jemu to się nie przyda?

– Kazał ci powiedzieć, że to po części jego prezent ślubny, a po części podziękowanie za opiekę w szpitalu. – Patrick przytulił ją mocniej. – Czeka nas więc luksusowa podróż bez wyczekiwania na dworcach na przepełnione pociągi, które jeżdżą, jak chcą, albo wcale. O której będziesz gotowa do drogi?

– Po pracy, tak jak dziś.

– Nie chcesz przedtem trochę odespać?

– Najwyżej zdrzemnę się w trakcie jazdy. Wolę wyruszyć wcześniej, aby mieć dla nich jak najwięcej czasu.

Patrick wstał.

– Muszę wracać na okręt – oznajmił z żalem. – Spotykamy się przed szpitalem w sobotę po dyżurze.

– Będę już spakowana. – Mu zwróciła ku niemu rozgwieżdżone oczy. – Och, Patrick! Nie mogę się doczekać!

W internacie Mu najpierw przyrządziła sobie kakao we wspólnej kuchni na dole i udała się do świetlicy, aby usiąść na parapecie w porannym słońcu. Z nastawionego radia płynęły ciche dźwięki *Music While You Work*. W momencie gdy w kubku ukazało się dno, do pokoju weszła Christine Jackson, koleżanka z innego oddziału. Równie zmęczona po nocnym dyżurze, z westchnieniem padła na jeden z wysłużonych foteli.

– Ledwo żyję.

– Przynajmniej obyło się bez ewakuacji – zauważyła Muriel.

– I dlatego siostra Drewitt zafundowała nam szkolenie na taką okoliczność.

– Warto ćwiczyć dla bezpieczeństwa... – Muriel urwała w pół słowa, gdy muzykę w radiu zagłuszył serwis informacyjny z doniesieniami z Plymouth.

„...trzeci z rzędu nalot przerodził się w stan trwałego oblężenia. Do szalejącego w całym mieście ognia wezwano strażaków z sąsiednich miejscowości...”

Muriel przyskoczyła do odbiornika, aby wzmocnić dźwięk, lecz spiker BBC zdążył zmienić temat.

– To prawda? – wykrztusiła Mu z sercem w gardle.

– Co? – Christine od niechcienia przeglądała nagłówki w gazecie porzucanej na stole.

– To, co powiedział o Plymouth?

– Nie zwróciłam uwagi.

– Podobno wczoraj doszło do niespotykanej agresji.

– Znowu? Przecież Plymouth zbombardowali dwa dni temu.

Czyli wtedy, gdy ona i Patrick beztrudnie wyznawali sobie miłość w Starfish, uradowani, że wróg zdecydował się obrócić tamtej nocy inny cel. Czyżby zmierzali do Plymouth? Musiała skontaktować się z rodziną, ale jak? W domu nie było telefonu. Pozostawało czekać, aż rodzice skorzystają z czyjegoes aparatu lub kabiny na poczcie, aby dać jej znać.

– Wszystko w porządku? – Christine z niepokojem zerknęła na zbielełą twarz koleżanki.

– Tak. Nie. Nie wiem. Moja rodzina jest w Plymouth. – Głos odmówił Muriel posłuszeństwa. – Ale gdyby coś im się stało, chyba już bym wiedziała...

Christine bezradnie uściśnieła jej dłoń na pociechę. Relacje medialne brzmiały dość zatrważająco, ofiary liczono w setkach.

– Na pewno są cali i zdrowi – stwierdziła Mu dziarskim tonem, na przekór rzeczywistości. – Zawsze chodzą do masowego schronu. Z wyjątkiem ojca, który pracuje w straży.

Christine skinęła głową.

– Ostrzegają ludzi z dużym wyprzedzeniem – dodała. – Nie możesz do nich zadzwonić?

– Nie mają telefonu. Lecz w sobotę jedziemy tam z Patrickiem – ożywiła się Mu.

– Z kim?

Na twarz Mu wypłynął mimowolny uśmiech, gdy uniosła lewą rękę z pierścieniem.

Christine szeroko rozwarła oczy.

– Gratuluję. Od dawna?

– Oświadczył się w tym tygodniu.

– I w sobotę jedziecie do Plymouth? Jakim cudem?

– Patrick dostał przepustkę, a siostra Pearce pozwoliła mi zamienić się z Jean na dyżury.

– Kredą w kominie zapisać!

– Musiała być w dobrym nastroju.

– Nie sądziłam, że to się zdarza – zauważyła Christine swobodnie, rada, że koleżanka odzyskała humor.

– Dzięki temu mamy czas do niedzieli – wyjaśniła Mu, wynosząc pusty kubek.

Już na górze, pod kołdrą, obok uspionej Jean, przypomniała sobie radiowy komunikat. Niemożliwe, by coś im się stało. Na czas ewakuacji mama miała perfekcyjnie przemyślaną strategię z podziałem na role. Nawet małe już się nauczyły, jak bezpiecznie dotrzeć do schronu, a Freddiego chronić Vera. Im nic nie groziło. Co innego tata, który strzegł porządku na ulicach. Lecz gdyby, nie daj Boże... Mama już ją powiadomiła.

**M**aggie obudził łomot kołatki u drzwi. Zamroczona, dźwignęła się z kanapy po ledwie krótkiej drzemce i narzuciwszy szlafrok na ramiona, chwiejnym krokiem wspięła się po schodach. Pewnie Colin zapomniał kluczy. Jak na złość, akurat gdy Roger wreszcie się uciszył i pozwolił jej przymknąć oczy. Przez całą noc bezskutecznie próbowała go utulić przy wtórze siarczystych grzmotów ponad głową.

Pełna pretensji, wygładziła potargane włosy i szarpnęła drzwi, lecz wymówki zamarły jej na ustach na widok nieznanego policjanta.

Inspektor Gordon Droy nie palił się do spotkania z żoną podwładnego, który dołączył do brygady raptem w styczniu. Droy nie wnikał, z jakiego powodu policjant wystąpił o przeniesienie – ważne, że doskonale uzupełnił niedobory w zespole, a przełożony nad wyraz cenił sobie jego rzetelność i inwencję przy jednoczesnym zdyscyplinowaniu. Peterson potrafił zachować zimną krew w krytycznych sytuacjach i brał aktywny udział w działaniach ratunkowych po nalotach. Jego śmierć była dla wszystkich wielką stratą.

Posterunkowy Andy Sharpe znalazł ciało leżące na chodniku zaledwie kilkaset metrów od komisariatu. Zważywszy na brak widocznych ran sierzant musiał zginąć od siły rażenia pocisku, który staranował pawilon handlowy nieco dalej.

Sharpe natychmiast pobiegł złożyć doniesienie, ale wcześniej obszukał zwłoki, by zabrać odznakę Colina, portfel, gwizdek policyjny oraz pałkę. Osobiste drobiazgi pozostawionych bez nadzoru ofiar często padały łupem okolicznych bandytów.

– Wybuch dosięgnął go chyba w drodze do pracy – relacjonował Sharpe oficerowi dyżurnemu. – Swoją drogą dziwne, że na ciele nie znać najmniejszych obrażeń. Wygląda, jakby spał. Szkoda dobrego gliny.

Funkcjonariusz przyjmujący zgłoszenie przytaknął z ciężkim sercem. Colin Peterson cieszył się ogólną sympatią, a ponadto był już drugim pracownikiem komisariatu zabitym w ciągu trzech dni. Pozostawało zawiadomić inspektora Droya i zorganizować transport zwłok do kostnicy.

Gordonowi zatem przypadła w udziale misja przekazania smutnej wieści wdowie. Odnalazłszy numer trzydzieści cztery przy Marden Road, uświadomił sobie, jak mało do tej pory interesowało go życie prywatne podwładnego. Nie wiedział, gdzie Peterson mieszka, czy ma dzieci, jak się nazywa jego żona...

Co nie zmieniało faktu, że jako zwierzchnik miał obowiązek powiadomić bliskich osobiście. Że też nawet po tylu latach człowiek nie umiał przywyknąć.

Oficer wyprężył pierś, przybrał kamienny wyraz twarzy i zastukał do drzwi. Wobec braku reakcji po paru chwilach ponownie ujął kołatkę. Pani Peterson chyba nie wyszła z domu przed dziewiątą? Droy za wszelką cenę pragnął uniknąć scenariusza, w którym żona dowie się o śmierci sierzanta od kogoś innego, zanim on zdąży oficjalnie ją poinformować.

Już miał zapukać po raz trzeci, gdy z wewnątrz doleciało szuranie oraz szcęk zamka.

– Pani Peterson? – Funkcjonariusz skłonił się wyraźnie zaspanej kobiecie w szlafroku. – Inspektor Droy. Pozwoli pani, że wejdę?

Maggie posłała mu zaniepokojone spojrzenie.

– Chodzi o Colina? Co się stało? Jest ranny?

– Czy możemy porozmawiać w środku? – powtórzył Droy miękko i postąpił naprzód.

Maggie bez słowa zawróciła w głąb korytarza, więc inspektor podążył za nią do salonu, gdzie w pierwszej kolejności odsłoniła okna zaplombowane na noc, wpuszczając do wnętrza potok światła, po czym wbiła w gościa wytężony wzrok.

– Słucham.

– Niestety przynoszę złe wieści. Sierżant Peterson poniósł śmierć na służbie dzisiaj w nocy. Bardzo mi przykro.

Maggie osunęła się na brzeg krzesła, jakby w otępieniu.

– Znalaziono go rankiem na ulicy. Zginął od eksplozji, która wysadziła kilka sklepów obok – podjął Droy, lecz znów odpowiedziało mu długie milczenie.

– Dziękuję za wiadomość – odezwała się wreszcie Maggie.

W tej chwili za ścianą zakwiliło dziecko.

– Roger się obudził i woła o śniadanie – wyjaśniła kobieta, wskazując wzrokiem drzwi.

– Mają państwo syna?

– Tak. Do zeszłego tygodnia był u mojej mamy, nim zdążyliśmy się zadowozić w Plymouth... – Głos odmówił jej posłuszeństwa.

Droy widział, że ze wszystkich sił próbuje powstrzymać łzy.

– Czy mogę wezwać kogoś bliskiego, by nie była pani teraz sama? – zapytał niezręcznie.

Maggie zaprzeczyła głową.

– Zostaliśmy tylko we dwoje.

– A pani mama...? – Droy potrafił kojarzyć fakty.

– Przeniosła się do Szkocji – brnęła w zaparte Maggie. – Dlatego musieliśmy ściągnąć tu Rogera, mimo zagrożenia.

Coraz bardziej natarczywy lament wywołał ją z pokoju. Gordon podszedł do okna, za którym rozciągało się przestronne czarne niebo. „Ile jeszcze trzeba poświęcić w tej wojnie? – pomyślał w przypływie złości. – Jakim prawem jeden szwabski zbir bezkarnie rozporządza losem tej dzielnej kobiety, skazując ją na samotne wychowanie dziecka w obcym mieście?” Zerknął na dwie oprawione w ramki fotografie na gzymsie kominka: zdjęcie ślubne Petersonów oraz portret ciężarnej Maggie na wczasach. Dziwne, że brakowało choćby jednej migawki z synkiem.

Chwilę potem wdowa wyłoniła się z kuchni z niemowlęciem na biodrze.

– Przepraszam, ale muszę go przewinąć i nakarmić.

Był to jasny sygnał do pożegnania, lecz Gordon nie miał jej za złe. Spełnił swoje zadanie, a opieka nad dzieckiem mogła przynieść biedaczce najwięcej pociechy.

– Czy mogę pomóc w jakikolwiek sposób? Czegoś pani brak? – Gordon zawiesił głos.

– Oprócz ojca dla mojego syna? – odparła Maggie z goryczą.

Oficer nie odpowiedział.

– Gdzie on jest? Dokąd zabrano ciało? – zainteresowała się nagle.

– Do identyfikacji w kościele St Mark’s. Czy zechciałaby pani... – Inspektor urwał po raz kolejny.  
– Potwierdzić tożsamość zwłok?  
– Nie ma takiej konieczności – pośpieszył z wyjaśnieniem. – Wystarczy poświadczenie kogoś z nas.

– Nie trzeba. – Maggie spojrzała na dziecko w swoich ramionach. – Pójdziemy pożegnać tatę, prawda, skarbie?

– Jeżeli tylko pani sobie życzy, ktoś z posterunku może wam towarzyszyć.

Kobieta znów potrząsnęła głową.

– Dziękuję. Damy sobie radę.

– Oczywiście – przytaknął Droy. – Ale w razie potrzeby proszę się nie krępować. – Inspektor położył na stole przedmioty znalezione przy zwłokach Colina. – Pomyślałem, że zechce je pani zachować.

Na ulicy doznał uczucia niemal fizycznej ulgi. Zachowanie żony sierżanta uwierało go nieprzyjemnie, choć na przestrzeni dwóch dekad policyjnej kariery nauczył się nie oceniać. Każdy przeżywał śmierć bliskich inaczej, szczególnie w chwili szoku. Pani Peterson najwyraźniej zamierzała uczcić pamięć męża, poświęcając się bez reszty jego dziecku.

Po wyjściu funkcjonariusza Maggie zaniosiła Rogera do kuchni, by zdjąć brudną pieluszkę, opłukać małego w zlewie i przygotować butelkę.

Póki dziecko wymagało uwagi, śmierć Colina niejako do niej nie docierała, lecz gdy mały w poczuciu sytości zasnął na jej kolanach, myśli Maggie wróciły do wydarzeń poprzedniego wieczoru. Pozwoliła mu wyjść bez pożegnania, krzycząc, by nie wracał.

– A teraz odszedł na zawsze – powiedziała w ciszy.

Na moment wezbrał w niej absurdalny gniew, jakby mąż celowo jej dokuczył. Tak usilnie nalegał na wyjazd z Londynu, by teraz zostawić ją samą? Przez ostatnie miesiące narosła między nimi uczuciowa przepaść. Colin wpadł w wir nowej pracy, a ona coraz bardziej dziczała w swej samotni. Dopiero pojawienie się Rogera przywróciło im poczucie wspólnoty i dawnej bliskości – do chwili gdy postanowił zgłosić dziecko władzom, odbierając Maggie jedną ręką to, co przed chwilą ofiarował drugą. Zasłużyła sobie na nauczkę. Chcąc obrócić na swoją korzyść dramat obcej rodziny, teraz straciła własną.

Ciałem Maggie wstrząsnął urywany szloch, a spod powiek wymknęły się łzy gorącego żalu. Przygarnęła niemowlę desperackim gestem i łkała rozpaczliwie do utraty sił.

– Zostaliśmy sami, Roger – wychrypiała przez zaciśnięte gardło. – Mamy tylko siebie.

Kilka godzin później podjęła przygotowania do wizyty w kościele, by po raz ostatni zobaczyć Colina. Z braku wózka postanowiła sfabrykować nosidełko z chusty przewiązanej przez ramię wzorem wielu kobiet, które widywała na ulicy. Podobne wynalazki już od dawna nikogo nie dziwiły – pozbawieni wszystkiego ludzie radzili sobie, jak mogli. Wkrótce potem, owinięta w starą szydełkową etolę swojej matki, z Rogerem na temblaku wyruszyła w stronę śródmieścia.

Przed posterunkiem Colina opadły ją wątpliwości. Może jednak poprosić o asystę? Czy jest w stanie zmierzyć się z tym sama? A nuż spanikuje pośród setek drastycznie okaleczonych ciał?

Wychodzący z budynku inspektor Droy rozpoznał skonsternowaną kobietę na chodniku.

– Pani Peterson? – zagadnął, podchodząc bliżej.

– Idę zidentyfikować Colina. Tylko... – Maggie przygryzła wargi.

– Tylko nie chce pani być tam sama – dokończył łagodnie Droy. – Nic dziwnego. Andy Sharpe, który znalazł Colina, jest na posterunku. Poproszę, aby pani towarzyszył.

– Znam tylko nazwisko ze słyszenia, ale nigdy go nie poznałam – wybąkała Maggie.

– To przemiły chłopak. Dobrze się rozumiał z pani mężem.

Maggie westchnęła bez przekonania.

– Dobrze, dziękuję.

– Wejdzie pani ze mną? – zaproponował inspektor.

– Nie, poczekam tutaj – odmówiła Maggie.

Gordon skinął głową. Lepiej było oszczędzić jej dodatkowych wrażeń. Chwilę potem z budynku wyłonił się Andy Sharpe. „Chłopak”, jak go określił inspektor, wydawał się w zblizonym wieku do Colina. Zauważywszy Maggie na chodniku, wysoki blondyn o błękitnych oczach podszedł do niej z czapką pod pachą.

– Dzień dobry. Nie mieliśmy okazji się poznać, ale mimo to proszę przyjąć szczerze wyrazy współczucia – powiedział z szacunkiem. – Wszyscy polubiliśmy sierżanta, będzie go bardzo brakować.

Wobec milczenia Maggie uśmiechnął się do Rogera dyndającego w fałdach wełnianego szala jak w hamaku.

– Nie wiedziałem, że mają państwo dzieci.

– Syna – uściśliła Maggie. – Do niedawna mieszkał u babci. – Sprawnym ruchem podsadziła dziecko na biodrze. Bobas nie był przesadnie wyrośnięty, lecz na dłuższą metę zaczynał jej ciążyć.

Andy połaskotał aksamitny policzek.

– Cześć, kolego – zagadał.

Roger najpierw zmierzył go przenikliwym wzrokiem, a następnie obiema rączkami ucapił palec mężczyzny, rozdziawiając się w bezzębnym uśmiechu.

– Przeuroczy fąfel – rzekł Andy, kompletnie rozbrojony.

W ciszy pokonali odległość do przybytku St Mark’s. Funkcjonariusz nie odstąpił Maggie na krok, kiedy dyktowała dane męża do rejestru ofiar, i wraz z nią taktownie skłonił głowę nad ciałem zmarłego. Twarz Colina wyglądała niby zwyczajnie, a zarazem obco. Maggie pod wpływem wzruszenia odwróciła głowę i z oczami pełnymi łez wyszła na dziedziniec.

Andy dyskretnie pozostawał z tyłu, a gdy emocje opadły, zbliżył się, podając jej ramię.

– Odprowadzić panią do domu? Mogę wziąć Rogera, jeżeli jest pani ciężko.

Maggie zaborczym ruchem przytuliła dziecko.

– Nie trzeba. Dziękuję, wszystko w porządku.

– Przydałby się wózek. Lada chwila będzie za ciężki, aby go taszczyć na plecach.

– Mieliśmy poszukać, ale teraz... – zacukała się Maggie.

Przez jakiś czas szli w milczeniu, zanim Andy ośmielił się zapytać:

– Czy ma pani kogoś do pomocy?

Maggie pokręciła głową.

– Mieszkamy tu od niedawna, a przy pracy Colina nie zdążyliśmy jeszcze nawiązać bliższych znajomości. – Po chwili zastanowienia dodała: – Teraz to ja muszę utrzymać nas oboje.

Na rogu Marden Road Maggie przystanęła przed witryną sklepu pana Granta.

– Wstąpię po zakupy – rzekła. – Dziękuję panu za pomoc. Dalej dam sobie radę.

Odprowadzony w ten sposób Andy odprowadził ją wzrokiem do lady, cudem unikając zderzenia z wychodzącą od rzeźnika kobietą.

– Przepraszam najmocniej! Gdzie ja mam oczy? – zawołała.

– Nie szkodzi. – Andy, tknięty nagłym przecuciem, postanowił skorzystać z okazji. – Przepraszam, czy zna pani brunetkę z niemowlęciem, która właśnie weszła?

Nieznajoma obejrzała się na Maggie piastującą dziecko w kolejce i potrząsnęła głową.

– Z widzenia – rzekła. – Nie znam jej osobiście, tylko wiem, gdzie mieszka i że jej mąż jest policjantem, jak pan.

– Był. – Andy zniżył głos. – Zginął ostatniej nocy. Biedaczka właśnie potwierdziła tożsamość zwłok.

– To straszne! – wykrzyknęła kobieta.

– Sprowadzili się tu ostatnio, więc nie ma bliskich przyjaciół w okolicy. – Andy zerknął na kobietę poufnie. – Czy mogłaby pani zajrzeć do niej w wolnej chwili? Na początku będzie jej trudno samej z małym dzieckiem.

Stella Todd największym wysiłkiem zdołała ukryć zdziwienie.

– Oczywiście. Mieszkam po sąsiedzku, więc będę mieć na nią oko.

– Bardzo pani uprzejma. – Andy posłał jej pełen wdzięczności uśmiech, na odchodnym muskając daszek czapki.

Stella Todd popatrzyła za nim, po czym przeniosła świdrujący wzrok na panią Peterson w sklepie. „Elsie padnie, gdy to usłyszysz!” Zaaferowana, pośpieszyła z nowiną do przyjaciółki.

– Nie uwierzysz, czego się dowiedziałam! – wypaliła na poczekaniu, zaróżowiona z emocji, gdy Elsie wpuściła ją do sieni. – Co za nieszczęście! – ciągnęła Stella, zdejmując płaszcz w drodze do kuchni. Z westchnieniem przywołała na twarz wyraz ubolewania. – Szkoda tej Peterson...

– Bo co? – Elsie nastawiła uszu jak należy.

– Jej mąż, ten policjant, zginął dzisiaj w nocy.

– Co zrobić... Choć podejrzewam, że w ostatnim czasie takich jak ona musi być na pęczki. David Shawbrook dwa dni temu stracił prawie całą rodzinę. To dopiero dramat! Naturalnie zaprosiliśmy go do siebie na kilka dni, od czego są przyjaciele?

Stella, zła, że jej rewelacje nie wywołują efektu, sięgnęła po ostatniego asa.

– Chyba odwiedzę ją jutro. Może trzeba pomóc przy dziecku...

– Jakim dziecku? Oni nie mają dzieci.

– A właśnie że tak. – Stella spuściła oczy, delektując się odzyskaną przewagą. – Widziałam dzidziusia. Odprowadził ich jakiś policjant, pewnie znajomy męża. Prosił, abym wpadła do niej raz na jakiś czas sprawdzić, jak sobie radzi.

– Bezczelność! – oburzyła się Elsie. – Obcy mężczyzna!

– Moim zdaniem to raczej miło z jego strony.

– Skoro tak twierdzisz... Tylko pamiętaj zabrać mnie ze sobą.

– Wybieram się tam jutro po południu – oznajmiła Stella.

– W porządku. – Elsie kiwnęła głową. – Spotkajmy się po obiedzie i pójdziemy razem.

– Zgoda – odparła Stella bez entuzjazmu. „Cała Elsie! Wszędzie musi wcisnąć swoje trzy grosze!”

Andy Sharpe ani przez chwilę nie sądził, że jego impulsywnie rzuconej prośbie tak szybko stanie się zadość. W drodze na komisariat obmyślił więc swoją strategię, by wesprzeć żonę kolegi, i po powrocie



udał się prosto do Droya.

– Pani Peterson została sama z dzieckiem bez środków do życia – wyznał inspektorowi. – Proponuję zorganizować zrzutkę na posterunku, by pomóc jej stanąć na nogi.

Gordon Droy zmarszczył brwi.

– Dość ryzykowny pomysł. Nie robiliśmy tego w przypadku innych rodzin.

– Prawda, lecz jest tu nowa i nie ma na kogo liczyć. Wystarczy kilka groszy, co łaska. Zawsze to jakaś ulga, przynajmniej w pierwszych dniach.

Droy ustąpił z westchnieniem.

– Dobrze, ale proszę wyjaśnić, że to od początku do końca dobrowolna inicjatywa. – Wyjął z kieszeni banknot. – Na zachętę.

# 10

W sobotni poranek po dyżurze Mu pośpieszyła do szatni i gdy wyszła na spotkanie Patricka w szarej garsonce i zielonej bluzce, z burzą płomiennych włosów wokół twarzy, wyglądała jak obraz wiosny. Na jej widok mężczyzna zaniemówił z zachwytu.

W przeddzień późnym wieczorem przejął od Malcolma kluczyki na strzeżonym parkingu.

– Zgodnie z umową macie pełen bak i dodatkowo kanister w bagażniku. Powinno wystarczyć na drogę w obie strony. O ile wciąż zamierzacie tam jechać.

– Oczywiście – obruszył się Patrick. – Dlaczego nie?

– Ponoć Plymouth już ledwo zipie. Od kilku dni Luftwaffe przypuszcza szarżę za szarżą. Niekoniecznie bym się tam teraz pakował.

– Nie miałem czasu śledzić wiadomości.

– BBC alarmuje, że miasto jest na wykończeniu.

– Trudno. Musimy jechać do rodziców Mu. – Patrick obstawał przy swoim.

– Byleście ich znaleźli – stwierdził Malcolm cicho.

– Aż tak?

Towarzysz skinął głową.

– Doniesienia brzmią niewesoło.

– Tym bardziej trzeba pojechać – uznał Patrick. – Tylko w ten sposób upewnimy się, że nic im nie jest.

– To prawda – ustąpił Malcolm. – Oby wam się udało.

Patrick przypomniał sobie chaos, jaki zapanował w Portsmouth po nalocie ponad miesiąc wcześniej. Zdobycie jakiegokolwiek informacji graniczyło z cudem. W Plymouth pewnie będzie podobnie. Czy powinien uprzedzić Muriel, o ile sama jeszcze nie słyszała? Postanowił zdać się na wyczucie przy spotkaniu następnego ranka.

– Odstawię auto na miejsce w niedzielę przed północą – obiecał przyjacielowi.

– Pamiętaj, by zamknąć garaż i przynieść mi kluczyki. – Malcolm wyciągnął rękę. – Powodzenia i szerokiej drogi.

Na widok narzeczonej Patrick doszedł do wniosku, że lepiej pominąć temat. W pracy przez całą noc pewnie nie miała okazji słuchać radia, więc po co fundować jej dodatkowy stres w trakcie podróży? Wystarczy, że on będzie drżał z nerwów na zapas. „Dosyć ma dzień swojej biedy” – o Plymouth zatroszczyć się w Plymouth.

Dziewczyna podbiegła ku niemu jak w skowronkach. Sięgając po jej torbę, oficer lekko cmoknął Mu w policzek.

– Masz wszystko, co trzeba?

Bagaż okazał się raczej skromny.

– Tak jest – zapewniła Muriel.

– Zatem w drogę! Zaparkowałem tuż obok.

Patrick kurtuazyjnie otworzył drzwi po stronie pasażera i pomógł ukochanej wsiąść.

– To ci luksus! – stwierdziła, ogarniając wnętrze zachwyconym wzrokiem. – Naprawdę należy do Malcolma?

– Ścisłej: do jego ojca. Miejmy nadzieję, że prowadzi się tak samo świetnie jak wygląda. – Patrick wskazał tylne siedzenie. – Wziąłem koc i poduszkę, na wypadek gdybyś chciała się zdrzemnąć.

Mieli do pokonania długą trasę, choć ruch był względnie niewielki. Wkrótce po wyjeździe z miasta Mu przeniosła się na przygotowane posłanie i zapadła w sen. Kilka godzin później zrobili postój na piknik. Wyciągnięci na trawie, na moment zapomnieli o przekleństwie wojny, rozkoszując się zimną herbatą i kanapkami z serem, zanim Muriel znów zajęła fotel u boku kierowcy, by ruszyć w dalszą drogę. W pobliżu Exeter zaczęła rozpoznawać znajome zakątki. Późnym popołudniem dotarli na szczyt Haldon Hill, za którym rozciągało się Plymouth. Z daleka ujrzeli gęstą zawiąsinę ponad miastem.

– To tym? – Muriel wstrzymała oddech. – Ciągle się pali?

– Zapewne – rzekł Patrick posępnie. – Pamiętasz, jak długo gasiliśmy ogień u nas po inwazji w marcu?

Trudno było zapomnieć. Po dwóch nocach intensywnego szturmie całe połacie Portsmouth objął ogień. Przez wiele dni strażacy z całego regionu nie mogli zapanować nad sytuacją.

W pełnym napięcia milczeniu zjechali na dno doliny, coraz bardziej wstrząśnięci skalą dokonanych zniszczeń. Na przedmieściach napotkali pierwsze przeszkody w postaci osuwisk gruzu i wyłomów na powierzchni drogi, a im bliżej centrum, tym trudniej było manewrować pośród wyłączonych z ruchu fragmentów ulic, płonących zabudowań i akcji ratowniczych. Ostatecznie Patrick zaparkował auto w nieco mniej zdewastowanym zaułku i odległość do Suffolk Place przebyli już pieszo. Mu wskazywała drogę, choć i jej trudno się było rozeznąć w spopielałym terenie. Z przerażeniem mijają szczątki znajomych miejsc, aż skręcili w Haversham Road.

– To już następna przecznica – zapewniła z nadzieją, lecz na skrzyżowaniu nogi się pod nią ugięły.

Nie było następnej przecznicy. Tam, gdzie kiedyś biegła cicha, zielona uliczka, teraz wznosiły się zwały strzaskanego betonu i szmelcu. Ani jeden dom się nie ostał pod naporem wojennej furii. Muriel postąpiła krok naprzód, ale chrząst szkła pod stopami znów ją sparaliżował.

– To tu... – szepnęła, wyciągając rękę w kierunku sterty cegieł, na której spoczywały wyrwane z zawiasów drzwi frontowe. – Nasz dom!

Drżąc na całym ciele, zwróciła na Patricka załzawione oczy, a ten wziął ją w ramiona, pełen żalu. Ponad głową dziewczyny objął wzrokiem apokaliptyczny krajobraz, gdy na tyłach rumowiska pochwycił skrawki zieleni. U Shawbrooków spod trawy sterczało charakterystyczne wybrzuszenie. Nie miał najmniejszych złudzeń co do możliwości przetrwania bombowego ataku w Andersonie, ale przyszło mu na myśl coś innego.

– Mówiłaś, że twoja rodzina ukrywała się w miejskim schronie?

Mu potwierdziła głową, niezdolna wydobyć głosu.

– Więc prawdopodobnie ocaleli, tylko nie mają gdzie mieszkać. Służby na pewno zadbały o tymczasowe lokum dla bezdomnych. Wystarczy zasięgnąć języka w punkcie ratunkowym.

Jego słowa trafiły Muriel do przekonania. Osuszyła oczy podsuniętą chustką i wydmuchała nos.

– Masz rację – zachrypiała. – Trzeba się dowiedzieć, dokąd ich wysłali.

– Gdzie jest najbliższe centrum opieki? – Patrick wyczuł potrzebę działania.

– Nie wiem, ale znam drogę do jednostki taty. – Mu jeszcze raz zerknęła za siebie, po czym wsparta na ramieniu narzeczonego, zawróciła na Haversham Road.

Od bazy straży miejskiej dzieliło ich kilkaset metrów, lecz należało bacznie patrzeć pod nogi. Wszędzie kłębili się ludzie: ratownicy szukający ofiar, służby porządkowe usuwające gruz, strażacy zmobilizowani do pożarów lub zwyczajni gapie, niezdolni otrząsnąć się z pierwszego szoku. Mu, na przekór obawom wzbierającym jej w piersi z każdym krokiem, wpadła w gorączkowy słowotok.

– Taty raczej nie będzie w pracy o tej porze. Pewnie gdzieś odsypia przed wieczorem, razem z mamą i dziećmi. Ale dyżurny powie nam, gdzie ich szukać.

Brzmiało to nader rozsądnie, lecz z uwagi na zamęt dookoła Patrick nie podzielał jej optymizmu. Przy takich ubytkach w zabudowie setki rodzin znalazły się na ulicy. Losy konkretnych przedsiębiorców mogły być bardzo trudne do ustalenia.

Przed sztabem straży wiły się nieskończone kolejki potrzebujących pomocy, żywności, ubrań lub kąta do spania. Większość odsyłano po rejestracji do punktu wydawania posiłków przy sąsiedniej ulicy. Patrick i Mu cierpliwie odstali swoje, gdy przy samych drzwiach dobiegł ich zdumiony głos:

– Muriel? Muriel Shawbrook?

Mu przez ułamek sekundy bezskutecznie szukała w pamięci ewidentnie znajomych rysów.

– To ty, prawda? – upewnił się mężczyzna, a na widok zmieszania dziewczyny dorzucił: – Paul Jefferson, stary znajomy taty.

– Naturalnie, przepraszam. – Mu wypuściła powietrze. – W pierwszej chwili nie skojarzyłam.

– Ja pewnie też bym nie poznał, gdyby nie włosy.

Paul nagle zdał sobie sprawę, że córka przyjaciela i towarzyszący jej przystojniak nie wiedzą, co się stało, skoro przyszli szukać Davida w pracy. Uśmiechnął się do młodego oficera, lecz Muriel wpadła mu w słowo:

– To Patrick. Czy wie pan, gdzie znaleźć tatę?

Środowy atak, który kosztował życie Colina Petersona, trwał do samego brzasku. Przez całą noc miastem targały eksplozje poprzedzane strasliwym skowytom bombowców raz po raz nurkujących w płomieniach. Nienasycony żywioł trawił wszystko na swojej drodze, sabotując wysiłki ochotników, którzy w nieskończoność pompowali wodę i wiadrami znosili piasek do tłumienia mniej intensywnych pożarów, podczas gdy skrzyknięte zewsząd profesjonalne służby z drabinami i szlauchami pod ciśnieniem próbowały poskromić zmasowany ogień bez wyjątku pochłaniający sklepy, biura, urzędy oraz domy. Plymouth niknęło w oczach, a jego obrońcy gonili resztkami sił. Lecz nikt ani myślał ustąpić.

Równy z odwołaniem alarmu spod ziemi wylegały tłumy ludzi, a z okolicznych wiosek docierały pełne autobusy – całe miasto staowało w gotowości, aby solidarnie zastąpić tych, którzy dali z siebie wszystko w ciągu nocy. Bezmiar dewastacji odkrywany każdego ranka mobilizował kolejne grupy mieszczan do pomocy.

Przez następne dni cywilne oddziały obronne krążyły od dzielnicy do dzielnicy, ratując życie i mienie nieustannie zagrożone ogniem. David i Paul urabiali się ponad siły, zaglądając do Jeffersonów jedynie na szybką przekąskę i kilka godzin snu, by natychmiast znów dołączyć do interwencji. Sieć wodociągowa padła, a odsłonięte rury do przesyłu gazu piekły się na słońcu. Wszędzie czyhało zagrożenie detonacją przypadkowych niewypałów ukrytych pod gruzami. Wieczorem kto żyw salwował się ucieczką na prowincję w przekonaniu, że kolejnej nocy nieprzyjaciel dokończy dzieła i tym razem zrówna miasto z ziemią. Upagnioną przerwę w obłęzeniu powitano więc niczym zbawieniem.

W piątkową noc David powrócił do rozważań na temat wyprawy do córki. Bezwzględnie należało ją poinformować o utracie bliskich, lecz nie mógł się zdobyć na wykonanie telefonu. Pozostawało jedno.

O wschodzie słońca wymknął się z terenów objętych akcją ratowniczą i tak jak stał, pokryty pyłem i sadzą, ruszył w kierunku dworca z garścią monet w kieszeni. W barze na stacji oporządził się nieco w toalecie i zamówił kanapkę z boczkim oraz kubek herbaty w oczekiwaniu na pociąg. Wszystko jedno który, byle w dobrą stronę. Cudownym zrządzeniem losu trakcje ocalały, więc David nabył bilet i usiadł na peronie. Pierwszym składem dotarł do Exeter, a dopiero dziewięć godzin później i po trzech przesiadkach stanął na dworcu w Portsmouth. Mimo że spał w podróży, ukołysany miarowym stukotem pociągu, po całonocnej orce czuł się wyprany z energii, obolały i nieszczęśliwy. Nie znając adresu Muriel, postanowił przywołać taksówkę i poprosić o kurs do szpitala.

Na dziedzińcu Royal Hospital opadła go trema przed spotkaniem z córką, ale przemógł się i wszedł do budynku. Na recepcji dyżurowała około pięćdziesięcioletnia kobieta o twarzy noszącej ślady takiego odretwienia, jakie David czuł teraz w każdej komórce ciała.

- Dzień dobry. W czym mogę pomóc? – zapytała znużonym głosem bez cienia życzliwości.
- Szukam Muriel Shawbrook. Jest tu pielęgniarką.
- Przykro mi, nie mam dostępu do informacji na temat personelu.

– Nie może pani sprawdzić, kiedy ma dyżur?

– Niestety.

– To proszę zapytać! – David był bliski desperacji. – Przyjechałem z Plymouth, aby ją odnaleźć!

Na jego twarzy musiał się odbić wyraz skrajnego wyczerpania i bezsilności, bo kobieta wyraźnie złagodniała, a nawet obdarzyła go nikłym uśmiechem.

– Najprędzej dowie się pan w internacie dla pielęgniarek – poradziła dyskretnie. – Prowadzą tam szczegółowe kartoteki.

– Dziękuję – rzekł David z niepomierną ulgą. – Daleko do internatu?

– Nie, to tuż za rogiem. Taki kanciasty blok na tyłach szpitala. – Kobieta zanotowała adres na kartce papieru. – Nie sposób przegapić.

David z wdzięcznością schował świstek do kieszeni.

– Powodzenia – dorzuciła recepcjonistka na pożegnanie.

Podążając za jej wskazówkami, szybko znalazł właściwy budynek, lecz brak widocznego szyldu kazał mu się zawahać. Przez chwilę kontemplował szarą kwadratową fasadę, jakby w nadziei, że Mu przywoła go z okna, gdy na progu pojawiła się młoda dziewczyna w cywilnym ubraniu i zbiegła po schodach.

– Przepraszam – zaryzykował David. – Czy to internat pielęgniarek?

Zagadnięta zwolniła kroku, obrzucając nieufnym spojrzeniem jego niechlujny wygląd.

– Szukam córki i nie wiem, czy dobrze trafiłem. Może pani zna Muriel Shawbrook?

Dziewczyna odprężyła się nieco.

– Mu! Oczywiście. Ale nie potrafię powiedzieć, czy jest teraz u siebie. Pracujemy na różnych oddziałach.

– Muszę z nią porozmawiać. To ważne.

Widząc, że przybysz ślania się na nogach ze zmęczenia, dziewczyna zawróciła do wejścia.

– Zapytam – powiedziała. – Chociaż pewnie jest w pracy.

U schyłu schodów obejrzała się na Davida, który wciąż tkwił na chodniku.

– Proszę wejść, zaraz się rozpada – zachęciła z uśmiechem. – Alison Eltham.

– Dziękuję.

Dziewczyna powiodła go do świetlicy, gdzie kilka pielęgniarek odpoczywało przy herbacie.

– Kto wie, gdzie jest Mu? Ojciec do niej przyjechał.

– Jak to gdzie? A kto zaczarował siostrę Pearce, by wyfrunąć na cały weekend? – odezwała się Mandy kpiąco. – Jean wzięła jej zmianę, prawda, Christine? – Zerknęła na sąsiadkę. – Będzie tu lata chwila, zaraz zaczyna dyżur.

– A Muriel? – David nie nadął.

– Wybierała się chyba do rodziny... Bodajże do Plymouth? Nie jestem pewna, pamiętam tylko, że okropnie daleko.

David wlepił w nią oszołomiony wzrok.

– Dokładnie stamtąd przyjechałem.

Poczuł duszność w piersi, a podłoga uciekła mu spod nóg.

Christine w ostatniej chwili zdążyła chwycić go za ramię i odprowadzić na fotel.

– Ali, przynieś wody!

Pogrążony w ciemności David rejestrował dźwięki krzątania wokół jak przez mgłę.

– Proszę pana! Wszystko w porządku? – zabrzmiał pełen niepokoju głos gdzieś w pobliżu. Spróbował unieść powieki, lecz nie chciały go słuchać. Był zanadto zmęczony. Ktoś przytknął mu szklanekę do ust, więc upił odrobinę bez otwierania oczu.

– Niech odpocznie – westchnęła Alison. – Podróż z Plymouth musiała zająć cały dzień.

W holu zabrzmiał dzwonek telefonu. Mandy poszła odebrać, ale rozmowa nie trwała długo.

– Narzeczony Mu – zaanonsowała po powrocie. – Plymouth znów oberwało, a pan Shawbrook pracuje w straży miejskiej, więc całą noc był na nogach.

– Mu się zaręczyła? – Wśród dziewcząt zapanowało poruszenie. – Kiedy? Nic nie wiedziałam!

– Czego chciał? – Głos Christine wybił się ponad rozgardiasz.

– Są w Plymouth razem z Mu i szukają jej ojca.

– Więc zadzwonili tutaj?

– Podobno pan Shawbrook planował ją odwiedzić. Jednocześnie wpadli na ten sam pomysł. – Mandy pokręciła głową z niedowierzaniem. – W każdym razie jej narzeczony powiedział, że są już w drodze, i prosił, aby zająć się tatą Mu do ich powrotu.

– Ale kiedy to będzie? – sploszyła się Christine. – Ja na przykład zaczynam dyżur za godzinę.

– Poza tym nie może tu zostać – dodała Alison. – Siostra Roderick padnie, gdy zobaczy mężczyznę w świetlicy.

– W świetlicy to jeszcze pół biedy, byle nie na górze! – Christine parsknęła śmiechem. – Teraz go nie ruszymy, śpi jak kamień. Trzeba tylko uprzedzić dziewczyny z dziennej zmiany, aby mu pomogły.

W danej chwili faktycznie trudno było o lepsze rozwiązanie. Pielęgniarki wsunęły śpiącemu gościowi poduszkę pod głowę i okryły go kocem. David ani drgnął, mimo ich troskliwych zabiegów, nawet gdy Christine odważyła się ściągnąć mu buty.

Alison Eltham jednak nalegała, by uprzedzić szefową internatu o niecodziennej wizycie.

– Lepiej wytłumaczyć, kto to i skąd się wziął, niż ryzykować, że siostra Roderick sama go odkryje.

– Jak wolisz – odparła Christine. – Tylko się streszczaj, bo urwą nam głowę za spóźnienie.

Alison wzięła głęboki oddech, jak przed wejściem do jaskini lwa, i zapukała do drzwi portierni. O dziwo kierowniczką wysłuchała jej ze zrozumieniem i obiecała zadbać o ojca siostry Shawbrook, gdy ten się obudzi.

– Nie do wiary – stwierdziła Alison chwilę później, zdając koleżance relację w szpitalnej szatni. – Ani złego słowa, tylko popędziła mnie do pracy.

– Ciekawe, po co przyjechał – odparła Christine w zamyśleniu. – Taki szmat drogi...

– To nie nasza sprawa. – Alison wzruszyła ramionami.

– Fakt – przytknęła Christine – ale co szkodzi pogdybać?

Wszyscy? – zachłysnęła się Muriel.

Paul z trudem przełknął kulę w gardle.

– Pocisk spadł prosto na schron. Nikt nie przeżył.

– Mama? Dzieci?

Informacja docierała do niej stopniowo, lecz gdy stało się jasne, że siedmioro członków jej najbliższej rodziny zginęło w bombardowaniu, pod dziewczyną ugięły się nogi. Patrick przyskoczył w porę i z narzeczoną w ramionach usiadł na ławce obok.

– Pobiegliśmy tam z twoim ojcem... – Głos Paula drgnął na wspomnienie mizernych szczątków odkopanych przez służby. – Przynajmniej nic nie poczuli.

Mu przeszył zimny dreszcz.

– Gdzie moglibyśmy się ogrzać i zjeść coś ciepłego? – spytał Patrick, obejmując ją ciałniej.

Paul zaprowadził ich do pubu Black Horse kilka ulic dalej, gdzie ochotnicy często wpadali w czasie przerwy. Zabezpieczona workami piasku fasada o ślepych oknach nie zachęcała do wejścia, za to jakby na przekór drzwi otwarto na oścież, a ze środka dobiegał gwar rozmów. Lawirując między stolikami, na których piętrzyły się kanapki i kufle piwa, Paul co rusz odpowiadał na zaczepki i pozdrowienia, ale nie przystawał, aż dotarli do osobnej salki na tyłach.

– Musisz napić się czegoś gorącego z dużą ilością cukru – rzekł Patrick, podsunąwszy Mu krzesło bliżej ognia, i poszedł złożyć zamówienie.

– Twój tata miał nadzieję, że zostali przy Suffolk Place – opowiadał Paul, gdy żołnierz wrócił do stołu. – Lecz na miejscu nie było nikogo, a wasz dom przypominał wydmuszkę. Mimo tego David uparł się, by wejść do środka...

– Gdzie wejść? – Mu zmarszczyła brwi. – Przecież tam została tylko sterta gruzu!

– Wtedy jeszcze nie. Dopiero następny nalot rozbił wszystko w proch – wyjaśnił Paul.

– Czyli po pierwszym szturmie tata zdążył przeszukać dom?

– Całe szczęście nic mu się nie stało. Ale znalazł tylko ślady męskich stóp na podłodze, pewnie po złodziejach. Że też ludzie połaszają się na cokolwiek, choćby z narażeniem życia.

– Biedny tata – załkała Muriel, czepiając się dłoni Patricka jak ostatniej deski ratunku.

– Przez kilka dni mieszkał u nas – ciągnął Paul. – Niełatwo teraz o miejsce w noclegowni. Lecz koniecznie chciał ci powiedzieć prosto w oczy.

– Kochany – wyszeptała dziewczyna z przygnębieniem. – Czyli zostało nas troje. Zawiadomił Tony'ego?

– Nie wiem. Zamierzał do niego napisać po rozmowie z tobą, ale potem nie było kiedy wyrwać się do Portsmouth. Podejrzewam, że pojechał dzisiaj, bo nikt go nie widział od świtu.

– Jak chciał mnie odnaleźć? Przecież adres znała tylko mama.



– Sądził, że ktoś wskaże mu internat przy szpitalu.  
– Powinniśmy tam zadzwonić! – ożywił się Patrick.  
– Po co? – spytała Mu bez wyrazu.  
– Jeżeli dotarł do Portsmouth, poprosimy, aby zaczekał, i natychmiast wracamy.  
Muriel zamrugwała, niezdolna zebrać myśli.  
– Brzmi rozsądnie – ocenił Paul. – Szkoda byłoby się minąć po raz drugi. Ma pan samochód? – zapytał podporucznika.

– Kolegi.  
– Przynajmniej nie grozi wam noc gdzieś w poczekalni na dworcu.  
– Przyjechaliśmy, aby im powiedzieć. Nie zdążyliśmy... – wyszeptała Muriel.  
Paul rzucił jej pytające spojrzenie, lecz dziewczyna ukryła twarz w dłoniach.  
– Bierzemy ślub – wyjaśnił Patrick. – Przyjechaliśmy po błogosławieństwo.  
– Za późno. Mama cię nigdy nie pozna. – Mu zaniosła się rozpaczliwym szlochem.  
W tej chwili kelnerka przyniosła herbatę i kanapki. Paul napełnił trzy filiżanki mimo protestów Mu, która dopiero po upiciu pierwszego łyku pojęła, jak bardzo jej to było potrzebne.

Patrick tymczasem wyszedł poszukać telefonu.  
– Dodzwoniłem się – oznajmił po powrocie. – Twój ojciec jest w internacie. Niejaka Mandy twierdzi, że zasnął praktycznie na stojąco.

– Przecież go wyrzucą! – wykrzyknęła Muriel.  
– Spokojnie. Twoje koleżanki zajmą się nim do naszego powrotu, a potem pomyślimy. – Jednym haustem opróżnił filiżankę, a kanapki zawinął w chusteczkę i schował je do kieszeni.

– Chodź, Mu. Długa droga przed nami.  
Paul odprowadził ich do samochodu.  
– Żałuję, że tak wyszło. Lepiej, by dowiedziała się od ojca – rzekł ze strapioną miną, gdy Patrick umościł dziewczynę na miejscu pasażera i zatrzasnął drzwi.

– Nie miał pan wyboru – pocieszył go oficer. – Proszę się nie martwić, znajdziemy go jak najszybciej. Powinni teraz być razem.

Echo własnych słów wciąż dzwoniło mu w uszach, gdy wyjeżdżał za rogatki miasta. Co to znaczy „teraz”? Kiedy młoda dziewczyna odkrywa, że straciła prawie całą rodzinę za jednym zamachem? Pod wpływem szoku jeszcze nie w pełni zdawała sobie sprawę z tego, co się stało, ale co będzie później?

– Proszę jechać ostrożnie – ostrzegł Paul na pożegnanie. – Podróż w jedną stronę to już ogromny wysiłek, a co dopiero powrót tego samego dnia.

Miał rację, choć oprócz odległości jazdę utrudniał mrok rozprasany tylko słabym światłem przednich reflektorów. Przez długi czas w aucie panowała cisza: Patrick koncentrował się na drodze, a Mu apatycznie spoglądała w okno. Dopiero za Exeter odezwała się niespodziewanie tonem towarzyskiej pogawędki.

– Byliśmy najlicniejszą rodziną na ulicy. Pierwszy urodził się Tony, a dwa lata później ja, jeszcze w czasie wojny. Następna w kolejce Vera ma... – zająknęła się nieporadnie – miała osiemnaście lat. Dalej Sammy: trzynastcie, Joey jedenaście, Winnie dziewięć i Angela siedem – dokończyła już bez czasowników. – Wołaliśmy na nią „Angel”. A na końcu pojawił się Freddie, dziewięć miesięcy temu. Łącznie dziesięć osób. Z czego dzisiaj zostało nas troje. Jaki w tym sens, Patrick? Po co w ogóle

przyszli na świat, skoro nawet nie było im dane w pełni się rozwinąć? Wierzysz, że Bóg istnieje? Bo ja nie. Jaki Bóg odbierałby życie, zanim się ono na dobre zaczęło?

Patrick pozwolił jej mówić, z trudem chłonąc przepełnione goryczą słowa poprzez warkot silnika. Gdy Muriel znowu umilkła, ogarnęła go nagła złość na hałaśliwą maszynę.

– Opowiedz mi o nich – poprosił. – Tak abym miał wrażenie, że poznałem każde z osobna.

W ten sposób przebyli spory fragment trasy. Mu snuła opowieść o losach swojej rodziny, wplatając wspomnienia i anegdoty z dzieciństwa przy Suffolk Place. Gdy w końcu zmorzył ją sen, Patrick tym dobitniej zdawał sobie sprawę z wyrwy, jaką śmierć bliskich poczyniła w sercu ukochanej.

„Jak zdołałam wypełnić ten brak? – zastanawiał się sfrustrowany. – Jak zastąpić siedmioro ludzi, którzy dotąd byli dla niej wszystkim, a w jednej chwili odeszli?”

Dotarli przed internat po godzinach zamknięcia, więc Muriel musiała dobijać się do drzwi, zanim w progu stanęła siostra Roderick.

– Dobry wieczór. Czekałam na panią – powitała sanitariuszkę.

– Czy mój ojciec jest tutaj?

– Nie. Proszę wejść, wszystko wyjaśnię. – Siostra Roderick cofnęła się w głąb sieni, a na widok Patricka dodała: – Pan może poczekać na ulicy.

Mu rzuciła narzeczonemu przepaszające spojrzenie.

– Wybacz – szepnęła. – To zajmie tylko chwilę.

Oficer skinął głową ze zrozumieniem. Na teren internatu nie wpuszczano mężczyzn.

W holu siostra Roderick oznajmiła:

– Ze zrozumiałych względów pani ojciec nie mógł tutaj zostać, więc po dyżurze siostra Burford zameldowała go w hotelu Royal Oak. Lepiej iść tam od razu, czeka na pani powrót.

Ocknąwszy się na wprost surowego oblicza szefowej internatu, David pośpieszył wyjaśnić przyczynę swojego przybycia. Siostrę Roderick niełatwo było wzruszyć, ale nawet ją chwyciła za serce tragedia rodziny Shawbrooków. Zasugerowała gościowi, by wynajął dwa pokoje w pobliskim hotelu, gdzie córka mogłaby dołączyć do niego po powrocie. Patrząc teraz na Muriel, utwierdziła się w przekonaniu, że dziewczynie potrzeba nieco czasu z ojcem.

– Proszę zgłosić się jutro przed wieczornym dyżurem.

– Dziękuję, siostrzo.

Gdy drzwi internatu zamknęły się za nią na klucz, Muriel powiodła Patricka do hotelu za węglem. Z uwagi na późną porę wszystkie okna budynku spowijała ciemność. W holu właścicielka Betty Price kończyła uprzątać bar, popatrując na ostatniego gościa tkwiącego nieruchomo ze szklanką whisky w dłoni na kanapie przed wygasłym kominkiem. Na widok pary młodych w progu kobieta zniknęła za wahadłowymi drzwiami na zaplecze. Przybycie córki wyrwało Davida z zamyślenia. Wstał i otworzył ramiona, w które Muriel rzuciła się z płaczem. Przywarli do siebie we łzach, zjednoczeni wspólnym cierpieniem.

– Tatusiu – szeptała Mu niby mała dziewczynka. – Jak to możliwe? Mama... nasze maluchy... wszyscy. To nie do zniesienia!

– Słyszałaś – stwierdził David, wypuszczając ją wreszcie z objęć.

– Szukaliśmy cię w bazie i Paul Jefferson powiedział... – kolejny szloch ścisnął dziewczynę za gardło – ...że pojechałeś do Portsmouth, bo...

– Chciałem sam ci powiedzieć.

– A my akurat pojechaliśmy do was.

– My? – David dopiero teraz dostrzegł wysokiego młodzieńca czekającego przy drzwiach.

– Chcieliśmy was odwiedzić, a teraz już za późno! – łkała Mu.

– Na co? – David stracił wątek. – Kto to jest?

– To Patrick, mówiłam już o nim mamie. Zamierzamy się pobrać. To miała być niespodzianka... –

Mu ponownie zalała się łzami.

David przytulił córkę, spoglądając ponad jej głową na oficera.

– Chce pan ożenić się z Muriel?

– Tak jest – odparł młody człowiek. – Podporucznik Patrick Davenham, Ochotnicza Rezerwa Królewskiej Marynarki Wojennej. Chciałbym prosić pana o zgodę na ślub z Mu przy najbliższej przepustce.

Następnego dnia przy śniadaniu i Mu, i jej ojciec wyglądali jak z krzyża zdjęci. Dziewczyna pojawiła się w barze z bladą twarzą i sińcami wokół oczu. W nocy długo wracała pamięcią do rozmowy, którą odbyli z tatą po odejściu Patricka.

Z początku żadne z nich nie umiało przełamać przykrego milczenia.

– Tony wie? – spytała wreszcie Mu.

David potrząsnął głową.

– Nie mam siły do niego napisać. Najchętniej bym go zobaczył.

– Dziękuję, że przyjechałeś.

– Musiałem się przekonać, czy żyjesz – odparł ojciec. W domyśle ta sama obawa dotyczyła również najstarszego syna, lecz wolał nie mówić tego na głos.

Nim udali się na spoczynek, Betty Price zaproponowała każdemu po szklaneczkę brandy na sen, lecz przewracając się z boku na bok wiele godzin później, Mu miała wrażenie, że alkohol tylko napędził gonitwę myśli w jej głowie. Ledwie zamknęła oczy, wszystko zaczynało wirować, więc czym prędzej je otwierała, pełna nowych rozterek.

Co tata teraz pocnie? Kto się nim zaopiekuje? Gdzie będzie mieszkał, skoro ich domu już nie ma? Podobno Jeffersonowie zaprosili go do siebie na jakiś czas, ale co potem? Natłok spraw, które trzeba było ustalić i zaplanować, zdawał się nie do przebycia, lecz po trudach minionego dnia ostatecznie zapadła w sen.

Ucałowawszy córkę na dobranoc, David też nie od razu znalazł ukojenie. Drzemka na fotelu w internacie, choć krótka, przywróciła mu siły i teraz krążył bez celu po hotelowym pokoju, próbując poskładać resztki swojego życia. Wbrew temu, co powiedział córce, nie zamierzał korzystać z gościny u Jeffersonów ani chwili dłużej, niż to konieczne. Żonie przyjaciela ewidentnie zawadzała jego obecność, a wolał oszczędzić Paulowi nieporozumień w domu.

Postanowił wracać do Plymouth nazajutrz z samego rana. W razie kolejnego nalotu jego pomoc będzie potrzebna, a nie miał lepszego pomysłu na to, co z sobą począć, niż praca do upadłego. Liczył, że nocna harówka na ulicach i sen w ciągu dnia wypełnią puste godziny dalszej egzystencji w pojedynkę. Wynajmie pokój na stacji i przetrwa w nawale doraźnych obowiązków, bez czasu na rozmyślanie. Martwił się jednak o Muriel. Nie potrafił przewidzieć, jak córka da sobie radę w nowej rzeczywistości. A do tego ten Patrick czy jak mu tam było. Ponoć Nancy o nim wiedziała, ale on pierwsze słyszał. Zjawia się taki nie wiadomo skąd, zawraca dziewczynie w głowie i jeszcze prosi o zgodę. Cwaniak. Może lepiej odmówić? Chociaż poprzedniej nocy na odchodnym powiedział, że niedługo wypływa.

– I zostawi ją na pastwę losu – podsumował David pod nosem. – Ja w Plymouth, Tony w Afryce, a marynarza szukaj po przestworzach.

Betty podała tosty bez masła, dżem i dzbanek świeżo zaparzonej herbaty. Dopiero przy drugiej filiżance zahaczyli wreszcie o przyszość.

– Po śniadaniu wracam do... Plymouth. – David ugryzł się w język, by nie powiedzieć „do domu”. – W pracy brakuje ludzi, a te przekłete lotry nie odpuszczają.

– Gdzie będziesz mieszkał? – zapytała Muriel. – Przecież nie zostaniesz u Jeffersonów w nieskończoność.

– Nie – potwierdził stanowczo. – Dam ci znać, gdy tylko coś znajdę. Powinniśmy być w kontakcie. – Posłał córce zakłopotany uśmiech. – Sporo rozmyślałem wczoraj przed zaśnięciem.

– Ja też – przyznała Mu. – I zgadzam się, że musimy być blisko siebie. Chcę wystąpić o przeniesienie do City Hospital w Plymouth. W tej sytuacji chyba nikt nie będzie czynił przeszkód. Nawet gdyby zakwaterowali mnie znowu w internacie, to przynajmniej będziemy w jednym mieście.

– Myślisz, że tutejsza administracja się zgodzi? – spytał David z błyskiem nadziei w oku.

– Nie wiem – odparła Mu ze wzruszeniem ramion. – Ale warto poprosić.

– A twój chłopak?

– Narzeczony, tato – poprawiła Mu. – Jak wiesz, lada chwila wyjeżdża, więc co za różnica, gdzie będą na niego czekać?

– Mówił, że chcecie się pobrać przy okazji najbliższego urlopu...

– Wszystko się zmieniło – zauważyła Mu z przygnębieniem.

Poszli razem na dworzec, gdzie David wsiadł do pierwszego z wielu pociągów, jakie musiał złapać w drodze powrotnej. Przed odjazdem wręczył córce kartkę z adresem Jeffersonów.

– Gdybym przeniósł się gdzie indziej, Paul będzie wiedział, gdzie mnie szukać. Nie mają telefonu, więc najwyżej zostawię ci wiadomość na portierni. – Na gwizdek konduktora wzięła córkę w ramiona. – Uwważaj na siebie, Mu. I wracaj szybko do Plymouth.

Dziewczyna objęła go z całej siły, a gdy pociąg ruszył w kłębach pary, biegła wzdłuż peronu, aż maszyna nabrała prędkości. Wychylona przez okno postać ojca malała coraz bardziej, a po chwili zniknęła za zakrętem. Mu zwiesiła ręce w poczuciu całkowitego opuszczenia na hałaśliwym dworcu. „Wkrótce nie zostanie już nikt”, pomyślała, przełykając łzy.

Patrick czekał w hotelu, a na jego widok rozedrgane nerwy puściły i Mu wybuchnęła nieposkromionym płaczem. Mężczyzna tulił ją w ramionach, aż wylała z siebie cały żal, i nie wypuszczał jej dłoni, nawet gdy zdążyła już wytrzeć oczy i nos jego chustką.

– Przepraszam – zachrypiąca, kiedy usiedli na kanapie. – Tata pojechał z powrotem do Plymouth.

– To było do przewidzenia. Co zamierzasz?

– Przenieść się do niego. Pielęgniarek potrzeba wszędzie, więc czemu mieliby się sprzeciwiać?

Patrick skinął głową z ciężkim sercem. Nie ulegało wątpliwości, że lepiej jej będzie z ojcem, ale nie mógł stłumić uczucia zawodu. Nie spotkają się, gdy przyjedzie następnym razem. W zamyśleniu uronił część z tego, co powiedziała dalej, i zreflektował się dopiero, gdy zdjęła pierścionek i położyła na stole.

– Proszę? – Zamrugał zdezorientowany.

– Nie mogę za ciebie wyjść. Tata mnie potrzebuje. Dopóki Tony nie wróci, nie ma nikogo prócz mnie.

– Rozumiem. I możemy wstrzymać się ze ślubem tak długo, jak będzie trzeba. Ale czemu zaraz zrywać zaręczyny? Mnie wystarczy świadomość, że na mnie poczekaasz, najdroższa.

– Nie mogę ci tego obiecać. Wyjeżdżam stąd.

– I co z tego? – Patrick nie ustępował. – Byleś była moja. A kto wie, może kiedyś przypadkiem zawiniemy do portu w Plymouth? – dodał żartobliwie.

– Przemysłałam wszystko dokładnie wczoraj w nocy. Nie mogę teraz planować zamążpójścia. Straciłam całą rodzinę i nie wyobrażam sobie żadnej przyszłości bez nich. Nie mam prawa cię wiązać kto wie na jak długo.

– Może ja chcę być przez ciebie uwiązany? – przekomarzał się Patrick.

Dziewczyna potrząsnęła głową z tkliwym spojrzeniem.

– Przykro mi – powiedziała, wysuwając się z jego objęć.

– Mu, ja wszystko rozumiem. – Patrick pochwylił jej dłoń, jakby tracił grunt pod nogami. – Ale kocham cię ponad życie i chcę czekać, aż będziesz gotowa. – Wyciągnął w jej stronę pierścionek. – Zatrzymaj go na pamiątkę mojej miłości. A nuż nadejdzie dzień, gdy znów go założysz?

Muriel była nieprzejednana.

– Nie mogę. Musisz czuć się wolny, by wręczyć go komuś innemu w odpowiednim czasie – powtórzyła z uporem.

Patrick uśmiechnął się gorzko.

– Mogę go dla ciebie przechować, jeżeli wolisz. Ale ten pierścionek należy do ciebie i nic tego nie zmieni – oświadczył, wstając z kanapy. – Moja Cumbria wypływa jutro o świcie, nie wiem na jak długo. Mogę do ciebie napisać?

– Lepiej nie – wyszeptala Mu. – Zresztą na jaki adres?

– Znajdę cię – odparł Patrick z niezachwianą pewnością. – A ty w każdej chwili możesz się ze mną skontaktować.

Wyciągnął ku niej ramiona, lecz Mu podniosła się sama, dla niepoznaki ciasno splatając roztrzęsione dłonie.

– Czas na mnie – stwierdził Patrick. – Pamiętaj tylko, że cię kocham i będę na ciebie czekał.

Muriel odprowadziła go tęsknym spojrzeniem, lecz nie miała już w sobie więcej łez.

Zmierzając w stronę portu, oficer nabrał przekonania, że chwilowo powinien ustąpić. W tym momencie był dla zdruzgotanej dziewczyny tylko obciążeniem, na które brakowało jej sił po utracie rodziny. Nie miał nic do zaoferowania do czasu, aż Mu upora się z żałobą na tyle, by żyć dalej bez poczucia winy. A w tym pomóc mógł tylko jej ojciec. Lecz Patrick nie zamierzał się poddawać. Poprosiła, aby nie pisał, ale tego jednego nie mogła mu zabronić. Nawet gdyby zmieniła miejsce zamieszkania, internat powinien przekierowywać korespondencję do Plymouth. Niech sama zdecyduje, czy otwierać listy, nie mówiąc o odpowiedzi. Jego zadaniem było nie pozwolić jej o sobie zapomnieć.

Długo krążył bez celu po storpedowanych ulicach. Jeszcze wczoraj byłby gotów żałować każdej chwili, która mu została przed odjazdem. Bez Muriel nie miał nic do roboty na lądzie. Lepiej wrócić na statek i poświęcić się walce z kolegami.

Po ukończeniu napraw niszczyciela z królewskiej floty zacumowano u wylotu z portu, opodal wyspy Wight. Większość załogi odmeldowała się już na pokładzie, lecz łodzie przewozowe kursowały po zatoce bez ustanku.

Już z wody ogarnął wzrokiem miasto, mimo woli wypatrując dachu szpitala, ale zaraz sam siebie skarcił. Na razie trzeba było odgonić myśli o Mu lub przynajmniej ukryć je na dnie serca. Należał wyłącznie do marynarki, której był bardzo potrzebny.

Rozdzierający jęk syren wzbił się pod nocne niebo, po raz kolejny stawiając uśpione Portsmouth na nogi. Wypędzeni z ciepła domowych pieleszy mieszkańcy zaludnili ociemniałe ulice w drodze do schronów. W smugach światła penetrujących mrok nad ich głowami lśniły majestatyczne balony zaporowe na kształt stada wielkich srebrnych wielorybów. Były to osłony przed inwazją z małej wysokości. W oddali, od strony morza nadciągało nienawistne brzęczenie drapieźców mknących nisko nad wodą. To nie był tylko sygnał ostrzegawczy, lecz regularny atak.

Mu, która twardo przepała cały dzień, a po przebudzeniu długo leżała w ciemności, na dźwięk alarmu bez wahania odrzuciła koldrę. Jej niedzielny dyżur zgodnie z umową sprawowała Jean, lecz w obliczu niebezpieczeństwa grafik się nie liczył. Dziewczyna ubrała się szybko, by dołączyć do innych pielęgniarek zbiegających po schodach.

Już na szpitalnym dziedzińcu dogoniła je pierwsza fala rac siejących ogień. Snopy iskier z sykiem padały na ziemię, by pod oddechem wiatru tu i ówdzie wzniecić migotliwy płomień przed przybyciem ciężkiej artylerii. Mu z przestachem pomyślała o jednostkach marynarki w porcie – głównym celu sił nieprzyjaciela. Okręt Patricka...

Na oddziale trwały przygotowania do ewakuacji. Personel pod kierownictwem siostry Pearce doglądał zabezpieczeń pacjentów sprawnie i ze spokojem, by nie budzić popłochu. Tymczasem na zewnątrz rozgorzała podniebna walka, gdy myśliwce RAF-u z bazy w Tangmere przybyły miastu z odsieczą, a wśród ustawicznego wycia samolotów i lawiny eksplozji niełatwo było zachować zimną krew.

Mu asekurowała jednego ze swoich ulubieńców, starszego pana nazwiskiem Harry Thomas, którego z uwagi na złamaną nogę należało przenieść do podziemi na wózku inwalidzkim. Nagle ściany wokół zadrzały, a z sufitu posypały się odłamki tynku. Wszyscy instynktownie osłonili głowy, choć gdyby uderzenie nastąpiło bliżej, niewiele by to pomogło.

– Nie czas na spanie, schodzimy! – padła sucha komenda siostry Pearce.

– Lepiej z nią nie zadzierać. – Harry puścił oko do pielęgniarki w drodze przez korytarz.

– Jutro wszyscy jej podziękujemy – odparła Mu z uśmiechem, docierając do klatki schodowej, gdzie czekało dwóch rośłych marynarzy przysłanych z koszar do pomocy. – Pod ostrzałem nie możemy korzystać z windy. Ci panowie zniosą pana na dół.

Jeden z osiłeków schylił się nad wózkiem.

– Harry, prawda? – spytał, po czym zarzucił sobie rekonwalescenta na ramię i pomaszerował w dół schodów przy wtórze gniewnych pokrzykiwań staruszka:

– Uwaga na nogę, brutalu!

Mu pośpiesznie zawróciła po kolejnego pacjenta, gdy budynkiem wstrząsnął drugi, znacznie bliższy wybuch. Umocnione taśmą szyby w oknach skruszały niby witraże, a za nimi błysnęła język ognia.

– Siostrzo! – zawołała przełożona. – Ewakuujemy leżących!

Pielęgniarki z wysiłkiem jęły wypychać łóżka z ciężko rannymi na korytarz, gdzie tymczasem przybyło rąk do obrony szpitala.

– Do karetek! – krzyknął jeden z rekrutów, wspólnie z towarzyszem taszcząc sędziwego mężczyznę na schody.

– Dokąd mnie niesiecie? – dobiegł zrzędlawy głos.

– Na dziedziniec. Przewozimy was do innego szpitala, ten zajął się ogniem. Wszystko pod kontrolą.

Na polecenie przełożonej sanitariuszki rozproszyły się po całym piętrze, sprawdzając, czy o nikim nie zapomniano. Dopiero gdy za ich plecami runął fragment stropu, a na porzucone prześcieradła w korytarzu skoczył chciwy płomień, umknęły w stronę schodów. Na dziedzińcu okazało się, że całe skrzydło izby przyjęć wyleciało w powietrze, a resztę budynku, łącznie z ich oddziałem, trawi strzelisty pożar. W piekielnym zaduchu ponownie ewakuowano pacjentów już przetransportowanych do podziemi, by przewieźć ich czymkolwiek do innych placówek, klinik, domów opieki lub kościołów. Pracownicy szpitala, od stóp do głów umorusani sadzą, kolejno wskakiwali do pojazdów dla eskorty swoich kuracjuszy.

Atak nie ustawał. Nawet przy pomocy posiłków z bazy morskiej i koszar oddziały służb zawodowych i ochotniczych nie nadążały tłumić rozszalałego żywiołu. Na miasto bez końca leciały chmury pocisków i min spadochronowych mimo wsparcia powietrznej eskadry bojowej i ustawicznego dudnienia dział przeciwlotniczych z lądu oraz pancerników w zatoce.

Z pierwszym sygnałem ostrzegawczym na pokładzie Cumbrię postawiono w stan gotowości. Patrick na czele brygady moździerzy wyczekiwał w napięciu z oczami utkwionymi w nieprzeniknionym mroku nad horyzontem. Nagle spośród chmur wypadła zgraja niemieckich myśliwców, sunąc prosto na bezwładne miasto.

– Walić, ile wlezie!

W okamgnieniu lufy zwęszyły przeciwnika ściganego światłem reflektorów i posłały w niebo gromką kanonadę. Z trzewi zwiadowców Luftwaffe sygnął ognisty proch, nim umknęli w przestworza, zostawiając płonące miasto na pastwę nadciągających bomb.

Patrick z towarzyszami wprawnie odpalali kolejne salwy, gdy tymczasem okręt z potwornym zgrzytem tłoków zwalnających kotwicę odbił od nabrzeża wyspy i nie przerywając kontrataku, zmierzał na pełne morze. Jeden z bombowców zawracających po wykonanym rzucie zanurkował, by ostrzelać jednostkę serią z karabinu przed odlotem do Francji. Patrick i jego ludzie odruchowo padli na pokład, lecz po przemknięciu heinkla dwóch się nie podniosło. Pokrzykując komendy, podporucznik obejrzał się na nich. Jeden był już w agonii, drugi leżał przy burcie w nienaturalnej pozycji ze zmiążdżonym barkiem.

– Nie przestawać, łapiemy dalej! – ryknął oficer wśród ogólnego zgiełku, a sam ujął rannego wpół i zawlókł go do kabiny pod mostkiem.

Z nastaniem świtu nieprzyjaciel ustąpił, zostawiając za sobą dymiące szczątki zabudowań pełne podstępnych niewypałów czyhających jeszcze tu i ówdzie na przypadkową ofiarę.

Cumbria tymczasem opuściła przystań i wzięła kurs na zachód. Patrick zgnębionym wzrokiem objął pogorzeliśko pod palającym niebem. Gdzie mogła być Mu? Czy bezpiecznie przetrwała do rana?

W blasku tej samej łuny Mu spoglądała na zgliszcza szpitala, w którym spędziła tyle lat. Zdarzyło mu się ucierpieć w trakcie poprzednich nalotów, lecz to, co z niego zostało po tej nocy, nie nadawało się



już do niczego. Szczęśliwie przy pomocy ochotników zdołano ocalić wszystkich chorych, którzy bezpiecznie spędzili noc w ośrodkach zastępczych. Przynajmniej tym razem.

Wzrok Muriel mimo woli uciekł ku zatoce, by odkryć, że po Cumbrii nie było śladu. Okręt Patricka zniknął, a ukochany wraz z nim. Kto wie, może na zawsze. „Lepiej wymazać go z pamięci – pomyślała dziewczyna ze smutkiem. – Bezpieczniej dla niego”. Bliskim jej sercu osobom najwyraźniej pisano śmierć.

Piątkowy poranek kosztował Maggie sporo nerwów. Z Rogerem w nosidełku jak poprzedniego dnia udała się do biura reglamentacji żywności. Przed urzędem na długo ugrzęzła w tłumie czekających po odbiór duplikatów książeczek z talonami utraconych wskutek bombardowań.

Gdy wreszcie dotarła przed oblicze drobnej kobiety za ladą, na której widniała plakietka z nazwiskiem J. Hooper, powitało ją przenikliwe spojrzenie szarych oczu zza szkieł w metalowych oprawkach.

- Nazwisko!
- Margaret Peterson.
- Adres!

Maggie podała miejsce zamieszkania, po czym uprzedzając dalsze pytania urzędniczki, dodała pośpiesznie:

– Chcę wyrobić książeczkę dla syna. – Dla podkreślenia swych słów podrzuciła sobie malca na biodrze. – Pierwsza zaginęła.

– Zaginęła? – Ton pani Hooper z oziębłego zmienił się w lodowaty.

– Jesteśmy nowi w tym mieście. Roger mieszkał u babci, zanim zdążyliśmy się tu urządzić. – Maggie miała przeciwczoną odpowiedź.

– Tak?

– I kiedy mąż przywiózł go do domu, w jego rzeczach nie było książeczki.

Nieruchomy wzrok urzędniczki domagał się szczegółów.

– Mama utrzymuje – kontynuowała Maggie – że włożyła ją do walizki, lecz na pewno nie tej, która z nim dotarła.

– Kto sprawował opiekę nad dzieckiem?

– Moja... teściowa. – Wahanie w głosie Maggie trwało ledwie sekundę, lecz pani Hooper czujnie zastrzygła uszami.

– Kto?

– Babcia Rogera.

– Zamieszkała?

– W Londynie. Tam gdzie my wcześniej, w Hackney.

– Pani teściowa?

– Tak.

– Nie matka? – Pod świdrującym spojrzeniem pani Hooper Maggie straciła rezon. Popęłniła błąd, lecz teraz nie było innego wyjścia, jak brnąć w zaparte.

– Z teściową różnie bywa – odparła z uśmiechem zażenowania.

W tej chwili Roger postanowił dać upust swojemu zniecierpliwieniu. Maggie próbowała udobruchać go łagodnym kołysaniem, ale bez efektu.

– Akt urodzenia! – wypaliła pani Hooper.

– Proszę?

– Akt urodzenia dziecka. Chyba nie spodziewa się pani, że wydam drugą książeczkę na ładne oczy! – rozsierdziła się urzędniczka.

Maggie z najwyższym wysiłkiem stłumiła dreszcz paniki.

– Rzeczywiście. Nie pomyślałam.

– Muszę zobaczyć akt urodzenia dziecka oraz pani dokument tożsamości.

– Poszukam i wrócę jutro. – Maggie ustąpiła do tyłu, w miarę jak zawroźnienie Rogera przybierało na sile.

– Następny! – usłyszała już za plecami zamiast pożegnania.

Przy drzwiach zaczęła ją jakaś kobieta w kolejce.

– To najgorsza jedza – wyjaśniła konspiracyjnym tonem. – Najlepiej próbować w czwartek po południu, wtedy nie pracuje. – Mrugnęła porozumiewawczo, lecz Maggie nie odwzajemniła uśmiechu i czym prędzej wyszła na ulicę.

Jak ta kobieta śmie posądzać ją o oszustwo! Jakby z punktu uznała, że Maggie usiłuje wyłudzić nadprogramowe jedzenie na nieswoje dziecko. A przecież prosiła jedynie o to, co mu się należy!

Po jej Rogerze w domu zostały tylko dwa dokumenty: akt urodzenia i akt zgonu. Będzie trzeba przedstawić ten pierwszy, modląc się, by nie zażądali jego dowodu tożsamości. Na wszelki wypadek warto także zanieść akt małżeństwa dla poświadczenia wspólnego nazwiska. I tym razem bez względu na wszystko należało unikać pani Hooper. W ogóle najchętniej trafiłaby na mężczyznę. Musiała też doszlifować szczegóły swojej historii, by więcej nie budzić podejrzeń. Postanowiła odtąd trzymać się wersji z teściową, licząc, że inspektor Droy, który usłyszał od niej co innego, nieprędko będzie miał okazję skonfrontować to z panią Hooper.

W domu, posadziwszy Rogera na podłodze w salonie, z ulgą pozbyła się butów i wyprostowała obolałe plecy. Zdecydowanie trzeba poszukać czegoś w rodzaju wózka. Bobas nieuchronnie będzie przybierał na wadze i coraz bardziej dawał się jej we znaki na spacerach. Rzuciła okiem na małego buddę na dywanie, zanim poszła nastawić wodę na herbatę.

Długi, natarczywy dzwonek u drzwi przyprawił ją niemal o zawał. Kogo to lichy niesie? Trudno spodziewać się wizyt, nie znając żywej duszy w okolicy. Ponownie wcisnęła zmęczone stopy w czółenka i ruszyła do sieni.

– Tak? – zapytała sucho na widok dwóch obcych kobiet na werandzie.

– Pani Peterson? – upewniła się jedna. – Wcześniej nie miałam okazji się przedstawić. Stella Todd spod pięćdziesiątego trzeciego. – Wyciągnęła rękę. – Widziałam panią wczoraj na zakupach w mięsny i usłyszałam, co spotkało sierżanta Petersona. Pomyślałam, że zajrzę spytać, czy czegoś pani nie trzeba.

– Mieszkamy przy tej samej ulicy, ja pod jedenastką – uzupełniła druga. – Elsie Jefferson. – Nie powtórzyła gestu przyjaciółki zignorowanego przez Maggie, lecz postąpiła naprzód, jakby spodziewając się zaproszenia. – Chciałyśmy po chrześcijańsku złożyć pani wyrazy współczucia i zaoferować wsparcie.

Gospodyni bez entuzjazmu rozpoznała drugą kobietę. To ona wielokrotnie próbowała zagadnąć ją w sklepie, lecz wyniosłe spojrzenie Maggie zamykało jej usta. Teraz jednak naprzeciw sąsiadek

przybyłych z dobroci serca wdowa wzięła głęboki oddech i ze sztuczną uprzejmością odparła:

– To bardzo miło ze strony obu pań. Zapraszam na herbatę.

Powiodła kobiety do salonu, gdzie chwilę niezręcznej ciszy w końcu przerwała Stella, zauważwszy Rogera przed kominkiem. Przykucnęła obok, trącając palcem drobną rączkę.

– A kto to się chowa za kanapą? – zaszczebiotała.

– To mój Roger – odparła Maggie.

Chłopczyk skupił uwagę na nieznamym, która zakryła twarz, popatrując na niego przez palce, czym zasłużyła sobie na rozkoszny pisk uciechy.

– Pokazać Stelli dzidziusia – stwierdziła Elsie z przekąsem.

Sama nie przejawiała zainteresowania dziećmi w żadnym wieku, obcy był jej instynkt macierzyński, a przyciskana do ściany, mawiała: „Trudno tęsknić za czymś, czego się nigdy nie miało”.

Podczas gdy para na podłodze baraskowała w najlepsze, Maggie zwróciła się do drugiej sąsiadki:

– Napije się pani herbaty?

– Chętnie, o ile to nie kłopot.

– Woda już pewnie wrze. Proszę się rozgościć, zaraz wracam.

Elsie, która w cichości ducha zamierzała podążyć za nią, by rozejrzeć się po nowym domu i przeniknąć zwyczaję jego mieszkańców, pojęła, że za wcześnie na ten rodzaj poufałości, i podziękowała. Jej inspekcja musiała więc ograniczyć się do salonu, gdzie po kolei zlustrowała dekoracje na każdej półce oraz grubość pokrywającego je kurzu. Nie znalazłszy nic ciekawego, skupiła uwagę na wystawie zdjęć na kominku. Mrużąc oczy, przyjrzała się uśmiechniętej parze nowożeńców i przyszłej mamie na urlopie wypoczynkowym. Sądząc po różnym stopniu zaawansowania zmarszczek na jej twarzy, od ślubu do narodzin synka musiał upłynąć szmat czasu. Zastanawiał także brak fotografii maleństwa. Stella, jej najbliższa przyjaciółka, miała jedyńczkę o imieniu Harriet i jej podobizny zdobiły dosłownie każdy wolny fragment powierzchni w domu Toddów. Elsie zawsze czuła się przytoczona tym przesadnym kultem. Jakby jeden ładny portret nie wystarczył na pamiątkę ukochanej córki, która już wyfrunęła z gniazda, a na domiar złego właśnie została matką. Jeden Bóg wie, gdzie Stella zdoła teraz upchnąć odbitki Johnny’ego, swojego wnuka.

W czasie gdy Elsie dokonywała oględzin wystroju, a Maggie w kuchni pośpiesznie szykowała tacę z najlepszym serwisem, między Rogerem a Stellą zdążyła narodzić się szczerą komitywa. Pani Todd przepadała za dziećmi i umiała zaskarbić sobie ich względy. Żle znosiła rozłąkę z córką i jej rodziną w Liverpoolu – o wiele za daleko na podróż w wojennych warunkach.

Maggie zastygła nad tacą przed powrotem do gości. Nie miała najmniejszej ochoty na towarzyskie pogaduszki, ale skoro tak się zdarzyło, czemu by nie skorzystać? Znajomość kilku osób z sąsiedztwa mogła się teraz przydać, więc niech będą one, skoro same się nawinęły. Stella sprawiała wrażenie sympatycznej, lecz od Elsie biły obłuda i pretensjonalność. Należało mieć się na baczności. Z tym postanowieniem gospodyni zaniosła poczęstunek do pokoju.

– Pysznieśmy się bawili, co, słodziaku? – Stella chętnie przyjęła napełnioną przez Maggie filiżankę, uważając, by nie dosięgły jej pulchne rączki.

Elsie, która lubiła być na bieżąco, bez ogródek spytała:

– Jak to możliwe, że nigdy go z panią nie widziałam?

Maggie doznała niemiłego ukłucia urazy na tak bezpardonowe wścibstwo, lecz zmeła uszczypliwość w ustach, bo przyszło jej do głowy, że ma przed sobą najskuteczniejsze medium

informacyjne na terenie dzielnicy. Za pośrednictwem sąsiadek mogła rozpowszechnić swoją narrację bez powtarzania jej dziesięć razy.

– Został u teściowej w Londynie do czasu, aż się osiedlimy – odrzekła bez zająknięcia, ze zbolalym uśmiechem dodając: – Colin przywiózł go raptem kilka dni temu... – Pociągnęła nosem w odpowiednim miejscu. – A teraz on nie żyje i zostaliśmy sami w nowym mieście.

– Nie woli pani wrócić do Londynu? Blisko babci byłoby wam łatwiej – podsunęła Elsie.

– Niestety. – Maggie zakryła oczy. – Nigdy mnie nie lubiła. Za to Colin, jednak, był jej oczkiem w głowie. Nie mam pojęcia, jak znieśie wiadomość o jego śmierci.

– Wciąż nie wie? – Elsie nie zdołała ukryć zdumienia w głosie, na co przyjaciółka spiorunowała ją wzrokiem.

– Nie ma telefonu – wyjaśniła Maggie.

– Można nadać telegram. – Pomysłowość Elsie nie miała granic.

Maggie zaszlochała, by zyskać na czasie.

– To by było bezduszne. Nie przepadamy za sobą, ale obie kochałyśmy tego samego człowieka. Zasługuje przynajmniej na szacunek po stracie syna.

Stella doszła do wniosku, że pora kończyć wizytę. Przyjaciółka słynęła z bezpośredniości, lecz nie musiała doprowadzać młodej wdowy do łez.

– Czas na nas, Elsie – powiedziała, wstając. – Dziękujemy pięknie za herbatę. Proszę przyjąć nasze kondolencje i nie wahać się ani chwili, gdybyśmy mogły w czymś pomóc. Zwykle jestem w domu, Marden Road pięćdziesiąt trzy, choć przez kilka godzin tygodniowo działam w wolontariacie. Każdy robi, co może. – Wyszła na korytarz, a stanowczość w jej głosie nakazała Elsie posłuchać. Maggie odprowadziła je do drzwi. Na werandzie Stella odwróciła się jeszcze. – Widziałam, że dźwiga go pani w nosidełku. Moja córka Harriet zostawiła wózek przed powrotem do męża do Liverpoolu. Trzeba go będzie odczyścić, bo od dawna leży w piwnicy, ale chętnie pożyczę, jeżeli się pani przyda.

Maggie rozbłysły oczy.

– Naprawdę? – wyszeptała. – To by niesłychanie pomogło. Colin nie mógł przywieźć naszego pociągiem, zamierzaliśmy kupić coś tutaj.

– Na razie proszę wziąć ten po Johnnym. Jeszcze dzisiaj go znajdę i doprowadzę do porządku.

Maggie rozplynęła się w podziękowaniach, zanim za sąsiadkami trzasnęła furka.

– Byłeś tylko go odzyskała – prychnęła Elsie kąśliwie. – Wygląda na taką, co zapomina o długach.

– Daj wreszcie spokój, Elsie! – fuknęła Stella z irytacją. – Pierwszy raz widzisz kobietę, ale już trzeba uważać!

Elsie zaniemówiła.

**S**tella dotrzymała obietnicy i dwa dni później Roger dostał swój wózek.

– Nie wygląda najgorzej – zauważyła sąsiadka z zadowoleniem. – Przyniosłam też materac i kocyki na miarę, gdyby te, które pani ma, nie pasowały.

– Wspaniały, pięknie dziękuję! – zachwycała się Maggie. – Jest pani nieoceniona.

– Drobiazg. Od czego ma się sąsiadów. – Stella zamilkła na moment. – A gdyby kiedykolwiek trzeba było przypilnować bączka, to zgłaszam się na ochotnika.

Maggie załapała poczucie szczerzej wdzięczności. Następnego dnia po południu odbywała się ceremonia pożegnalna poległych w ostatnich atakach. Nie mogła nie być obecna w chwili, gdy Colin spocznie w zbiorowej mogile na cmentarzu w Efford, lecz od pewnego czasu dręczyła ją obawa, że będzie zmuszona wziąć synka ze sobą. Propozycja Stelli padła więc w samą porę.

– To nie miejsce dla dzieci – oświadczyła sąsiadka. – Chętnie się nim zajmę. Mam wziąć go do siebie czy poczekać na panią w domu?

Brak dziecięcego ekwipunku u Petersonów nie umknęły uwadze sąsiadki, więc aby uniknąć krępujących pytań, Maggie obiecała zostawić syna pod numerem pięćdziesiątym trzecim.

Następnego dnia, przekazawszy Rogera w ręce uszczęśliwionej Stelli, wyruszyła w ciemnej spódnicy i płaszczu na ostatnie spotkanie z mężem. Na cmentarzu dołączyła do tłumu żałobników, pochylonych w ciszy nad tonącą w kwiatach mogiłą. Podczas krótkiej uroczystości głos zabrali duchowni każdego wyznania, lecz gdy Maggie zamknęła oczy, by pomodlić się za duszę męża, nie znalazła już z nim łączności. Mężczyzna, którego kochała, zdążył umknąć z jej świata do krainy cieni, zostawiając po sobie jedynie zbiór oderwanych wspomnień i poczucie krzywdy. Ono było prawdziwe.

Kobieta spuściła wzrok na brytyjskie flagi na ziemi, pod którymi złożono szczątki Colina. Nie dane mu było spocząć pod nazwiskiem. Przyroda wkrótce zrobi swoje, kwatery porośnie trawą, a on odepjdzie w zapomnienie pośród innych bezimiennych ofiar tej przeklętej wojny.

Po końcowym błogosławieństwie Maggie wycofała się bocznymi alejkami w stronę bramy. Na ulicy wyminął ją wysoki mężczyzna o twarzy zalanej łzami. Maggie szybko odwróciła wzrok, wstrząśnięta i skrepowana. Pierwszy raz widziała płaczącego mężczyznę. W jej pojęciu oni mieli być silni w każdej sytuacji i nie roztkliwiać się nad sobą przy ludziach. Nieszczęśnik zapewne przyznałby jej rację, gdyby właśnie nie pochował prawie całej rodziny. Maggie natychmiast odeszła w przeciwnym kierunku – do jedynej istoty, która jej została... jego wnuka.

Stella nie chciała słyszeć o wypuszczeniu utrudzonej sąsiadki bez filiżanki herbaty, więc zaczynało zmierzchać, gdy Maggie z wózkiem dotarła do domu. Już z daleka dostrzegła postać czekającą przed furką. Zrazu pomyślała, że to gość lokatorów z góry, lecz gdy obrócił głowę, rozpoznała Andy'ego Sharpe'a w marynarce i sztruksowych spodniach – najwyraźniej po służbie. Maggie westchnęła w duchu. Nie nawykła do tyłu wizyt, a tego dnia szczególnie pragnęła spokoju. Miała jednak wobec

policjanta dług wdzięczności. Gdyby nie on, nie zbliżyłaby się do Stelli, a Roger wciąż cierpiałby niewygodnie w nosidełku.

– Dzień dobry, panie posterunkowy. Miła niespodzianka.

– Przepraszam za najście. Chciałem spytać, czy mogę coś dla pani zrobić.

– Dziękuję, nie trzeba. Właśnie wracam z pogrzebu w Efford, więc miałam ciężki dzień... – Maggie znacząco zawiesiła głos.

– Tak, widziałem panią, lecz po ceremonii nie zdążyłem podejść się przywitać, zanim pani zniknęła.

– Wołałam być sama – napomknęła kobieta sugestywnie.

– Rozumiem. Nie będę przeszkadzał. Tylko mam coś dla pani. – Ku zaskoczeniu Maggie policjant dobył z kieszeni marynarki pomiętą kopertę z jej nazwiskiem.

– Co to?

– Dla pani i chłopca. – Andy oczami wskazał rozparte w wózku niemowlę.

Maggie z niedowierzaniem wyluskała pokaźny plik banknotów, w tym jeden pięćfuntowy.

– Na co to?

– Dla pani i chłopca – powtórzył posterunkowy. – Pomyśleliśmy z kolegami, że do czasu wypłaty ostatniej pensji sierżanta nie zawadzi zebrać nieco na początek. Wózek już pani ma, lecz na pewno znajdzie się masa innych pilnych wydatków. – Po chwili niezręcznej ciszy ze wzruszeniem podjął: – Wszyscy w pracy bardzo cenili Colina. To był dobry gliniarz i honorowy człowiek, usłużny i pracowity. Proszę pozwolić nam w ten sposób uczcić jego pamięć.

Maggie umieściła kopertę z pieniędzmi w bocznej kieszonce wózka.

– Bardzo szlachetnie z pana strony. Bo zakładam, że to pański pomysł? – Wobec milczenia Andy'ego ciągnęła: – W imieniu swoim i męża dziękuję panom za troskę i dobre serce. Zapewniam, że wszystko przeznaczę na potrzeby Rogera.

Weszła do ogrodu, by otworzyć drzwi. Andy jednym ruchem uniósł wózek wraz zawartością i postawił na górnym stopniu schodów wiodących na ganek. Maggie podziękowała i długo poniewczasie bez przekonania wyjąkała:

– Wejdzie pan?

Gość zgodnie z oczekiwaniem grzecznie odmówił, a na pożegnanie dodał:

– Proszę pamiętać, że jesteśmy do dyspozycji. Wystarczy dać znać w razie potrzeby.

– Dziękuję. – Maggie w końcu zdobyła się na uśmiech. – Proszę przekazać kolegom, że ich gest nie pójdzie na marne.

Zważywszy, że Roger na razie miał do wyboru spanie w szufladzie lub w wózku, zakup łóżeczka wysuwał się na czoło listy pierwszych inwestycji.

Mimo najszerszych zamierzeń w czwartek Maggie nie czuła się na siłach, by zwrócić książeczkę Colina do biura żywności. Nie mogła z niej korzystać, skoro za sprawą Elsie Jefferson cała dzielnica wiedziała o jego śmierci. Spotkały się jeszcze raz przy herbacie, lecz nie ulegało wątpliwości, że pani Jefferson uznała swoją misję za spełnioną po pierwszej wizycie.

Roger skutecznie absorbował nową mamie każdą wolną chwilę. Ze zdumieniem odkryła, ile wysiłku kosztuje opieka nad niemowlęciem, szczególnie że brakowało jej doświadczenia pierwszych ośmiu miesięcy wspólnego życia. Dopiero gdy praktyka dnia codziennego obnażyła podstawowe wymogi nowego domownika, Maggie sięgnęła do koperty od policyjnej ekipy, by rozpocząć wędrowkę po kiermaszach i wyprzedazach używanych sprzętów. Udało jej się nawet wymienić ciuszki z kufra

w piwnicy na inne, w odpowiednim rozmiarze. Jednak po tygodniu niedostatek jedzenia, zwłaszcza mleka, stał się na tyle dotkliwy dla nich obojga, że w kolejny czwartek wybrała się do urzędu gotowa na wszystko.

Z początku pokręciła się po zatłoczonej sali, zapuszczając wzrok w poszczególne okienka. W żadnym nie dostrzegła srogiej okularnicy, co sprawiło jej pewną ulgę, choć i tak zgodnie z założeniem przyglądała się głównie mężczyznom. Wreszcie z trudem przepchnęła wózek na koniec kolejki obsługiwanej przez młodego blondyna o płochliwym spojrzeniu. Gdy ostatecznie dotarła do lady z tabliczką „P.B. Court”, na jej twarz wypłynął olśniewający uśmiech przecwiczony rano przed lustrem.

– Dzień dobry panu. Jestem Margaret Peterson.

Peter Court nieczęsto wyzwał podobną reakcję u obcych sobie kobiet. Był to nieśmiały chłopak drobnej postury, którego od czynnej służby uchroniła częściowa wada słuchu. Za dnia pracował w urzędzie dzięki umiejętności czytania z ruchu warg, a nocą zasiliał zastępy ochotniczej straży pożarnej.

– Dzień dobry. W czym mogę pomóc?

– Mam nie lada kłopot – pożałowała się Maggie i przywołała opowieść o teściowej i zaginionej księżeczce. – Wzięłam akt urodzenia syna. – Wydobyła odnośny papier.

– A jego dokument tożsamości? – zapytał Peter Court, wyraźnie poruszony.

– Niestety, widzi pan... Mój mąż świętej pamięci... – Maggie przełknęła ślinę, by zapanować nad drżeniem w głosie. – Mój mąż, sierżant Colin Peterson, miał go w kieszeni, kiedy... kiedy oddał życie za nas wszystkich w tych straszliwych atakach. – Spod powiek kobiety samoczynnie wymknęły się łzy. Nie zamierzała płakać, lecz teraz pod wpływem emocji nie mogła się uspokoić. Gniewnie otarła oczy i wydmuchała nos.

– Tak mi przykro...

Pan Court wyglądał bardziej żałośnie niż ona. Naczelnika z pewnością nie ucieszy widok kobiety z dzieckiem płaczącej przy okienku. I znów wszystko skrupi się na młodym urzędniku.

– Proszę wybaczyć – chlipnęła Maggie, pełna zażenowania.

– Nic nie szkodzi – zapewnił pan Court, ku swemu przerażeniu pochwytnąjąc kątem oka szefa zmierzającego w ich stronę. – Proszę się nie martwić. Na pewno coś poradzimy.

– Jakiś problem, panie kolego? – zabrzmiał tubalny głos.

Młodzieniec pokrótce zrelacjonował sytuację Maggie, która skwapliwie pociągała nosem w najbardziej dramatycznych momentach.

– Rzecz w tym, że nie możemy potwierdzić pokrewieństwa między panią a dzieckiem – wyjaśnił pan Saunders. – Nie wątpię, że to w istocie pani syn, lecz takie są przepisy.

– Przyniosłam księżeczkę żywnościową męża do zwrotu po jego śmierci i akt urodzenia Rogera, na którym widzimy oboje jako jego rodzice. Mam też akt małżeństwa – wyliczyła Maggie jednym tchem.

Pan Saunders przebiegł oczami dokumenty, po czym zwrócił się do podwładnego:

– Na mój gust wszystko się zgadza. Ta pani ewidentnie jest matką chłopca i znalazła się w trudnym położeniu nie ze swojej winy. Jak panu nie wstyd dodatkowo szargać kobiecie nerwy! Proszę przeprosić za swój brak oglądy i natychmiast wydać duplikat. – Po tych słowach naczelnik skłonił się na pożegnanie i zniknął.



Chwilę później Maggie torowała sobie drogę do drzwi, gdy znów jakaś kobieta, może ta sama co wcześniej, chwyciła ją za ramię.

– Łzy zawsze działają – powiedziała z domyślnym uśmiechem. – Tylko nie warto przesadzać.

Maggie znieruchomiała, po czym wyrwała rękę i przez zaciśnięte zęby wycedziła:

– Właśnie straciłam męża i zostałam z dzieckiem całkiem sama. Mój syn nigdy nie pozna swojego ojca. To ostatnia bezczelność przypisywać mi wysrane z palca intencje, skoro nic pani o mnie nie wie!

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Znam takie jak pani. Rozpoznaję je na odległość.

Trzęsąc się z oburzenia, Maggie wyszła z budynku. Ochłonawszy nieco pod wpływem świeżego powietrza, niemal osłabła z ulgi. Dostała to, po co przyszła. Mogli przestać głodować, a Roger został oficjalnie uznany za dziecko jej i Colina, chociaż ten ostatni nigdy się o tym nie dowie.

Muriel przemierzała szpitalny korytarz w swoim rodzinnym mieście, szukając oddziału numer pięć, gdzie została przydzielona do pracy. Przeniesienie z Portsmouth, odkąd Royal Hospital obrócił się w popiół, okazało się wcale nietrudne. Po wiosennej serii bombardowań placówki obu miast zmagaly się z niedoborami personelu, utratą infrastruktury i sprzętu oraz ogólnym chaosem i destabilizacją.

Prośba Muriel spotkała się więc ze zrozumieniem dyrekcji – dwa tygodnie później dziewczyna wprowadziła się do internatu w Plymouth i w miarę szybko odnalazła znajomy rytm szpitalnej codzienności.

Spędziwszy poprzedni dzień z ojcem na szukaniu kwatery do wynajęcia, dziś miała nocną zmianę – pierwszy raz od fatalnej agresji na Portsmouth. Wspomnienia tamtej niedzieli wciąż przeszywały ją dreszczem, lecz nie mogła dopuścić, by osobisty lęk stawał jej na przeszkodzie w pełnieniu obowiązków.

Zgubiła się w labiryncie nieznanych korytarzy, toteż gdy z duszą na ramieniu dotarła przed oblicze siostry Brock, koleżanki były już na stanowiskach.

– Siostra Shawbrook, nieprawdaz? – Przełożona cmoknęła, wymownie spoglądając na zegar. – Czas na wieczorny pomiar temperatury.

Większość podopiecznych oddziału stanowiły kobiety ranne w niedawnych atakach. Muriel krążyła wśród kalekich ciał w gipsie i bandażach, pamiętając o ciepłym uśmiechu i słowach pocieszenia, często bardziej zbawiennych niż leki.

Na ostatnim łóżku, numer dziesięć, spała młoda dziewczyna, jeszcze nastolatka, z nogą na wyciągu i opatrunkiem przesłaniającym pół twarzy. Mu stanęła jak wryta na widok znajomej pozycji z jedną ręką wzdłuż ciała na kocu, a drugą zatkniętą pod brodą. Sięgnęła po kartę pacjentki wiszącą w nogach łóżka. W rubryce „nazwisko” odnotowano „nieznane”, a pozostałe informacje dotyczyły ogólnych wskaźników, jak waga, wzrost i orientacyjny wiek, oraz odniesionych obrażeń, w tym „przejściowej amnezji”. Pielęgniarka z zapartym tchem wpatrywała się w młodszą siostrę, aż oczy zaszyły jej łzami.

– Vera! – szepnęła. – To ty?

Ostrożnie musnęła widoczny pod gazą policzek.

– Siostro! Od gapienia się na śpiących pacjentów jeszcze nikt szybciej nie wyzdrowiał! – zabrzmiał obok cierpki głos siostry Drew, szefowej zespołu. – Czy pani Ford ma poczekać na basen, aż łaskawie skończy pani studiować wszystkie karty?

– Tak jest, siostro, przepraszam – zreflektowała się Mu, lecz przed odejściem do wskazanej pacjentki po drugiej stronie sali ośmieliła się jeszcze zapytać: – Kto leży pod dziesiątką?

– Wystarczy czytać ze zrozumieniem – zgromiła ją przełożona. – Jeszcze chwila, a czeka panią fura prania!

Mu pośpieszyła pomoc wydobytej spod gruzów własnej kuchni starszej pani, która choć potłuczona i obolała od stóp do głów, jakimś cudem zdołała uniknąć groźniejszych urazów niż kilka złamanych żeber.

– Myślałam, że nie wytrzymam, a teraz ani kropli – sapnęła, gdy po kilku przykrych akrobacjach Muriel ulokowała naczynie we właściwym miejscu.

– Tak bywa – przytaknęła sanitariuszka z uśmiechem. – Proszę się rozluźnić. Wróć, gdy pani skończy.

Korzystając z chwili przestoju, zajrzała do służbowego kantorka, gdzie oddziałowa uzupełniała księgi.

– Skończyła pani?

– Tak. Ale muszę...

– Nie teraz – ucięła przełożona. – Mam mnóstwo pracy, zresztą pani też!

– To moja siostra – rzekła Mu dobitnie, puszczając uwagę mimo uszu. – Ta anonimowa dziewczyna spod dziesiątki.

– Proszę nie żartować. Gdyby tak było, ktoś już by ją rozpoznał.

– Myśleliśmy, że zginęła wraz z resztą!

– Resztą czego? Zechce pani mówić nieco jaśniej?

– Moja mama i młodsze rodzeństwo znajdowali się w schronie przy Parham Road... – Nagły ucisk chwycił Mu za gardło i dopiero po chwili wykrztusiła: – Vera powinna być z nimi...

Siostra Brock skupiła uwagę. Tragiczny los ludzi zmasakrowanych pod ziemią nie pozwolił na dokładne określenie liczby ofiar ani tożsamości wielu z nich.

– Jest pani pewna? – Kobieta zmarszczyła brwi. – Podobno nikt nie ocalał.

– Ponad wszelką wątpliwość – zapewniła Mu. – Wszędzie bym ją poznała.

– Rozumiem. Tylko tak niewiele widać spod bandażu, że łatwo o pomyłkę... – Siostra Brock ostrożnie dobieierała słowa w obawie, że młoda pielęgniarka dała się zwieść nadziei.

– Wykluczone – powtórzyła Muriel z uporem.

Przełożona westchnęła.

– Pacjentka nie pamięta, kim jest i co ją spotkało. Doktor Caster twierdzi, że amnezja z czasem ustąpi pod wpływem znajomych bodźców.

– Może widok mnie albo taty wróciłby jej wspomnienia? – Mu ledwie mogła usiedzieć z przejęcia.

– Czy wiadomo, gdzie ją znalezione?

– Muszę sprawdzić. Jak również datę przyjęcia.

Rozmowę przerwało wtargnięcie siostry Drew.

– Czy pani Ford ma znieść jajko w tym basenie?

Muriel obejrzała się przez ramię i natychmiast pobiegła do rozpaczliwie gestykującej staruszki.

– Wszędzie jej pełno, tylko nie tam, gdzie trzeba – fuknęła siostra Drew. – Przed chwilą prawie obudziła pacjentkę spod dziesiątki!

– Twierdzi, że są siostrami.

– Proszę?

– Podobno dziewczyna z amnezją nazywa się Vera Shawbrook.

– Jakim cudem? Przecież ta nowa pielęgniarka przeniosła się z Portsmouth.

– Jej rodzina jest stąd.

W tej chwili rozległ się przerażony okrzyk pani Ford:

– Rany boskie, co tobie, kochana? – Starsza pani z łękiem spoglądała na sanitariuszkę zalewającą się łzami przy jej łóżku.

Siostra Drew w mgnieniu oka była przy Muriel.

– Proszę doprowadzić się do porządku w kuchni – syknęła, po czym zwróciła się do starsuszki całkiem innym tonem: – Zaraz urządzimy panią wygodnie.

Mu ukryła się na zapleczu. „Vera żyje! Żyje i jest bezpieczna!”, dźwięczało jej w uszach jak mantra. Nagle poraziła ją myśl: „Skoro Vera nie zginęła w schronie, to może inni też nie?”.

Do kuchni weszła siostra Brock.

– Jest pani w stanie dokończyć dyżur, siostrze? Bez wybuchania płaczem?

– Tak, siostrze, nic mi nie jest – zapewniła Mu. – To tylko pierwszy wstrząs...

Gdy na oddziale pogaszono światła, pielęgniarka bezszelestnie zbliżyła się do łóżka w kącie. Dziewczyna ani drgnęła. Ileż to razy Muriel śmiała się z zabawnej pozycji młodszej siostry w czasie snu, gdy jeszcze dzieliły pokój?

Oddziałowa przyzwała ją do siebie.

– Rano przekonamy się, jak zareaguje, natomiast po dyżurze trzeba zgłosić jej dane w administracji.

– Siostra Brock z powagą spojrzała Mu w oczy. – Bo nie ma wątpliwości, prawda?

– Najmniejszych. Mój ojciec także poświadczy.

– Dobrze, zwłaszcza gdyby nie odzyskała pamięci po spotkaniu z panią.

– Czy jej uraz głowy to coś poważnego?

– Nie. Doznała wstrząśnienia mózgu i ma paskudną ranę powierzchniową nad uchem, ale szwy ładnie się goją. Operacja nogi też przebiegła pomyślnie, więc kiedy stanie o kulach, nie widzę przeszkód, by wróciła do domu, skoro znaleźli się bliscy do pomocy.

– Ma mnie i naszego tatę.

Tuż przed zakończeniem dyżuru oddziałowa posłała Muriel z poranną herbatą do łóżka numer dziesięć. Doświadczenie i wrodzona rozwaga kazały jej zachować powściągliwość i nie wierzyć zbyt łatwo w łut szczęścia podczas wojny.

Widząc, że siostra nie śpi, Muriel zaciągnęła kotary dookoła i stanęła w polu widzenia chorej.

– Cześć, Vera – powiedziała łagodnie. – Jak się dziś czujesz?

– W porządku – odparła dziewczyna, obojętna na dźwięk swojego imienia. – Głowa mi pęka i nie mogę pozbyć się mrowienia w nodze, ale było gorzej.

– Nazywam się Muriel Shawbrook. Przyniosłam ci herbatę.

Dziewczyna podziękowała, wciąż bez żadnej reakcji.

– Jestem nowa na tym oddziale, więc muszę wszystkich poznać – podjęła Mu tonem towarzyskiej pogawędki. – Jak tu trafiłaś?

– Nie wiem. Nie pamiętam. Znaleźli mnie na ulicy po nalocie.

– Nie miałaś przy sobie dokumentów?

– Torebki nie znaleźli.

– Ciekawe, co robiłaś na ulicy, zamiast siedzieć w schronie... – zauważyła pielęgniarka z namysłem.

– Nie mam pojęcia! Nawet nie wiem, jak się nazywam!

– Cierpliwości – pocieszyła ją Mu, splatając palce z emocji. Barwa głosu i porywczy sposób mówienia wykluczały pomyłkę. – Stopniowo wszystko sobie przypomnisz. Zresztą ktoś na pewno cię szuka.

Po śniadaniu oddziałowa powiodła Muriel do sekretariatu, gdzie pani Holt, odpowiedzialna za wywiad środowiskowy, ponownie wzięła dziewczynę w krzyżowy ogień pytań.

– Jestem pewna – powtarzała niezłomnie. – Znam jej głos, rysy, mimikę, nawet pod bandażem. Mój ojciec na pewno to potwierdzi.

– Ale ona pani nie poznała – drążyła urzędniczka.

– Siostra oddziałowa przewidziała taką możliwość.

– Imię „Vera” też nie wzbudziło skojarzeń.

– Ani zaskoczenia. Odpowiedziała jakby nigdy nic.

– Nie mam podstaw, by pani nie wierzyć. Jednak muszę skonsultować to z lekarzem.

– A ja przyprowadzę ojca. Może jego wizyta coś odmieni.

– Trzeba uprzedzić recepcję, by wpuścili go poza godzinami.

Nie zastawszy Davida w bazie po całonocnym dyżurze, Muriel popędziła do Jeffersonów. Ojciec z przyjaciелеm akurat zasiedli do śniadania.

– Muriel! – zakrzyknął radośnie. – To ci niespodzianka.

– Musimy porozmawiać. – Dziewczyna obejrzała się niespokojnie na parę zaintrygowanych małżonków. – Chodźmy się przejść, tato.

– Dobrze. Niech tylko zjem.

Mu, płonąć z niecierpliwości, przycupnęła na taborecie podsuniętym przez Paula, lecz podziękowała za herbatę, którą raczej zdawkowo zaproponowała jej Elsie. David szybko wyczuł napięcie córki, więc duszkiem wychylił zawartość swojej filiżanki i podniósł się z grzanką w dłoni.

– Dokończę po drodze.

Ledwie wyszli na zalaną słońcem ulicę, posłał Mu pytające spojrzenie.

– O co chodzi? Znalazłaś wolną stancję?

– Lepiej, tato. Znalazłam Verę.

David chwycił dziewczynę za ramiona.

– Co?

– Leży w moim szpitalu ze złamaną nogą i z urazem głowy, ale nic jej nie jest.

– Ale... jak to możliwe? Dlaczego nie dała nam znać?

Mu wzięła go za rękę i powiodła na skwer u podnóża niewielkiego wzniesienia, gdzie przysiedli na drewnianej ławce.

– Cierpi na zanik pamięci. Nie wie, jak się nazywa i co ją spotkało. Nie poznała mnie, więc potrzebne jest twoje świadectwo.

– W tej chwili! – David zerwał się na równe nogi.

– Nie wiem, czy od razu nas wpuszczą. – Muriel poszła za jego przykładem.

– Poczekam, ile trzeba.

W szpitalu okazało się, że pani Holt poczyniła już przygotowania do nietypowej wizyty. Ojcu wystarczył jeden rzut oka na śpiącą.

– Tak – powiedział z niezachwianą pewnością, ocierając zbląkaną łzę. – To moja Vera.

David nie miał okazji porozmawiać z cudem odnalezioną córką. Chora spała, gdy weszli na oddział, a szefowa zmiany poprosiła, aby jej nie budzić.

– Może pan ją odwiedzać do woli, a siostra Shawbrook będzie przy niej w nocy. Niech się oswaja stopniowo.

David najchętniej chwyciłby śpiącą w ramiona i tulił z całej siły, lecz rzeczowy ton siostry Chapman przemówił mu do rozsądku. Za jej radą postanowił wrócić we wtorek w czasie odwiedzin.

– Teraz naprawdę potrzebne nam jakieś lokum – powiedział po wyjściu ze szpitala.

– Ale na razie nie mówmy, że się odnalazła – poprosiła Mu. – Po co cała dzielnica ma trąbić o naszym życiu?

– W porządku – przystał David. – Tak czy siak powiedziałbym tylko Jeffersonom.

– Czy mógłbyś się jeszcze wstrzymać?

– Skoro ci zależy.

– Pomyśl tylko: Vera najwyraźniej była poza schronem. – Muriel przystanąła i spojrzała ojcu prosto w oczy. – Może mama i dzieci też? A jeżeli przetrwali, tylko teraz nie wiedzą, jak do ciebie dotrzeć?

David wziął córkę za ręce.

– Czasami też jeszcze się łudzę – przyznał. – Ale twoja mama dałaby mi znać bez względu na wszystko.

– A gdyby straciła pamięć?

– Są jeszcze przeciętne dzieci. Trudno, żeby wszyscy dostali tej samej amnezji. Nawet dziewczynki potrafiły się przedstawić i podać nasz adres. – Ucisnął dłoń córki z rezygnacją. – Nie licz na więcej cudów. Vera nie wie, co się z nimi stało, więc przeżyje szok, jeżeli kiedykolwiek sobie przypomni, szczególnie Freddiego.

Co wieczór Muriel próbowała ostrożnie wyciągać siostrę na spytki, ale bez powodzenia. Przełom nastąpił nieoczekiwanie którejś nocy, długo po zgaszeniu świateł.

W głębokiej ciszy rozległ się nagły krzyk, gdy nastolatka usiadła na łóżku. Mu w jednej chwili była przy niej.

– Vera, kochanie, co się dzieje?

Dziewczyna powiodła błędnym wzrokiem po sali rozświetlonej jedynie odblaskiem lampy w dyżurce.

– Gdzie jestem? – Gwałtownie pochwyciła ręce pielęgniarki.

– W szpitalu. Zostałaś ranna w czasie nalotu.

Młodsza siostra utkwiała w niej intensywne spojrzenie.

– Mu? Skąd się tu wzięłaś? Gdzie Freddie?

– Freddie? – Muriel ważyła słowa. – Gdzie miałyby być?

– Ze mną. Został w domu, więc po niego wróciłam. Co się z nim stało potem?

– Zabrałaś go z domu?

Usta Vera zadrzały, gdy potrząsnęła głową.

– Nie wiem. Nie pamiętam! – zawołała z rozpaczą.

– Spokojnie, nie ma pośpiechu – łagodziła Mu. – Przypomniałaś sobie, kim jesteś, to już wielki postęp. Reszta wróci z czasem, zobaczysz, ale najpierw musisz wydobrzeć. – Urwała, przyglądając się siostrze z bólem serca. – Przyniosę ci coś na sen i porozmawiamy jutro, zgoda?

Siostra Brock obserwowała scenę zza szyby kantorka.

– Przypomniała sobie – stwierdziła domyślnie, gdy Mu wstąpiła po klucz do apteczki.

– Nie wszystko. Ale poznała mnie i kojarzy co nieco z tamtej nocy. Podobno biegła po synka.

Oddziałowa stłumiła okrzyk grozy.

– Nie wie, że wszyscy nie żyją. Chcemy z tatą poczekać na odpowiedni moment... O ile kiedykolwiek się nadarzy... – wyjaśniła Muriel. – Czy mogę dać jej coś na uspokojenie?

Siostra Brock przyniosła dwie białe tabletki z szafki na zapleczu.

– Po tym zaśnie jak dziecko.

Vera posłusznie łyknęła proszki i na moment zamknęła oczy, by za chwilę poderwać się znowu.

– Co ty tu robisz, Mu? Nie powinnaś być w Portsmouth?

– Przeniosłam się tutaj. Po ostatnich atakach potrzebowali rąk do pracy, więc złożyłam podanie i proszę! – odpowiedziała Muriel. – Spróbuj zasnąć. Porozmawiamy rano, dobrze?

Od tej pory coraz więcej wspomnień zaczęło wypływać na powierzchnię i gdy David wreszcie zjawił się z wizytą, Vera mogła już z grubsza odtworzyć wypadki fatalnej nocy.

– Zostałam w pracy do późna, więc gdy rozpoczął się nalot, pobiegłam prosto do schronu. Mama była tam z dziećmi, ale brakowało Freddiego, więc wróciłam na Suffolk Place. – Vera zamilkła na chwilę. – Dlaczego mama nie przyszła mnie odwiedzić? Gdzie ona jest, tato?

Nie było jak dłużej udawać. David z ciężkim sercem streścił wydarzenia przy Parham Road, obserwując pobladałą z przerażenia twarz córki.

– Powinnam była tkwić tam z nimi... – wyszeptała dziewczyna. – Freddie też...

Osunęła się na poduszki z zamkniętymi oczami, ale drżenie ust oraz łzy spływające wzdłuż skroni zdradzały jej cierpienie. David czekał w milczeniu. Nie było takich słów ani pieszczot, które mogłyby przynieść pociechę.

Już zaczął podejrzewać, że Vera zasnęła, gdy niespodziewanie otworzyła oczy.

– Tato, skoro nie dobiegłam do domu, to co się stało z Freddiem?

– Nie wiem, słonko – rzekł David bezradnie. – Przeszukałem ruiny zaraz po inwazji. W dziecięcym pokoju znalazłem tylko ślady stóp.

– Czyli ktoś go zabrał! – wykrzyknęła Vera. – I nie próbowałeś go odszukać?

– Nie wiedziałem, że został w domu. Sądziłem, że uciekliście do bunkra wszyscy razem. Byłem na waszym pogrzebie! – tłumaczył David drżącym głosem. – Już twoje odnalezienie zakrawa na cud, a wychodzi na to, że on też mógł ocaleć. Trzeba sprawdzić w punktach pogotowia ratunkowego, może gdzieś przyjęto zgłoszenie o zaginionym chłopcu. Jeżeli trafił do domu opieki, znajdziemy go bez problemu.

Jednak w głębi duszy wolał nie przesadzać z optymizmem, pamiętając gorączkowy chaos tuż po obłężeniu i tabuny ludzi, którzy jak on sam potracili wszystko. Chociaż gdyby ktoś faktycznie ocalał

Freddiego... bo malec przecież nie wyszedł z domu sam... powinni prędzej czy później natknąć się na jego trop w którymś przytułku, szpitalu albo na policji.

Wieczorem powtórzył rozmowę z Verą starszej córce, gdy przyszła na dyżur.

– Mówisz, że w domu było pusto? – upewniła się Mu.

– Na pewno. Ktoś wszedł przede mną, lecz uznałem, że to złodzieje. Do głowy mi nie przyszło, że Freddie spędził tam noc.

– Może znajdą się jacyś świadkowie – rozważała Mu. – Nawet nieświadomie ktoś mógł coś zauważyć.

– Warto popytać – zgodził się David. – Ale skoro Freddiego nie było w środku podczas następnego bombardowania, to znaczy, że żyje.

– Sprawdzę na pediatry – podchwyciła Mu. – A nuż przyjęto nieznanego chłopca?

Następnego ranka zaraz po dyżurze Mu udała się na oddział dziecięcy.

– Niestety. – Siostra Newman rozłożyła ręce. – Mamy kilku chłopców w tym wieku, ale pod nazwiskiem.

Obiecała jednak trzymać rękę na pulsie i uprzedzić personel nocnej zmiany o poszukiwaniach niemowlęcia.

Mimo zmęczenia nogi samoczynnie poniosły Muriel na Suffolk Place. Niewiele się tu zmieniło. Gdyby ojciec nie zdążył wejść do środka przed całkowitym zniszczeniem, nikomu nie postałoby w głowie, że biedny chłopiec nie zginął pod gruzami.

– Dlatego lepiej włączyć Jeffersonów – rzekł David, gdy to usłyszał. – Paulowi coś może obić się o uszy w remizie, a Elsie rozpuści plotki w okolicy. Im więcej osób będzie o tym mówić, tym większe szanse, że na coś trafimy.

Mu niechętnie przyznała mu rację, choć dostawała młodości na myśl, że ktoś taki jak Elsie Jefferson będzie rozprawiał o intymnych sprawach jej rodziny przy ladzie u rzeźnika. Nietrudno było sobie wyobrazić jej zgorszony ton: „Nie do wiary, żeby zostawić niemowlę samo w domu pod ostrzałem, niby przez pomyłkę! Kto zapomina o dziecku?”. Muriel nie życzyła sobie komentarzy pani Jefferson i jej kumoszek. Należało zatem jak najszybciej znaleźć dom dla taty i Very, bo na zwolnienie szpitalnego łóżka czekał już zastęp rannych.

W ciągu kolejnych dni kilkakrotnie rozbrzmiały wieczorne ostrzeżenia, gdy nad miastem przetoczył się grom wrogich samolotów, które jednak tym razem oszczędziły Plymouth. Mimo to nikt w mieście nie spał spokojnie, a w powietrzu wisało napięcie przed nieuchronną klęską.

Na wiadomość o ocaleniu Very i poszukiwaniach najmłodszego Shawbrooka Elsie z miejsca wysnuła wniosek, że David zamierza sprowadzić córkę pod jej dach.

– Masz ci los – westchnęła obłudnie. – Pewnie chcielibyście mieszkać razem, a u nas jest tak ciasno...

– Znajdę nam jakiś kąt – uspokoił ją David. – Zresztą jeszcze przez tydzień lub dwa musi zostać w szpitalu.

– Nie do wiary! – relacjonowała potem Elsie Stelli zgodnie z przewidywaniem Mu. – Kto to słyszał, żeby zostawić niemowlę samo w domu pod ostrzałem?!

Mu z Davidem sporządzili spis wszystkich instytucji pomocowych, a następnie rozdzielili adresy między siebie, kolejno odwiedzili każdą z nich. Nikt nie znalazł bezimiennego chłopca. U Paula w pracy również nie odnotowano takiego przypadku, chociaż w wojennej zawierusze zaginionych



dzieci nie brakowało. Wiele matek pozbawionych oparcia w mężach walczących na froncie wołało wręcz wynieść się z miasta, by nie ryzykować. Jednak Mu się nie poddawała. Odwiedziła wszystkich mieszkańców Suffolk Place i okolicznych ulic z prośbą o informacje. Gdy drzwi nie otwierano, wracała do skutku.

Jej wytrwałość została nagrodzona, gdy któregoś dnia zastukała do drzwi Drake'ów u wylotu Haversham Road.

Tego samego popołudnia Maggie wpadła na herbatę do Stelli. Mimo różnicy wieku Roger bardzo je zbliżył, więc regularne towarzyskie wizyty szybko weszły im w krew. Podczas jednej z takich pogawędek wyszło na jaw, że sąsiadka z mężem spędzili całe życie przy Marden Road pięćdziesiąt trzy, co Maggie nie mieściło się w głowie.

– Po śmierci Johna pięć lat temu uznałam, że nie trzeba mi tyle miejsca – przyznała Stella. – Rozsądek podpowiadał, aby sprzedać dom i przenieść się do czegoś mniejszego. Ale starych drzew się nie przesadza. Tu jestem u siebie, znam każdy kąt, historię każdej pamiątki. Pod tym dachem przeżyłam swoje najszczęśliwsze chwile, trudno to przekreślić.

– Moi rodzice często się przenosili ze względu na pracę ojca – wyjawiała Maggie. – Po ślubie zamieszkałam w Londynie, aż Colin dostał propozycję z Plymouth.

– Co robił twój ojciec? – zaciekawiła się Stella.

Maggie wzięła głęboki oddech.

– Sprzedawał narzędzia ogrodnicze. Co rusz posyłałi go w inne miejsce. Towarzyszyłyśmy mu w miarę możliwości, lecz niekiedy wyjeżdżał sam.

Lepiej było oszczędzić Stelli szczegółów ciągłych wyprowadzek pod osłoną nocy, gdy we dwie zalegały z czynszem, a ojciec nie dawał znaku życia. Za którymś razem nie wrócił, co powitały bez żalu, by nie powiedzieć z ulgą. Maggie dostała pracę ekspedientki, mama dorabiała praniem i stopniowo udało im się stanąć na nogi.

Colina poznała w sklepie, gdy przyszedł po ćwiartkę sera. Trzeba jednak było dwóch kolejnych wizyt, zanim zebrał się na odwagę, by zaproponować jej kino. Maggie przyjęła zaproszenie i tak zostali parą. Po kilku nieudanych związkach dziewczynie marzyło się głównie zabezpieczenie na przyszłość, więc choć sam adorator nie grzeszył fantazją, jego regularna policyjna pensja skutecznie nadrabiała te braki. Maggie sięgnęła zatem po swój najsilniejszy arsenał kobiecej kokieterii, by z biegiem czasu jednak dostrzec między nimi szczepą nić porozumienia, po ślubie zaś odkryła szereg dodatkowych przywilejów. Napatrzwszy się latami na matkę skazaną na pogoń za każdym groszem, wyszła za człowieka, który nie chciał słyszeć o pracy zarobkowej małżonki.

– Po jakie licho? – sarknął, gdy Maggie nie chciała zrezygnować z zatrudnienia w sklepie. – Jeszcze ktoś pomyśli, że nie potrafię utrzymać rodziny!

Co piątek wręczał jej więc stałą kwotę na bieżące wydatki, dorzucając od czasu do czasu mały bonus na przyjemności, i tym sposobem ich związek znalazł harmonię.

Lecz po dwóch poronieniach, w obliczu widma bezdzietności, Maggie przestały wystarczać dostatek i wygoda. Przed rozstaniem uchroniła ich kolejna ciąża, zakończona przedwczesnym porodem i śmiercią syna kilka godzin później.

Kobieta pogrzała się w apatii, rozżalona na cały świat. Pomysł przeprowadzki do Plymouth bynajmniej jej nie pociągał, lecz nie miała siły wdawać się w dysputy. „Co szkodzi spróbować? – rozważała bez cienia nadziei. – Najwyżej któregoś dnia pójde w ślady ojca i tyle mnie widzieli”.

W nowym mieście sytuacja poprawiła się jednak dopiero po ocaleniu Rogera. Maggie doczekała się w końcu wymarzonego dziecka, lecz jak na ironię zaraz straciła męża. Nawet nie przypuszczała, że będzie za nim tak tęsknić. Brakowało jej znajomego zgrzytu klucza w zamku, dziarskiego głosu Colina i jego opiekuńczości.

Spojrzała teraz na malucha, który z niespożytą energią szurał po podłodze, wdrapując się na wszystko, co napotkał.

– Co za fryga! Tylko patrzeć, aż zaczniesz biegać. – Stella z rozrzewnieniem pogłaskała rdzawy meszek na główce małego odkrywcy, gdy w skupieniu okrążył jej fotel.

– Racja – przyznała Maggie. – Będzie trzeba zaopatrzyć się w szelki, aby mi nie zginął.

– Co więcej, możesz mieć go przy sobie, zamiast wiecznie oglądać się na wózek zostawiony przed sklepem – potwierdziła Stella, pomna doświadczeń z Harriet. – Prenumerujesz „Western Morning News”?

– Nie – odparła Maggie, lekko zbita z tropu. – Bo co?

– Tak sobie. Kilka dni temu trafiłam na wzmiankę o zaginionym niemowlęciu, więc sądziłam, że też czytałas.

– Nie. – Maggie dostała gęsiej skórki.

– W którym to było numerze... – Gospodyni zaczęła przerzucać sterty gazet na stoliku pod lampą. – O, proszę.

– Co za dramat. – Maggie sięgnęła po dziennik i bliska omdlenia, przebiegła oczami tekst pod nagłówkiem *Poszukiwany chłopczyk*. Sąsiadka śledziła ją z boku.

– Dobrze się czujesz, kochana? Jesteś taka blada.

Maggie pokryła zmieszanie niefrasobliwym śmiechem.

– Pewnie z niewyspania. Roger nie pozwolił mi dziś zmrużyć oka. – Obojętnie złożyła pismo, by wziąć syna na ręce. – Taki ze mnie nicpoń! – zaszczebiotała wesoło.

Stella skinęła głową, żałując, że w ogóle poruszyła ten temat. Po co dręczyć biedaczkę historiami o cudzym nieszczęściu, kiedy sama ledwie sobie radzi?

Wkrótce potem Maggie zaczęła się żegnać.

– Mogę pożyczyć gazetę? – rzuciła mimochodem, układając Rogera w wózku.

– Naturalnie – ożywiła się Stella. – Ale to wydanie sprzed kilku dni. Nie wolisz aktualnego?

– Chętnie wezmę obydwu. Nie pamiętam, kiedy ostatnio zaglądałam do prasy – wyznała Maggie z zakłopotanym uśmiechem.

Drogę do domu przebyła niemal biegiem, byle dalej od ludzkich spojrzeń.

„Nonsens – przemawiała sobie do rozsądku. – Sąsiedzi wielokrotnie już widzieli mnie z wózkiem. Niemożliwe, by ktoś nabrał podejrzeń”.

W domu umieściła Rogera w kojcu z drugiej ręki nabytym za pieniądze od Andy’ego i bezzwłocznie zasiadła do lektury.

*Zrozpaczona rodzina prosi o pomoc w odnalezieniu dziewięciomiesięcznego chłopca nazwiskiem Freddie Shadbroke, który wskutek pomyłki znalazł się sam w domu przy Suffolk Place podczas sztormu 21 kwietnia br. „Z pewnością przygarnął go ktoś o dobrym sercu –*

*mówi jego starsza siostra Muriel. – Będziemy wdzięczni za kontakt za pośrednictwem redakcji”.*

Maggie dwukrotnie przeczytała komunikat. Nie ulegało wątpliwości, że poszukiwany Freddie był tym samym chłopcem, którego Colin ocalił od niechybnej śmierci pod gruzami naruszonego budynku. Ktokolwiek zdołał przeoczyć niemowlę podczas ewakuacji, teraz wszczynał zamęt. Nad jej głową zbierały się chmury, a to wymagało namysłu.

– A o jakim sercu, jak nie dobrym, skoro nie zważając na zagrożenie, wyniósł dziecko z rozwalonej rudery! – prychnęła głośno, przedrzeźniając cytowaną Muriel. – Gdyby nie mój Colin, nikt by mu nie pomógł.

Choć z gruntu prawdziwe, to stwierdzenie zawierało tylko pół prawdy, bo Maggie doskonale wiedziała, że gdyby mąż nie zginął, zgłosiłby incydent w urzędzie, a wówczas chłopiec wróciłby do ludzi, którzy porzucili go na pastwę losu.

Lecz Maggie nie miała najmniejszego zamiaru narażać syna na podobne ryzyko, więc musiała opracować plan działania. Na wszelki wypadek.

Jak dotąd nie znaleźli się żadni świadkowie bohaterkiej interwencji Colina. Sama z nikim o tym nie rozmawiała, a znając męża – on też nie. Doszła więc do wniosku, że nie ma powodu do strachu i wystarczy przez pewien czas siedzieć cicho i się nie wychylać.

Na jakiej podstawie ktoś miałby skojarzyć jej Rogera z poszukiwanym dzieckiem? Zarejestrowała syna wyłącznie w biurze żywności, przy czym duplikat książeczki wydano kilka tygodni po ataku, w którym zaginął Freddie. Na pierwszy rzut oka trudno będzie powiązać oba wydarzenia. Poza tym Maggie przedstawiła przecież akt urodzenia Rogera Petersona, oficjalnie wszystko się zgadza. Mimo to w jej sercu zakiełkował niepokój.

W nocy źle spała. Śniło jej się, że dom otoczyła brygada strażaków, żądając natychmiastowego zwrotu dziecka pod groźbą podpalenia budynku. Mimo protestów Maggie wprowadzili wóz do ogrodu i rozwinęli szlauch, który zamiast tłoczyć wodę, ział ogniem. Obudziła się przy wtórze płaczu niemowlęcia i wycia syren ostrzegawczych. Ależ nie znosiła tego dźwięku.

Przez następne dni Maggie biła się z myślami. Czy nie lepiej zejść ludziom z oczu? Tylko gdzie mieliby się ukryć i z czego żyć?

Luźne wizje stopniowo zaczynały łączyć się w jej głowie, aż powstał całkiem sensowny scenariusz. Po śmierci męża nic nie trzymało jej w Plymouth, a nie byłaby pierwszą matką szukającą schronienia poza miastem. Wynajęcie parteru zapewniłoby im źródło utrzymania, gdyż obecne wpływy od Clayów bez pensji Colina nie pokrywały domowego budżetu. Gdy Roger trochę podrośnie, Maggie mogłaby rozejrzeć się za pracą, choćby na pół etatu, i w bezpiecznym zaciszu przeczekać rozgłos wokół zaginionego chłopczyka.

Znalezienie lokatorów nie powinno sprawić kłopotu. Z racji rozległych zniszczeń w całym mieście oferty najmu rozchodziły się jak świeże bułeczki. Nawet Stelli krążyło po głowie, aby wziąć na stancję miłą panią stanu wolnego.

Następnego dnia Maggie zwierzyła się sąsiadce ze swoich planów.

– Po co niepotrzebnie ryzykować? Colin na pewno chciałby, abym uchroniła jego syna przed pogromem. Dochody z czynszu wystarczą na przeżycie, a po wojnie zawsze mogę wrócić.

„O ile będzie do czego”, dokończyły w duchu obydwie. Stella pomyślała, że gdyby dom Petersonów miał nie przetrwać, to tym bardziej należało go opuścić.

Przypomniały się jej narzekania Elsie na kolegę męża, który od kilku tygodni mieszkał u nich kątem przed powrotem córki ze szpitala. Przy odrobinie dobrej woli pomieściliby się i we czwórkę, lecz przyjaciółka nie chciała o tym słyszeć.

– Łaska losu, że najstarsza córka mieszka w internacie, bo i ona wylądowałaby u nas! – biadała.

Co szkodzi zaproponować im mieszkanie wdowy po jej wyjeździe z miasta? Stella postanowiła od razu wybać teren przed podsunięciem rozwiązania Elsie. Przyjaciółka miałaby jej potem za złe, gdyby pomysł spalił na panewce.

– Tak się składa, że znam kogoś, kto potrzebuje kwatery – napomknęła. – Mężczyzna z córką, którzy stracili dom, ona po operacji. U ciebie byłoby im jak znalazł.

Maggie zaświeciły się oczy. Nie wiedziała, skąd wziąć lokatorów, a zależało jej na kimś godnym zaufania, kto zadbałby o dom do ich ewentualnego powrotu.

– Zapytam, czy nadal są zainteresowani – obiecała Stella wspaniałomyślnie.

Pozostawała więc tylko kwestia, dokąd jechać, lecz Maggie postanowiła odłożyć decyzję do chwili, gdy w istocie znajdą się chętni najemcy.

Tymczasem decyzja podjęła się sama jeszcze tego samego wieczoru podczas lektury gazet pożyczonych od sąsiadki. Wypatrując kolejnych wzmianek o zaginionym niemowlęciu, kobieta natknęła ogłoszenie, od którego serce zabiło jej szybciej.

*Zatrudnię uczciwą i pracowitą panią do pomocy w utrzymaniu majątku ziemskiego.*

*Zakwaterowanie na terenie posesji plus wynagrodzenie do uzgodnienia.*

*Bridger, „Western Morning News”, skr. poczt. A243*

Maggie nie wierzyła we własne szczęście. Trudno o lepsze rozwiązanie niż płatna posada z mieszkaniem w jakiejś zapadłej dziurze, gdzie na pewno nie dotarły słuchy o poszukiwanym malcu. Niewiele myśląc, wycięła ogłoszenie i schowała je do szuflady w kuchni, by przemyśleć sprawę w ciągu nocy.

Następnego ranka oferta wyglądała nie mniej atrakcyjnie, więc Maggie postanowiła odpowiedzieć.

Pomysł Stelli wprowadził Elsie w euforię.

– Tylko mnie w to nie mieszaj – zastrzegła. – Nie chcę wyjść na taką, co wyrzuca z domu człowieka w potrzebie.

– Przecież właśnie chcemy mu pomóc – zauważyła Stella.

– Paul pomyśli swoje. Chociaż Bóg mi świadkiem, to przekracza wszelkie granice! Jednego jeszcze byłam w stanie zdzierżyć, ale nie mam zamiaru niańczyć całej bandy!

Stella wolała przemilczeć fakt, że „cała banda” w rzeczywistości miałyby się sprowadzać do dwóch osób.

– Takie z was ostatnio nierozłączki, że Maggie też chętniej pójdzie za twoją radą – dorzuciła Elsie zjadliwie.

W ten oto sposób David otrzymał zaproszenie do pani Peterson tydzień później. Stella zaoferowała, że w tym czasie weźmie Rogera do siebie, aby nie przeszkadzał, a także by nie robić niepotrzebnej przykrości gościowi w żałobie po własnych dzieciach, o czym Maggie jeszcze nie wiedziała.

Przybyły sprawił na niej pozytywne wrażenie.

– Kiedy planuje pani wyjazd? – zapytał, gdy doszli do porozumienia w kwestii czynszu.

– Kiedy tylko znajdę lokatorów – odparła Maggie. – Mąż niedawno zginął i nie mam zamiaru czekać, aż to samo spotka mojego syna.

– Moje wyrazy współczucia. – David skłonił głowę z szacunkiem. – Bardzo rozsądnie z pani strony. Lepiej nie czekać, aż Luftwaffe zrówna miasto z ziemią.

Ustalono, że David i Vera wprowadzą się po niedzieli. Mieszkanie było w pełni wyposażone, a przeniesienie tych kilku drobiazgów, jakie im zostały, nie wymagało zachodu.

– Nie będzie państwu przeszkadzać, jeżeli schowam jedną walizkę w piwnicy? – spytała Maggie. – By nie wozić niepotrzebnych rzeczy w tę i nazad.

– Żaden problem. Wszystkiego przypilnujemy – zapewnił ją David.

Taka okazja mogła się już nie powtórzyć. Maggie z każdym dniem czuła na sobie coraz bliższy oddech pogoni za Rogerem. Nie było na co czekać.

**M**u zdążyła stracić nadzieję, że ktoś otworzy u Drake'ów, i już odeszła od drzwi z zamiarem powrotu innego dnia.

– Mogę w czymś pomóc? – W progu stanęła kobieta.

Mu obejrzała się z uśmiechem.

– Mam nadzieję. Szukam niemowlęcia...

– To raczej pomyłka – odparła gospodyni. – Tu mieszka tylko jedenastoletni urwis.

– Nie, nie o to chodzi. Nie poszukuję dziecka, ale informacji na temat mojego zaginionego siostrzeńca – sprostowała Muriel.

Kobieta zmarszczyła brwi.

– U mnie? Nie znam pani, a tym bardziej nie wiem nic o pani siostrzeńcu. Może uciekł z domu?

– Nie, ma tylko dziewięć miesięcy. Przypadkiem został sam w domu, gdy reszta rodziny ukryła się w schronie, i od tej pory słuch o nim zaginął. – Uśmiechnęła się, wyczuwając u gospodyni więcej życzliwości niż u jej sąsiadów. – To rzut beretem stąd, więc gdyby ktoś go uratował, może pani byłoby coś o tym wiadomo?

– Ach tak – rzekła kobieta w zamyśleniu. – Kiedy to było?

W oczach Mu zabłysła nadzieja. Zawróciła w kierunku drzwi.

– Podczas pierwszej napaści, w poniedziałek dwudziestego pierwszego kwietnia.

Kobieta zmierzyła gościa przenikliwym wzrokiem.

– Proszę wejść – zdecydowała po długiej chwili.

– Dziękuję. Nazywam się Muriel Shawbrook. Moja rodzina mieszka...ła przy Suffolk Place dwadzieścia jeden.

– Miło mi. Jane Drake.

W holu pani Drake otworzyła pierwsze drzwi na lewo, grzecznie przepuszczając przybyłą. Schłodny salon, w którym się znalazły, wyglądał jak makieta na pokaz.

– Zapraszam. – Gospodyni wykonała gest w stronę kanapy. – Ernie właśnie wrócił ze szkoły, zaraz go zawołam.

Chwilę później zza ściany dobiegły podniesione głosy i tupot nóg na schodach, zanim Jane przywiodła do pokoju szczupłego nastolatka, który zastygł w progu, wyraźnie nastroszony.

– To mój syn Ernie. Zawsze go poniesie, gdzie coś się święci. – Kobieta obróciła głowę. – Nie stój jak ten słup. Przywitaj się z panią Shawbrook, która ma do ciebie kilka pytań.

– Ja nic nie wiem – uprzedził chłopiec burkliwie.

– O czym? – zainteresowała się jego matka.

– O niczym.

– Opowiedz o tym policjancie, który wszedł po dzidzusia do popękanego domu przy Suffolk Place.

Ernie od niechcenia wzruszył ramionami.

– To nic wielkiego. Usłyszałem płacz dziecka w ruinach, a ten gliniarz wyniósł je na zewnątrz.

– Poczekaj, Ernie – poprosiła Mu. – Pozwól mi wyjaśnić, co zaszło, a wtedy może uzupełnisz szczegóły.

Ernie kiwnął głową i postąpił kilka kroków naprzód. Pod pozorem zubożenia płaął z ciekawości, by usłyszeć dalszy ciąg historii. Nie od razu przyznał się mamie do swojej porannej eskapady, lecz gdy sama się domyśliła, próbował ocalić skórę, zaprzatając ją opowieścią o dziecku w pustym domu i dzielnym policjancie, który je uratował.

– Całe szczęście, że się tam kręciłem – oświadczył wtedy przekornie. – Gdyby nie ja, dzieciak mógłby się zapłakać na śmierć. Ten policjant niczego nie słyszał. – Widząc zaciekawienie w oczach mamy, dodał: – Powiedział, że ten mały trafi do domu opieki. – Chłopiec wiercił stopą dziurę w ziemi. – Ja bym od razu uciekł gdzie pieprz rośnie, ale taki berbec nie ma nic do gadania.

Jane nie bez skrywanej dumy uznała, że smarkacz nie mógł na poczekaniu zmyślić podobnej historii. Nie omieszkała zrugać syna za wypad w środku nocy, ale darowała mu lanie, a temat bohaterskiego wyczynu więcej nie powrócił. Ernie kilka razy próbował zainteresować nim kolegów, Sidneya i Joego, ale ich obchodziło tylko szukanie skarbów, a skoro pod tym względem Suffolk Place nie kryło żadnych atrakcji, woleli grzebać w zgłiszczach biednego Lorda Howarda, bo jak powiedział Joe, cytując swojego ojca: „Człowiek nigdzie się tyle nie nauczy co w pubie”.

Mimo to Ernie dość często wspominał małego beksę z nadzieją, że udało mu się wrócić do mamy, choć z tamtego domu po kolejnym nalocie nie zostało praktycznie nic. Więc bobas pewnie wciąż czekał w sierocińcu nie wiadomo na co.

Chłopiec skupił teraz uwagę na słowach nieznajomej.

– Od lat mieszkaliśmy przy Suffolk Place. Podczas ataku dwudziestego pierwszego kwietnia pracowałam w Portsmouth. Ale cała rodzina, wyjąwszy ojca, który był na służbie, uciekła do podziemi. – Nazwa schronu stała się Mu w gardle. Dopiero po chwili wrócił jej głos. – Na miejscu odkryli, że z jakiegoś powodu najmłodszy chłopczyk został w domu. Za to rano już go nie było, gdy jego dziadek przeszukał to, co jeszcze stało przed zburzeniem. Wiesz coś o tym, Ernie? Nie bój się, nic ci nie grozi, chcemy tylko odnaleźć dzidziusia. – Uśmiechnęła się, by ośmielić chłopca. – Każda najmniejsza wskazówka może pomóc. Bardzo się o niego martwimy.

Ernie długo zwlekał z odpowiedzią.

– Powiedział, że zabierze go do centrum opieki.

– Kto?

– Skąd mam wiedzieć? – prychnął chłopiec. – Jakiś glina, zapomniał się przedstawić.

– Wyniósł go policjant?

– Dzięki mnie – nie omieszkał zaznaczyć Ernie. – Usłyszałem płacz i chciałem sprawdzić w środku, kiedy przypiął się ten policjant, że niby kradnę. Ale potem sam się przekonał, więc kazał mi czekać, aż wyjdzie, albo wezwać pomoc, gdyby dom się zawalił.

– I co dalej? – zachęciła go Mu.

– Wszedł do budynku, a kilka minut później wrócił z niemowlakiem. Powiedział, że to moja zasługa. Nie wiem, co było potem, bo mnie pogonił do domu, ale miał zanieść dzidziusia do punktu ratunkowego.

– To mi w zupełności wystarczy! – wykrzyknęła Muriel. – Dziękuję ci z całego serca. Ocaliłeś naszego Freddiego.



W blasku chwały Ernie stał się bardziej rozmowny.

– Ma na imię Freddie? Bardziej pasowałoby „Śmierdziel”.

Obie kobiety wybuchnęły śmiechem, na co chłopiec znów się nachmurzył.

– W głowę zachodzę, skąd ja wzięłam „Erniego” – powiedziała jego matka z rozbawieniem, a zwracając oczy na gościa, dodała: – Mam nadzieję, że to pomoże. Policjant powinien pamiętać, komu go przekazał, i dalej powinno pójść łatwo. – Zawiesiła głos. – Napije się pani herbaty?

Mu zrobiła skruszoną minę.

– Proszę wybaczyć, ale wkrótce zaczynam dyżur, a chciałabym wcześniej powiadomić ojca.

– Doskonale rozumiem – zgodziła się gospodyni. – Gdyby chodziło o Erniego, już by mnie tu nie było.

Przy pożegnaniu Mu wyłuskała z torebki banknot o wartości dziesięciu szylingów.

– To dla ciebie, Ernie. Zachowałeś się jak bohater. Dzięki tobie odnajdę Freddiego, wszystko jedno gdzie.

– Bez przesady! – zawołała Jane. – Ernie nie zasłużył na nagrodę.

– Moim zdaniem tak – sprzeciwiła się Mu, wyciągając pieniądze ku chłopcu.

Ernie, któremu na widok zawrotnej sumy zapalały oczy, zerknął dla pewności na matkę, zanim wcisnął banknot do kieszeni.

– To bardzo szlachetne z pani strony, ale nie potrzeba – napomknęła Jane.

– Miał znaczek w jodełkę na rękawie – odezwał się nagle Ernie.

– Ten policjant?

Chłopiec kiwnął głową.

– Sierżant?

Ernie nie potrafił powiedzieć, gdyż z zasady unikał służb mundurowych.

– To ważna informacja – rzekła Muriel. – Dziękuję.

– Przyniesie pani pokazać Freddiego mamie?

– Oczywiście – obiecała Mu, której śpieszno było do domu.

Freddie ocalał. Prędzej czy później trafią na właściwy posterunek i właściwego sierżanta, który naprowadzi ich na jego ślad. Brakowało im tylko własnego kąta, by zacząć wszystko od nowa.

Mu znalazła ojca u Jeffersonów.

– Freddie żyje i jest bezpieczny! – krzyknęła od progu. – Rankiem po nalocie pewien chłopiec o imieniu Ernie usłyszał płacz u nas w domu i zaalarmował policjanta, który wyniósł maleństwo na dwór. To jego ślady widziałeś w sypialni, tato. Podobno wiele ryzykował, bo dach już wisiał na włosku.

– Potwierdzam. I co było potem? – David przylgnął wzrokiem do ust córki.

– Sierżant zabrał go do centrum opieki.

– Czyli na tym trzeba się skupić.

– Byliśmy już wszędzie – westchnęła Mu z rezygnacją.

– Gdy dotrzemy do tego sierżanta, poda nam więcej szczegółów.

– To jak szukanie igły w stogu siana.

– Niekoniecznie. Łatwo sprawdzić, który komisariat patroluje naszą ulicę.

– Chyba tak. W każdym razie warto spróbować. Nawet gdyby nie udało się za pierwszym razem, policja może przecież rozesłać komunikat do wszystkich jednostek w Plymouth – rozważała Muriel. – Najważniejsze, że Freddie jest cały i zdrowy. Vera oszaleje z radości. A jutro zaraz po dyżurze pójdę na posterunek.

– Nie wiem, czy Vera zniesie tyle szczęścia, bo ja też mam dla niej dobrą wiadomość – rzekł David z uśmiechem. – Sąsiadka Jeffersonów, która właśnie straciła męża, boi się zostać w mieście z małym dzieckiem i zamierza wynająć swoje obecne mieszkanie. Możemy wprowadzić się w przyszłym tygodniu.

– Fantastycznie! Czyli Verę wypiszą wcześniej!

Siostra Brock była podobnego zdania.

– Cieszę się – rzekła, gdy pielęgniarka podzieliła się z nią nowiną. – Widać, że ją nosi, więc po co zajmować łóżko, skoro już pomyka o kulach. – Obrzuciła Muriel dobrodusznym spojrzeniem. – Proszę nie trzymać jej dłużej w niepewności.

Muriel zaciągnęła kotary wokół posłania siostry.

– Co się dzieje? – zapytała Vera z niepokojem.

– Mam sprawę do omówienia.

– Wychodzę?! – zelektryzowała się dziewczyna.

– Tak. Oddziałowa wyraziła zgodę, ale nie po to przyszedłam. – Muriel ujęła dłoń siostry. – Wiemy, że Freddie żyje. Ponoć uratował go dzielnicowy patrol.

Vera utkwiała w twarzy siostry nieruchomy wzrok, nim emocje podeszły jej do gardła i zalała się łzami w porywie gwałtownego szlochu. Muriel uściśliła jej rękę.

– Nie płacz, kochanie. Wszystko będzie dobrze, obiecuję. Niedługo do nas wróci.

Ale Vera nie mogła się uspokoić. Nie czuła w sobie radości. Pierś przepełniły jej żal i poczucie winy z racji randki z Charliem – który pewnie zginął w schronie tamtej nocy – i zawodu, jaki sprawiła mamie tuż przed śmiercią.

Szarsza siostra przycupnęła na skraju łóżka, biorąc ją w ramiona.

– Nic mu nie grozi – szemrała dla ukojenia.

– Ale mama nigdy się nie dowie – łkała Vera.

„Podobnie jak o moich zaręczynach – pomyślała Muriel z goryczą. – Za późno. Mamy już nie ma”.

– Wiesz co? – powiedziała z nagłym ożywieniem. – Tata znalazł mieszkanie dla was dwojga. Możecie wprowadzić się w przyszłym tygodniu.

– I jak będziemy żyć bez mamy i dzieciaków?

– Tak, aby byli z nas dumni – wychrypiąa Mu, przytłoczona nową falą bólu. – Musimy trzymać się razem. Tata nas potrzebuje. A przede wszystkim Freddie.

– Gdzie on teraz jest? – Płacz Very z wolna ucichł.

– Policja przekazała go opiece społecznej. Jest bezpieczny, musimy tylko dociec, kto go znalazł.

Rozmowę przerwało silne szarpnięcie za kotarę – do akcji wkroczyła siostra Brock z miną równie sztywną co jej fartuch. Cały oddział od kilku minut trwożnie przysłuchiwał się wybuchom płaczu pod dziesiątką i niezależnie od przyczyn należało położyć temu kres.

– Proszę wracać do swoich obowiązków – zwróciła się do Muriel lodowatym tonem.

Gdy dziewczyna pokornie umknęła na salę, oddziałowa zasłoniła szparę i zajęła wolne krzesło obok łóżka.

– O co chodzi? – zapytała życzliwie, choć stanowczo. – Nie cieszysz się, że ojciec ma dla was mieszkanie? – Podała dziewczynie świeżą chustkę. – No już, głowa do góry.

Vera, niby mała dziewczynka, zachłysnęła się kilka razy, lecz posłusznie wydmuchała nos.

– Znaleźli Freddiego – wyszeptąa bezbarwnie.

– To chyba dobra wiadomość. – Siostrze Brock znane były losy pacjentki.

– To ja go zgubiłam.

– Aby potem wrócić.

– Miałam za zadanie pilnować go podczas alarmu. Lecz ważniejszy był kolega z pracy.

Siostra Brock nieraz miała do czynienia z syndromem ocalałych i celowo sięgnęła po dobitne słowa.

– Gdybyś zrobiła, co do ciebie należało, nie byłoby cię tu teraz. A twój ojciec i siostra mieliby dwoje więcej do oplakiwania. Nie ty jedna straciłaś rodzinę tamtej nocy. Każdy z was musi uporać się ze stratą. Pomyśl, jak cieszyłaby się twoja mama z tego, że wy dwoje zdołałście przetrwać, że twój tata nie został sam i że mały Freddie dorośnie pod opieką najlepszej mamy pod słońcem. Swojej mamy. Los dwukrotnie ocalił cię od śmierci. Musi trzymać coś jeszcze w zanadrzu.

– E tam! – prychnęła Vera gniewnie.

– Czyli znowu wiesz lepiej? – odparła oddziałowa. – Miałam dziewięć lat, gdy moi rodzice umarli na hiszpankę po wojnie. Byłam pewna, że to przeze mnie.

– Nonsens.

– Oczywiście. Ale tak jak ja musisz się nauczyć, że twoje ocalenie nikogo nie zabiło. Najlepsze, co możesz zrobić, to żyć pełnią życia i dać przyszłość swojemu synowi, właśnie ku ich pamięci. – Siostra Brock podniosła się z miejsca. – Pora spać. A gdy za kilka dni dołączysz do rodziny, pamiętaj, że twoja misja jeszcze się nie skończyła.

Rozsunęła kotary, w głębi sali ukazując Muriel nachyloną nad niesprawną kobietą, której pomagała myć zęby.

– Twoja siostra odkryła swoje powołanie – rzekła oddziałowa do Very. – Kto wie? Może twoim jest macierzyństwo?

**P**o wyjściu pana Shawbrooka Maggie zjrzała do sąsiadki po Rogera.

– Doszliśmy do porozumienia. Wprowadzają się w przyszłym tygodniu – oznajmiła radośnie.

– Już? – Brwi Stelli podskoczyły.

– Jego córka wychodzi ze szpitala, więc potrzebują miejsca od zaraz. A mnie na co czekać? On też twierdzi, że nasićci jeszcze nie powiedzieli ostatniego słowa.

– Mimo wszystko to dość nagły zwrot... Dokąd pojedziesz?

– Cóż... Pomyślałam, że... – krążyła Maggie z wahaniem. – Gdybyś nie miała nic przeciw temu, mogłabym...

– Zamieszkać tutaj? – domyśliła się Stella nieufnie.

– Ależ skąd! Gdzieżbym śmiała przysparzać ci kłopotu. Nie, mogłabym zostawić tu Rogera na jeden dzień i pojechać obejrzeć pewne miejsce. Nie potrzebujemy luksusów. Mały wiejski domek byłby w sam raz.

Chwilowo uspokojona, Stella wolała nie drażnić. Z radością obiecała zająć się ulubieńcem, choć bez wiary w powodzenie planu sąsiadki, która do niedawna bała się wychylić nos z domu.

Nie wiedziała, że Maggie już zdążyła nawiązać kontakt z pułkownikiem Bridgerem z okolic Exeter, który odpowiedział na jej list, potwierdzając ofertę bezpłatnego zakwaterowania w zamian za pracę we dworze. Idealna okazja, by nie budząc podejrzeń, zaczepić się gdzieś z dala od Plymouth. Pułkownik sugerował wizytę zapoznawczą, co dałoby się zmieścić w ciągu dnia, gdyby Stella wzięła Rogera. W ten sposób Maggie miałyby szansę zorientować się w sytuacji na miejscu i ustalić zakres przyszłych obowiązków. Nie zamierzała zgadzać się na wszystko, licząc, że kłopot z pozyskaniem rąk do pracy w warunkach powszechnej mobilizacji skłoni pułkownika do ustępstw. Jednocześnie pragnęła zajęcia, choćby dla poprawy własnego samopoczucia, gdyż samotnych matek nie powoływano do służby.

Następnego ranka Maggie wysiadła z pociągu na stacji w Exeter, by stamtąd podmiejską kolejką dotrzeć do Martindell. Dzięki wskazówkom przechodniów bez trudu trafiła pod kamienne mury szlacheckiego majątku na obrzeżach. Za niestrzeżoną bramą ogołoconą na wojenne potrzeby z żelaznych wrót rozciągało się rozległe wzniesienie porośnięte trawą i chaszczami wokół dworu na szczycie. Całość, mimo wyraźnych oznak dawnej świetności, zdradzała lata zaniedbania i braku funduszy. Właściciel widocznie liczył, że darmowym lokum zdoła skusić kogoś do pomocy za symboliczną opłatą. Maggie była gotowa przystać na taki układ, o ile służbowy domek nadawał się do mieszkania. Roger mógłby towarzyszyć jej w pracy, a we wsi pewnie znajdzie się dziewczyna chętna zarobić parę groszy w roli dorywczej opiekunki.

Dzwonek wywołał z wnętrza rezydencji starszą panią w pękniętych okularach na czubku nosa. Obłok białych włosów oraz dziwnie nieprzytomne oczy tworzyły efekt gapowatego dmuchawca.

– Tak?

– Pani Bridger?

– Tak?

– Nazywam się Margaret Peterson. Odpowiedziałam na ogłoszenie w gazecie, a pułkownik Bridger zaprosił mnie na... spotkanie.

„Rozmowa kwalifikacyjna” nie przeszła jej przez gardło z uwagi na szeregujący wydziewięk. Bo choć zabiegała o pracę u tej budzącej respekt kobiety, wołała od początku ustawić relację na równi, by łatwiej przeforsować swoje wymagania.

– Oczywiście – rzekła pani Bridger. – Mąż czeka w gabinecie.

Zaprosiła gościa do holu, którego każdy kąt wołał o szczotkę i mydło. Misternie upięte sznurzy kryształowych sopli pod sufitem ledwie wyzierały spod pierzyny kurzu, a bogato rzeźbioną balustradę łukowatych schodów zdobiły girlandy pajęczyn. Przyległy pokój z oknami na południe okazał się przestronną biblioteką z wielkim biurkiem zasłanym papierami, za którym siedział jegomość o pysznych bokobrodach i krzaczastych brwiach zrosniętych u nasady nosa. Razem z otoczeniem wyglądał jak wyjęty z innej epoki. Staroświeckie, wysłużone meble zdawały się jednak wygodne, a w pokoju panował przytulny rozgardiasz świadczący o częstej obecności. Musiało to być ulubione zacisze gospodarza, choć i tu przydałyby się gruntowne porządki.

– Pani Peterson – zaanonsowała starszka.

– Wspaniale! – Uradowany pułkownik podniósł się zza stołu. – Dziękuję, moja droga, poradzimy sobie – odprawił małżonkę subtelnie.

Maggie krótko przedstawiła okoliczności, które skłoniły ją do poszukiwania domu na prowincji.

– Muszę się stamtąd wyrwać – wyznała drżącym głosem. – Jak najdalej od bomb i bolesnych wspomnień.

Pułkownik przyjął jej motywację ze zrozumieniem i nie zgłosił najmniejszych zastrzeżeń wobec Rogera.

– Świeże wiejskie powietrze dobrze mu zrobi – rzekł tylko, a po chwili namysłu dodał: – Memsahib lubi dzieci. Za to słabo radzi sobie w kuchni, zwłaszcza z porcjowaniem. Czy zgodzi się pani gotować i robić sprawunki?

Maggie zapewniła go o swoich kulinarnych i gospodarskich talentach.

– Wobec tego nie widzę przeszkód – stwierdził Bridger. – Memsahib nie ma już sił sama dojrzeć całego obojścia. Czy jest pani zainteresowana?

– Zależy od mieszkania – odparła Maggie zuchwale. – A skoro oczekuje pan posiłków, pozwolę sobie gotować jednocześnie dla siebie i syna.

Potwierdzenie tej kluczowej kwestii przesądziło sprawę.

– Od kiedy może pani zacząć? – chciał wiedzieć pułkownik. – Poprzednia kandydatka odeszła niespodziewanie raptem po dwóch tygodniach, co pociągnęło za sobą szereg komplikacji.

To się rzucało w oczy. A zarazem pozwalało odgadnąć, jakież to komplikacje zraziły „poprzednią kandydatkę”. Ale Maggie dopięła swego. Kto ich odkryje w służbówce podupadłego dworu na usługach pary skapcianiących dziadków odciętych od świata?

– Chodźmy obejrzeć chatę – zaproponował pułkownik. – Leży mniej więcej w połowie drogi do miasteczka.

Otworzył drzwi na taras, za którymi niegdyś musiały się ścielić faliste łąki, teraz zastąpione zagonami warzyw.

– Cały naród kopie dla zwycięstwa. – Mężczyzna wykonał nieokreślony ruch ręką. – Nam zdrowie już nie pozwala, ale miejscowy rolnik, Bill Merton, który za parę groszy dzierżawi od nas resztki trawy dla owiec, w podzięciu dogląda naszych upraw. Co obrodzi, to zbiera i zostawia przed wejściem do kuchni. Żaden ziemniak się nie zmarnuje!

Wąską ścieżką wychynęli z ogrodu na rozległą polanę, na skraju której majaczył spadzisty dach tradycyjnej chaty w cieniu kępy drzew.

Pułkownik odemknął drzwi, by puścić Maggie przodem. Wnętrze stanowiło jedno pomieszczenie wyposażone w stary podwójny zlew z pompą i archaiczny kredens dźwigający na półkach stopy niemodnej zastawy. Pod oknem rozpierał się stół w otoczeniu dwóch krzeseł, a wąskie drzwi w przeciwległym kącie ujawniły małą łazienkę. Maggie odetchnęła z ulgą na widok tego niespodziewanego luksusu, który oszczędziłby jej wypadów na dwór w środku nocy. Pompa natomiast świadczyła o dostępie do wody, choćby tylko zimnej. Standard pozostawiał wiele do życzenia, ale na to mogła przymknąć oko. Najważniejsze, że będą tu bezpieczni.

– Zapraszam do sypialni. – Właściciel wskazał wąskie, strome schodki przy ścianie. – Ja już wybiłbym sobie zęby na tej drabinie, ale w pani wieku to nie problem.

Ciekawa zajrzeć w każdy kąt, kobieta wspięła się na poddasze podzielone na dwa pokoiki. W każdym stało żelazne łóżko z cienkim materacem. Trzeba będzie przynieść pościel z rezydencji.

– Co pani na to? – zapytał pułkownik, gdy wróciła na dół.

– Brakuje pewnych rzeczy, ale podejrzewam, że we dworze znajdzie się kilka podstawowych sprzętów, z których państwo nie korzystają?

– Naturalnie. – Bridger zgodziłby się na wszystko, byle dobić targu.

Godzinę później Maggie uściśliła rękę pułkownika na znak zawartej umowy.

– Przyjedziemy w przyszłym tygodniu.

Po powrocie z Martindell Maggie poszła prosto do Stelli po Rogera.

– Byłeś grzeczny? – zaświergotała, biorąc dziecko na ręce.

– A jakże! – potwierdziła Stella z rozanielonym uśmiechem.

– Dziękuję za pomoc – powiedziała Maggie z głębi serca.

– Nie ma sprawy. Kiedy tylko mogę. – Stella raz i drugi zerknęła na sąsiadkę w napięciu. – I co?

Maggie była przygotowana.

– Spóźniłam się. Jakieś małżeństwo mnie ubiegło – westchnęła z żalem. – Wielka szkoda, bo miejsce naprawdę świetne.

Nie doczekawszy się rozwinięcia, Stella nie wytrzymała.

– W jakim sensie?

– Chodziło o pracę i mieszkanie w pubie na wsi. Idealny układ w mojej sytuacji, gdzie mogłabym zawsze mieć Rogera przy sobie.

– I wzięli kogoś innego? Przecież umówiłaś się z właścicielem na spotkanie.

– Niestety. Podobno nie mógł dłużej czekać i przyjął pierwszych chętnych. – Maggie uśmiechnęła się smutno. – Choć po namyśle sędzę, że to z powodu Rogera.

– Co zamierzasz?

– Szukać dalej.

– Ale w poniedziałek musisz zwolnić dom dla lokatorów!

Maggie potarła czoło ze strapioną miną.

– Wiem. Powinna być dopiąć wszystko na ostatni guzik przed ustaleniem terminu.

– W rzeczy samej – stwierdziła Stella. – Cóż, w najgorszym razie przeczekać u mnie, aż trafi się coś innego. Obyś tylko zdążyła, zanim Luftwaffe sobie o nas przypomni.

– Dziękuję, jesteś niezrównana. Obiecuję, że gdyby do tego doszło, zrobię wszystko, by nie siedzieć ci na głowie zbyt długo.

W drodze do domu Maggie opadły wyrzuty sumienia, że tak cynicznie okłamała jedyną duszę, która się za nią ujęła po śmierci Colina. Lecz musieli zniknąć jak kamfora. Po powrocie znajdzie jakąś wymówkę. Do tego czasu wszyscy i tak zapomną.

Wprowadziła wózek za próg, po czym ściągnęła buty i padła na kanapę. Po obfitującym w wydarzenia dniu czuła się zmęczona, kiedy Roger rozpoczął swój wieczorny koncert.

Maggie niechętnie poczłapała do kuchni podgrzać mleko i ugnieść gotowane ziemniaki z drobkami sera.

– Masz sporo wymagań – uświadomiła zniecierpliwionemu bobasowi.

Dzwonek do drzwi zabrzmiał w najmniej odpowiednim momencie.

Na progu stał Andy Sharpe, tym razem w pełnym rynsztunku.



– Dobry wieczór. Posterunkowy Sharpe, mieliśmy już okazję się poznać – przywitał się grzecznie.

– Tak, wiem, kim pan jest.

– Byłbym wdzięczny, gdyby zechciała pani odpowiedzieć na kilka pytań. To rutynowe działanie, ale inspektor prosił, abym uzupełnił szczegóły.

– Właśnie karmię Rogera...

– To zajmie tylko chwilę – zapewnił funkcjonariusz.

W salonie Maggie wzięła syna na ręce.

– Nie będzie panu przeszkadzać, że dokończy kolację? W przeciwnym razie nie da nam dojsć do słowa.

– Proszę się nie krępować.

Z dzieckiem na kolanach Maggie jęła wsuwać kolejne porcje purée do zaślinionej buzi.

– W czym mogę panu pomóc?

– Wpłynęło do nas zgłoszenie o zaginionym chłopcu.

W oczach Maggie błysnęła stal.

– Co to ma ze mną wspólnego?

– Absolutnie nic. Po prostu próbujemy wytropić sierżanta, którego widziano przy Suffolk Place po pierwszym ataku w kwietniu, gdy uratował niemowlę z na wpół zburzonego domu niedaleko.

– Nie zgłosił tego na komisariacie? – Maggie pilnowała tonu swojego głosu.

– Powinien. Ale nikomu nic nie wiadomo, a dziecka jak nie było, tak nie ma.

Zachować spokój! Przyjąć zatroskaną postawę i przede wszystkim nie powiedzieć za dużo.

– Czego pan ode mnie oczekuje?

– Czy to pani nic nie mówi? Może Colina doszły jakieś słuchy na patrolu tuż przed śmiercią?

– Sądzi pan, że to był on? – spytała Maggie czujnie.

– Bynajmniej – zaprzeczył Andy z przekonaniem. – Każdy, kto go znał, wie, że sierżant zawsze trzymał się przepisów. Pytanie, czy przed śmiercią nie wspomniiał o tym w domu.

Maggie otarła synowi lepką brodę i wstała. Krążąc po pokoju, posłała w stronę gościa pełne żalu spojrzenie znad kędzierzawej główki.

– Przykro mi, ale nie pamiętam, by Colin o czymś takim opowiadał. Co za dramat dla rodziny tego chłopca!

– Zwłaszcza że większość z nich zginęła w eksplozji bunkra przy Parham Road. Pozostali, czyli dziadek i jego dwie córki, dopiero odkryli, że dziecko było gdzie indziej i najprawdopodobniej przeżyło.

Maggie odruchowo przytuliła niemowlę do piersi. Bała się nawet pomyśleć, jak mało brakowało.

– Żałuję, ale nie mogę pomóc – powtórzyła.

– Rozumiem. – Andy przeniósł wzrok na tłumoczek w ramionach gospodyni i tknięty nagłym przecuciem, zmienił temat: – Jak się miewa pani łobuziak? Znacznie urósł, odkąd go ostatnio widziałem. Ile już ma?

– Prawie dziesięć miesięcy – odparła Maggie ostrożnie.

– Zupełnie jak ten zaginiony. – Twarz Andy'ego rozjaśnił ciepły uśmiech. – Ani chybi wyrośnie na rudyzielca.

– Pewnie po mojej babci. – Maggie przybrała lekki ton. – Była z pochodzenia Irlandką, w pełnym tego słowa znaczeniu.

– Ciekawe. Że też takie rzeczy często wracają dopiero kilka pokoleń później.

Maggie zmrużyła oczy i rozważnie podjęła rękawicę.

– Uważa pan, że Roger jest dzieckiem, którego szukacie?

– Skądże znowu! – zakrzyknął Andy.

– Bo gdyby kiedykolwiek naszły pana podobne fantazje, to zapewniam, że jest pan w błędzie. Od tego mam akt urodzenia.

– Nic takiego nie miałem na myśli. – Funkcjonariusz podniósł się z miejsca. – Proszę zrozumieć, naszym obowiązkiem jest wyjaśnić każdy przypadek, więc musimy zrobić rozpoznanie. Nie będę zabierał pani więcej czasu. Cieszę się, że wszystko w porządku.

Maggie złagodniała.

– Głównie dzięki panu. Nie mówię tylko o pieniądzach, ale także o pani Todd, która okazuje mi wiele serca. Jak rozumiem, za pana podszeptem?

– Rozmawialiśmy raz na ulicy – przyznał Andy. – Miło słyszeć, że się panie zbliżyły. Dobrze, na mnie pora. Proszę nie wstawać, sam wyjdę. Życzę spokojnego wieczoru.

Policjant zatrzasnął drzwi i ruszył na komisariat. Z oddali jeszcze raz spojrzął na podmiejski segment, nieruchomy i cichy w gasnącym świetle dnia. Dałby głowę, że gospodyni wodzi za nim wzrokiem z ukrycia. Przez całą drogę usiłował dociec, co go uderzyło w trakcie przesłuchania. Czyżby to naprawdę Colin Peterson uratował dziecko z Suffolk Place? To samo, które teraz niańczy jego żona? Skąd to przypuszczenie? Coś w jej zachowaniu wzbudziło jego nieufność. Pytania ubodły ją na tyle, by odwołać się do aktu urodzenia. Może faktycznie należało zażądać dokumentu? A nuż blefowała? Andy pożałował niewykorzystanej okazji. Wdowa wydawała się nazbyt podminowana.

– Jak poszło? – spytał inspektor Droy.

– Pierwsze słyszy o zaginionym dziecku. Twierdzi, że gdyby sierżant je odnalazł, zawiadomiłby władze.

– W tym się akurat zgadzamy. Chodzący regulamin ten nasz Peterson.

Posterunkowy przytaknął.

– To jasne. Lecz rozmowa przybrała dziwny obrót. Ledwie napomknąłem, że poszukiwany chłopiec jest w zbliżonym wieku do ich syna, pani Peterson zrobiła się drażliwa i od razu chciała wyciągać akt urodzenia Rogera. Gdyby nie to, ani by mi w głowie nie powstało jej posądzać.

– Dość wątpla poszlaka – skwitował Droy. – Pokazała panu dokument?

– Woląłem aż tak nie przyciskać. Jeżeli mówi prawdę, tym lepiej. Ale w przeciwnym razie mogłaby się spłoszyć. Niech sądzi, że jej uwierzyłem. Bo coś jeszcze dało mi do myślenia, inspektorze. Akurat karmiła małego, gdy przyszedłem. Okazuje się, że od ostatniego razu znacznie urosł i przybyło mu włosów.

– Co w tym ciekawego?

– Nie znam się na genetyce, ale to możliwe, by parze brunetów urodził się rudzielec? Wdowa twierdzi, że to po dziadkach z Irlandii, jednak trudno nie skojarzyć koloru z Muriel Shawbrook. Pan jej chyba nie widział, inspektorze, kiedy przyszła złożyć doniesienie. Drugiej takiej wiewióry ze świecą szukać.

– Rozumiem, tylko co dalej? Nie oskarżymy przecież sierżantowej o porwanie na podstawie koloru włosów.

– Osobiście widzę dwie drogi. Możemy zwrócić się do rejestru urodzeń w Londynie o poświadczenie rodzicielstwa, lecz w obecnych okolicznościach to może potrwać wieki. – Andy nabrał powietrza. – Ale gdyby stworzyć okazję, aby pani Shawbrook zobaczyła małego z ukrycia, przynajmniej usłyszeliśmy jej wersję. Obiektywnie rzecz biorąc, inspektorze, Suffolk Place leży dwa kroki od domu Petersonów. Sierżant jak najbardziej mógł tamtędy przechodzić i natknąć się na dzieciaka.

Gordon Droy potarł podbródek w zamyśleniu.

– Nie przeczę, ale brak nam konkretów. Pana teoria w dużej mierze opiera się na gdybaniu.

– Prawda, zwłaszcza znając sierżanta. Jednak fakty są takie, że u wdowy pojawia się Petersoniátko, o którym nikt wcześniej nie słyszał, ładząco podobne do Freddiego Shawbrooka.

– To wciąż tylko skojarzenia – stwierdził przełożony. – Między nami mówiąc, nie chce mi się wierzyć, aby sierżant maczał w tym palce. Trzeba zachować ostrożność i dokładnie prześwietlić każdy szczegół przed podjęciem jakichkolwiek działań. Pani Peterson uchodzi za uczciwą obywatelkę, a jej świadectwu należy się szacunek, dopóki twarde fakty nie wskażą inaczej. Proszę wysłać kogoś z Londynu do Somerset House z prośbą o potwierdzenie danych Rogera Petersona urodzonego w... powiedzmy w okolicach lipca zeszłego roku. Zgadza się?

– Tak jest.

Inspektor skinął głową.

– Do tego czasu ani słowa Shawbrookom. Lepiej nie dawać im nadziei bez pokrycia. – Gordon wstał zza biurka na znak zakończenia rozmowy. – Cenię sobie pańską intuicję, ale cieszyłbym się, gdyby tym razem pana zwiodła.

**A**ndy słusznie wyczuł wzrok Maggie na plecach. Gdy przystanął, aby się obejrzyć, kobieta z biciem serca przywarła do ściany.

Gdzie popełniła błąd? Odpowiadała spokojnie do czasu, gdy jego aluzje stały się zbyt przejrzyste. Nie mogła udawać głupiej, a tym bardziej pozwolić, by zatrute nasienie zapuściło korzenie. Należało z punktu uciąć wszelkie dywagacje, ale przywołanie aktu urodzenia dziwnym trafem tylko pogorszyło sprawę. Czego teraz miała się spodziewać? Bez namacalnych dowodów głos Andy'ego, gdyby chciał uczulić przełożonych, byłby wołaniem na puszczy. Czy mogą to jakoś sprawdzić? Najprościej byłoby pokazać dziecko rodzinie, ale to wciąż słowo przeciwko słowu. A za wersją Maggie przemawiał akt urodzenia.

Chwilowo uspokojona, podjęła cowieczorny rytuał usypiania Rogera, lecz gdy została sama w dojmującej ciszy, wszystkie lęki ożyły. Każdy szmer budził w niej obawę, że Andy wrócił dokończyć przesłuchanie lub że dom jest pod obserwacją. Trzeba było zniknąć natychmiast, nim ktokolwiek zada więcej pytań. Co stało na przeszkodzie, by spakować walizki w środku nocy i wyjechać pierwszym pociągiem? David Shawbrook obiecał co tydzień deponować równowartość czynszu na jej koncie, Clayów poprosiła o to samo.

– Dokąd się pani wybiera? – zapytała lokatorka z uprzejmości.

– Zatrudniłam się w wiejskiej gospodzie na północ od Exeter – wyrecytowała Maggie bez zająknięcia.

– Ach tak – chrząknęła sąsiadka, która nigdy w życiu nie musiała zarobić ani grosza.

– Oferują mieszkanie z wyżywieniem – odparła Maggie zwięźle. – Moje miejsce zajmie pan Shawbrook z córką, więc nie zostawiam państwa samych w pustym domu. Byłabym wdzięczna, gdyby tak jak on mogli państwo regulować cotygodniową należność za pośrednictwem banku.

– To będzie uciążliwe. – Pani Clay niechętnie wydeła usta.

– Nie bardziej niż szukanie nowej kwatery – uciszyła ją Maggie. – Oczywiście zrozumiem, jeżeli...

– Nie, nie – zapewniła kobieta skwapliwie. – Dopilnuję, by mąż zaszedł do banku raz w tygodniu.

Pozegnały się raczej chłodno, ale sprawa została załatwiona. Nie było potrzeby więcej kontaktować się z lokatorami.

Pozostawała Stella, która nie da się zbyć pod byle pretekstem. Maggie uznała, że do rana wymyśli coś sensownego, a tymczasem zaczęła krążyć po pokojach, robiąc przegląd rzeczy do zabrania. Prócz oczywistości typu garderoba i akcesoria dziecięce należało pamiętać o maskach przeciwgazowych, kartkach na jedzenie, książeczce oszczędnościowej i najważniejszych dokumentach, z aktem urodzenia na czele. Pozostałe papiery, jak testament Colina czy prawa własności domu, po chwilowym wahaniu Maggie postanowiła ukryć na dnie kufra z Londynu, by nie ryzykować, że zawieruszą się w drodze.

Dorzuciwszy do nich fotografie z kominka, zbyt prywatne dla oczu obcych ludzi, zatrzasnęła kłódkę przy wieku i wepchnęła skrzynię w głąb szafy w piwnicy.

O północy zaczęła pisać wiadomość do Stelli. Wszystko się w niej wzdragało przed zwodzeniem jedynej osoby, która okazała jej życzliwość i wsparcie, lecz gdyby Maggie zniknęła z dzieckiem bez uprzedzenia, sąsiadka wszczęłaby raban, łącznie z postawieniem na nogi służb w całym regionie. W bólu wypociła kilka kłamliwych zdań, nim przypomniała sobie, że następnego dnia Stella jak co piątek dyżuruje w wolontariacie. Doskonała sposobność, by uniknąć niezręcznej konfrontacji, wrzucając list do skrzynki pod pięćdziesiątym trzecim. Ta świadomość dodała Maggie natchnienia.

*Droga Stello,*

*jaka szkoda, że cię nie zastałam, by pożegnać się osobiście! Wyobraź sobie, otrzymałam pilną wiadomość z pubu, w którym ubiegałam się o pracę. Tamta para chyba nie przypadła właścicielowi do gustu, bo proponuje mi stanowisko jeszcze dziś wieczorem. Nie mogę przepuścić takiej szansy, by uchronić Rogera przed wojną.*

*Trudno wyrazić, jak bardzo jestem ci wdzięczna za to, co dla nas zrobiłaś. Wózek oddam zaraz po powrocie, gdy ataki ustaną.*

*W kopercie zostawiam klucze dla Shawbrooków. Czy mogłabyś spotkać się z nimi w poniedziałek i przeprosić za moją nieobecność? Z góry bardzo dziękuję.*

*Uściski od nas obojga*

*Maggie*

– Ujdzie – stwierdziła na głos po przeczytaniu i wsunęła kartkę do koperty.

Po kilku godzinach drzemki znów była na nogach i szykowała się do podróży. Pieniądze i dokumenty zaszyła w wewnętrznej kieszeni płaszcza, a pozostałe drobniuszki rozdzieliła pomiędzy torbę na dolnej półce wózka a tobolek na plecy. Roger, nakarmiony i przewinięty, trafił do gondoli obok paczki biszkoptów z gruszkowym musem i kilku kanapek.

Kościół bił na dziewiątą, gdy wyszła na zalaną porannym słońcem ulicę. Wśród nielicznych przechodniów nie spotkała nikogo znajomego. Minąwszy numer pięćdziesiąt trzy, ustawiła wózek przy sąsiednim parkanie i przez chwilę obserwowała pogrążony w ciszy dom Toddów. Wreszcie chyłkiem zakradła się na ganek i wsunęła list przez szparę w drzwiach, by czym prędzej dać nogę w kierunku dworca, nie spoglądając za siebie.

Gdyby się obejrzała, zauważyłaby wymizerowaną twarz przyjaciółki w oknie. Akurat tej nocy Stellę zmogła migrena, przez co rankiem zamiast dołączyć do koleżanek z wolontariatu, zażyła aspirynę i po omacku wróciła pod kołdrę. Z letargu wyrwał ją szcęk skrzynki na listy, który wzięła za pukanie do drzwi. Przez okno ujrzała Maggie oddalającą się z wózkiem w kierunku śródmieścia. Pewnie nagle jej się przypomniało, że w piątki zwykle Stelli nie ma w domu, skoro nie poczekała. Kobieta ponownie wyciągnęła się na łóżku i zapadła w sen.

Ból w skroniach ustąpił dopiero blisko południa, a pierwszym pragnieniem Stelli, gdy wreszcie zdołała się podnieść, była filiżanka herbaty. W drodze do kuchni zebrała list na wycieracze u podnóża schodów. Rozpoznawszy charakter pisma Maggie, położyła kopertę na stole i zajęła się przyrządzeniem śniadania. Z parującym kubkiem i grzanką na talerzu sięgnęła po wiadomość od sąsiadki.

Nawet po dwukrotnej lekturze nie potrafiła rozgryźć zachowania Maggie, więc postanowiła poradzić się z Elsie.

– Nie mówiłam? – prychnęła przyjaciółka z typowym dla siebie cynizmem. – Ostrzegałam, że nie zobaczysz już tego wózka. Co zrobisz, jeżeli Harriet obdarzy cię kolejnym wnuczęciem?

– Rychło się na to nie zanosi – odparowała Stella. Że też Elsie zawsze musiała postawić na swoim. – Zresztą pisze, że odda go po powrocie.

– Jeżeli w ogóle wróci.

– Oczywiście, że tak! Zostawiła dom, na litość boską!

– Dokąd pojechała?

– Zatrudniła się do pomocy w pubie na prowincji w zamian za mieszkanie i wyżywienie. Doskonale warunki, by pogodzić pracę i opiekę nad Rogerem z dala od ataków.

– Czyli gdzie?

– Nie wiem – przyznała Stella niechętnie. – Gdzieś za Exeter, nie mówiła dokładnie.

– Tylko skąd ten pośpiech? – zastanawiała się Elsie.

– Podobno dostała wezwanie na dziś wieczór, więc spakowała się i wskoczyła do pierwszego pociągu.

– Bez pożegnania? Zwłaszcza tobie wypadałoby okazać trochę szacunku, zważywszy, jak jej pomogłeś po śmierci męża.

– Nie sądziła, że będę w domu, stąd ten list.

– To wezwanie musiało przyjść bladym świtem, skoro o dziewiątej była już spakowana i gotowa do drogi – zauważyła Elsie.

– Tak czy siak dom jest zamknięty na cztery spusty. Sprawdziłam w drodze do ciebie.

– Czyli David mógłby wprowadzić się nawet dzisiaj? – zapytała Elsie z błyskiem w oku.

– Chyba tak – rzekła Stella niepewnie.

– Skoro Maggie już wyjechała, co szkodzi, by urządził się wcześniej, zanim Vera wyjdzie ze szpitala? Biedak od miesiąca tuła się po ludziach! Zostawiła ci klucze, prawda? – Elsie rzuciła przyjaciółce badawcze spojrzenie. – Weszłaś do środka?

– Skądże! Za kogo mnie masz! – obruszyła się Stella, którą w głębi duszy strasznie korciło, by to zrobić.

– Uprzedzę Davida, kiedy tylko wstanie. Może zechce przenieść swoje rzeczy jeszcze dziś wieczorem przed wyjściem do pracy?

– Powiadom go, ale klucze wolę dać mu jutro. Chyba nic nie stoi na przeszkodzie, by wprowadził się dwa dni przed terminem.

„Chyba że Maggie Peterson wróci”, pomyślała Elsie, przezornie zachowując to dla siebie. Byle jak najprędzej pozbyć się niechcianego gościa.

Następnego ranka Stella udała się do domu Petersonów na spotkanie z Davidem. W sieni przydybała ją sąsiadka schodząca z górnego piętra.

– Dzień dobry – powiedziała Stella instynktownie.

Pani Clay obrzuciła ją nieufnym spojrzeniem.

– Jest pani nową lokatorką? – zapytała, pomna mężczyzny z córką.

– Nie, jestem znajomą pani Peterson. Stella Todd, spod pięćdziesiątego trzeciego, miałyśmy okazję się poznać. Mam przekazać klucze najemcom.

– Czyli pani Peterson wyjechała?

– Przeniosła się na wieś w obawie przed nalatami.

Pani Clay skinęła głową.

– Słyszałam. Cóż, sprawunki same się nie zrobią – stwierdziła i bez zbędnych pożegnań wyszła na ulicę, zostawiając Stellę przed drzwiami na parterze z pękiem kluczy w garści.

W progu ogarnęło ją niemiłe uczucie. Prośba Maggie nie dawała jej upoważnienia, by udostępnić lokum wcześniej niż w poniedziałek. „Nie wygłupiaj się! Co za różnica?“, zadzwęczał jej w uszach głos Elsie, która zresztą już zdążyła urobić Davida na swoją modłę, więc nie było sensu dłużej się zastanawiać.

Stella odetchnęła głęboko i weszła do środka. Krążąc po pokojach, przekonała się, że słusznie zrobiła. Wnętrze, choć w miarę czyste, nosiło jednak ślady pośpiesznych przygotowań Maggie do wyjazdu, wołając o porządki przed przybyciem nowych lokatorów. Suszarka w kuchni ugięła się pod ciężarem czystych naczyń i sztućców. W sypialni wprawdzie zdjęto używaną pościel, lecz świeża nie została obleczona. W reszcie pomieszczeń panował względny ład, nie licząc warstwy kurzu na meblach.

Stella rezolutnie zakasała rękawy i zanim Mu zapukała do drzwi, zdążyła omieść podłogi w całym domu, uprzątnąć zastawę, przetrzeć blaty w kuchni, pościelić łóżka, a nawet przystroić stół w salonie bukietem stokrotek z ogrodu.

Mu celowo przyszła trochę wcześniej, by spokojnie zajrzeć w każdy kąt. Zwiedziwszy salon, kuchnię i dwa pokoje do spania, nie mogła odmówić ojcu racji – mieszkanie było przestronne i dobrze utrzymane, a położenie na parterze stanowiło niezwykle ułatwienie dla Very z nogą w gipsie. W piwnicy jej uwagę przykuły kanapa, lampa naftowa i przenośny palnik.

– Wygląda na kryjówkę przed ostrzałem – zauważyła.

– Możliwe – przyznała Stella. – Do niedawna pani Peterson bardzo rzadko wychodziła z domu i nigdy nie widziałam jej w zbiorowym schronie. Choć w ogrodzie chyba jest Anderson – dorzuciła, lekko skrzepowana.

– Proszę się nie przejmować. Myślę, że ojcu i siostrze niczego tu nie zabraknie.

– Pani nie zamierza tu mieszkać? – zapytała Stella.

– Nie. Pracuję w City Hospital i jestem zakwaterowana w internacie. Ale będę często zaglądać, szczególnie że siostra ma złamaną nogę – wyjaśniła Muriel z uśmiechem.

W tym momencie rozległ się dzwonek do głównych drzwi. Na werandzie stała Vera o kulach, podczas gdy David regulował należność za taksówkę.

– Vera! Chodź, pokażę ci wasz nowy dom! – wykrzyknęła Muriel radośnie.

Stella przywitała się z panem Shawbrookiem, tłumacząc, dlaczego zastępuje Maggie.

– Pani Peterson nieoczekiwanie dostała propozycję pracy koło Exeter i musiała błyskawicznie podjąć decyzję.

– Rozumiem – powiedział David. – Jak pamiętam, zależało jej na szybkim wyjeździe. Dziękuję, że znalazła pani dla nas chwilę czasu.

– Żaden kłopot – odparła Stella. – Mieszkam trochę dalej pod pięćdziesiątym trzecim. – Jej wzrok padł na Verę niewygodnie usadowioną na fotelu w salonie. – Gdybyś czegoś potrzebowała, wystarczy dać mi znać. Mogę pomóc przy zakupach albo chociaż wpaść dla towarzystwa.

– Bardzo pani uprzejma – podziękował David.

– Obejdę się bez towarzystwa tej starej kwoki – skwitowała Vera, gdy za nową sąsiadką zamknęły się drzwi. – Od razu widać, że to plotkara pierwszej klasy.

– Być może – przyznał ojciec. – Ale miło, że zaoferowała ci pomoc. Niełatwo będzie prowadzić gospodarstwo o kulach.

– Zabiorę cię na zakupy – obiecała Mu. – Tylko najpierw trzeba zdobyć nową książeczkę żywnościową i talony na odzież.

Przybyli praktycznie z niczym. Obecny dobytek Davida mieścił się w małej torbie, a Vera miała jedynie kilka ubrań ze szpitalnego magazynu.

– Jaka jest ta pani Peterson? – chciała wiedzieć Vera, gdy usiedli razem przy herbacie. – Czy to nie dziwne, że zniknęła tak nagle?

– Nie bardzo – odparł David. – Jej mąż zginął w kwietniowych nalotach, więc nic w tym niezwykłego, że boi się o syna.

Wkrótce potem Mu wróciła do internatu, aby zdrzemnąć się kilka godzin przed ostatnim z cyklu nocnych dyżurów. Po trzydniowej przerwie miała ponownie objąć poranną zmianę. W pocztowej przegródce na portierni czekała na nią któraś z kolei opasła przesyłka z Portsmouth nadana przez Jean. Doskonale wiedząc, co zawiera, dziewczyna pośpieszyła do pokoju. W środku znalazła cztery listy, każdy z wojskowym stemplem, zaadresowane na jej nazwisko w internacie w Portsmouth, oraz wiadomość od Jean.

*Droga Mu,*

*chyba czas podać miłemu nowy adres lub poprosić, aby przestał pisać. Nie przeszkadza mi przekierowywanie jego listów do Plymouth, lecz jeżeli na nie odpowiadasz, równie dobrze możesz wspomnieć, gdzie jesteś. A jeżeli nie, uczciwość nakazuje jasno dać mu do zrozumienia, że nie życzysz sobie jego korespondencji. Chyba że już to zrobiłaś, tylko nieskutecznie. W takim razie powiedz jedno słowo, a zacznę zwracać jego wiadomości nadawcy z dopiskiem „nie doręczono”. Czekam na dyspozycje.*

*Ucałowania*

*Jean*



Mu z ciężkim sercem przeczytała notkę wiele razy. Jean miała słuszość. Skoro nie pragnęła utrzymywać kontaktu z Patrickiem, powinna zwracać jego listy. To by go na pewno zniechęciło. Poprosiła na pożegnanie, by nie pisał, a gdy jeszcze w Portsmouth otrzymała pierwszą przesyłkę, była bliska podarcia koperty bez otwierania. Lecz w ostatniej chwili coś ją powstrzymało. Ukryła ją na dnieszafki przy łóżku, by więcej o niej nie myśleć. Kolejne wiadomości, które za sprawą Jean docierały do Plymouth, dołączały nieotwarte i nieprzeczytane do poprzednich, aż w szufladzie zrobiło się ciasno. Mimo najszerszych chęci i determinacji nie potrafiła wyprzeć Patricka z pamięci.

„Powinien już zrozumieć, że nie ma co liczyć na odpowiedź – pomyślała melancholijnie. – Po co ciągle pisze? Minął miesiąc, odkąd Cumbria opuściła Portsmouth. Dość, aby się przekonać, że nie zmienię zdania. Moje miejsce jest przy najbliższych, którzy mi zostali. Oni potrzebują mnie bardziej: tata, Vera, Tony, o ile jeszcze żyje, bo ostatnie relacje z walk na północy Afryki brzmią przerażająco”.

– Boże, co ja mam robić? – jęknęła w rozpacz.

Popatrzyła na cztery koperty obok notki Jean. Wiedziała, że wystarczy otworzyć jedną, by cała jej mozolnie budowana strategia legła w gruzach. Delikatnie wsunęła wszystko do wypełnionej szuflady, bo nie mogła sobie pozwolić na marzenia. Zamierzała jak najgorliwiej oddać się pracy w szpitalu i pomagając tacie i Verze, stopniowo zbierać okruchy utraconego życia. W sytuacji takiej niestałości snucie planów na przyszłość zakrawało niemal na absurd. Najpierw należało wygrać wojnę, a na to prędko się nie zanosilo. Mimo zwycięskiej bitwy o Anglię i sukcesów królewskich sił lotniczych blitz wciąż siał spustoszenie w całym kraju. Nawet jeżeli najgorsze już minęło, nikt nie miał wątpliwości, że losy starcia rozstrzygną się na morzu. W obliczu wzmożonych ataków nazistowskich okrętów podwodnych na dostawy żywności i dóbr z Ameryki Północnej nad krajem, który z takim wysiłkiem oparł się bombowcom, zawisło widmo głodu, obracając wniwecz dotychczasowe bohaterstwo i poświęcenie.

Mu z ciężkim westchnieniem wślizgnęła się pod kódrę. Bez względu na wszystko wieczorem trzeba być w formie. Zamknęła oczy i nawet udało jej się zasnąć, a w snach odnalazł ją Patrick.

Patrick Davenham ogarnął spojrzeniem nieprzeniknioną otchłań oceanu pod ciemniejącym niebem. Mimo początku czerwca przesycony wilgocią chłód dawał mu się we znaki przed zakończeniem warty, toteż z wdzięcznością ułożył zgrabiące dłonie wokół kubka gorącego kakao, który przyniósł mu bosman Rafferty.

– Dzięki, stary. Przemarzłem na kość.

Przez długą chwilę obaj marynarze bładzili wzrokiem wzdłuż zamglonej linii horyzontu.

Po opuszczeniu Portsmouth Cumbria skierowała się na południowy zachód, by dołączyć do innych jednostek zabezpieczających transport towarów przez Atlantyk. W ciągu kolejnych tygodni krążownik patrolował zachodnie wody w pościgu za u-bootami czyhającymi w głębinach na drogocenne dostawy. Obie strony świetnie wiedziały, w jakim stopniu los Wielkiej Brytanii zależy od zaopatrzenia z zagranicy, a Cumbria znalazła się na czele morskiego frontu.

Na przestrzeni ostatniego miesiąca okręt kilkakrotnie minął się z torpedą o włos, przy czym nie wszystkie z ochraniających frachtowców miały tyle szczęścia. Niektóre mimo uszkodzeń były jeszcze w stanie z pomocą królewskiej floty dodryfować do brzegów, ale dwa ładunki w całości poszły na dno, a załoga Cumbrii podjęła trud wyławiania ofiar z lodowatej toni. Ci, którym udało się uciec przypadkowej boi na powierzchni, doczekali ratunku; innych zdradziecki prąd porwał na pełne morze.

Patrick podziwiał hart ducha rozbitków, gdy ociekając wodą, niestrudzenie pieli się po siatkach wieszonych za burty kontrtorpedowca. Skrajnie wyczerpani i przerażeni, zziębnięci i poturbowani, ocalenie zawdzięczali wyłącznie własnej nieustraszczonej i odrobinie szczęścia. Oficera niekiedy dręczyły wizje tonącej Cumbrii i siebie samego w obliczu katastrofy, lecz starał się je odganiać. Przeżyłby albo nie – któż przewidzi? Szkoda było nerwów na gdybanie wobec ustawicznego zagrożenia tu i teraz.

Na tle grafitu nieba zamajaczyło w oddali kilka czarnych punktów. Kolumna sojusznicznych transportowców zmierzała im na spotkanie.

– Nie podoba mi się ta cisza – zauważył bosman.

– Ja tam nie narzekam. – Patrick jednym ruchem wychylił kubek do dna i sięgnął po lornetkę. W słabym świetle gwiazd trudno się było rozeznąć.

Rafferty wziął pusty kubek i zawrócił w stronę kambuzu, gdy znajomy dźwięk osadził go w miejscu. Błyskawicznie dopadł do burty, usiłując przebić ciemność wzrokiem. Kilka sekund później Patrick także posłyszał charakterystyczny syk spienionych fal. Jednocześnie wokół gruchnęło wycie syren, a pokład zatętnił pod nogami marynarzy śpieszących na stanowiska. Patrick objął dowództwo zrzutni bomb głębinowych na rufie, głównej broni w walce z zanurzonym wrogiem. Pierwsza torpeda chybiła, lecz kolejne nadciągały podstępnie z każdej strony. Na rozkaz kapitana okręt zboczył z kursu, lawirując zygakiem pośród fal. Oddział Patricka – w pełnej gotowości z ładunkiem wybuchowym na pochylni – czekał na sygnał sonarów.

Amerykańskie dowództwo zdążyło odebrać alarmowy komunikat z mostka Cumbrii, zanim perłę królewskiej floty dosięgnął podwodny piorun, wysadzając skład amunicji w środkowej części kadłuba. Potężna kaskada eksplozji strzeliła pod niebo, a powierzchnię wody dookoła rozświetlił grad rozżarzonych wiórów. Na tle buchających z wnętrza statku płomieni widać było zajęte ogniem sylwetki rzucające się na oślep w morze. Kłęby czarnego dymu wkrótce przesłoniły obraz konającego okrętu, pozostawiając jego dalszy los wyobraźni obserwatorów.

Cumbria dała sygnał do opuszczenia pokładu. Ratuj się, kto może. Członkowie załogi na złamanie karku salwowali się ucieczką przez burty, by znalazzsy się we wzburzonych, gęstych od ropy odmętach, rozpaczliwie młócić kończynami, byle jak najdalej od wiru ciągnącego ich na dno wraz z tonącym okrętem. Ci, którym się udało, zawiśli wycieńczeni w ciemności, gdy ostatnie gorejące zgłiszcza z sykiem pogrzyły się w otchłani.

Patrick kilkakrotnie obiegnął rufę, wykrzykując rozkaz ewakuacji. Naraz spostrzegł Rafferty'ego, który z twarzą białą jak papier i wytrzeszczonymi oczami wciąż tkwił przy załadowanej zrzutni.

– Na co czekasz, skacz! – ryknął dowódca.

– Za pańskim pozwoleniem, nie umiem pływać.

– Najwyższa pora się nauczyć! – Patrick bez uprzedzenia zgarnął podwładnego w ramiona i razem wypadli za burtę. Siła grawitacji wtłoczyła ich pod wodę. Rafferty przyłgnał do Patricka całym ciałem, krępując mu swobodę ruchów, lecz oficer, zaprawiony pływak, gwałtowną pracą nóg zdołał dobić do powierzchni na tyle, by nabrać powietrza, zanim rwący nurt znów wessał ich w kłęby piany. Dostrzegłszy światło tańczące ponad głową, Patrick wyteżył siły w tym kierunku. To musiał być jeden z unoszonych przez fale pontonów ratunkowych Cumbrii. Na powierzchni przekroczył się na grzbiet, by utrzymać głowę bezwładnego bosmana ponad wodą, i zawzięcie parł w tamtą stronę. Wokół przeładowanej tratwy utworzył się zlepek rozbitków uczeponych każdego troku i siebie nawzajem. Co pewien czas któryś puszczał, by jak kłoda pograć się w otchłani, podczas gdy jego miejsce natychmiast zajmował inny. Patrick w lot pojął, że wychodzą z wody na zmianę. Ognik, który go przywiódł, okazał się apteczną latarką, w świetle której rozpoznał jednego z chorążych.

– Pitt! – zadyszał ostatkiem sił. – Mam nieprzytomnego!

– Kolejka, panie podporuczniku! – odkrzyknął marynarz. – Ten i tak pewnie nie dotrwa.

– Na pokład z nim! – zakomenderował oficer.

Z ulgą oddał ciężar w wyciągnięte ramiona, lecz sam znalazł się poza zasięgiem tratwy czy nawet jej najbliższych okolic. Prąd poniósł go w ciemność, ku żalosnym nawoływaniom pośród plusku fal. Wkrótce zdołał rozróżnić kolejne punkciki światła – a zatem na wodzie zostało więcej tratw zmiecionych z pokładu niszczyciela. Jednak po zarysie ciemnych kształtów nie potrafił ocenić dystansu. Nasiąknięty mundur krępował go niby zbroja. Mężczyzna najchętniej pozbyłby się ubrania, gdyby nie świadomość, że nawet mokra tkanina chroni przed wyziębieniem. Wciąż skotłowane morze co rusz wyrzucało go w górę wraz z ławicą szczątków i nieruchomych ciał.

„Głupio tak skończyć”, przemknęło mu przez głowę. Konwój musiał już być niedaleko, ale Patrick nie wiązał z nim wielkich nadziei. Większość rozbitków Cumbrii nie przetrwałaby do tego czasu. Poza tym przyczajone pod powierzchnią u-booty nie odstępowały przecież od misji powstrzymania tranzytu, więc należało się spodziewać dalszego ostrzału.

Pływak obrał kurs na jedno z migoczących światełek. Ruch pozwolił mu rozgrzać zeszywniałe członki, lecz nie na tyle, by dogonić tratwę podbijaną przez zamaszysty nurt. Długo żmudnie przebiegał

kończynami w wodzie, zanim opadł z sił i zawisł na plecach. Wołania o pomoc wydawały się teraz bardzo odległe.

Jego myśli uciekły do Mu. Wieść o zatopieniu Cumbrii i tragicznych losach jej załogi na pewno do niej dotrze, ale nigdy się nie dowie, co go spotkało. Czy zachowa o nim ciepłe wspomnienie w swoim nowym życiu?

Przed wypłynięciem z Portsmouth wysłał list do rodziców w Glasgow, aby donieść im o zaręczynach.

„Na pewno ją polubicie – napisał. – Przyjęła oświadczyzny, choć pobierzemy się dopiero po wojnie. – Tu następowało streszczenie historii wysadzonego schronu. – Będę z nią w stałym kontakcie, ale gdyby coś mi się stało, o czym sztab powiadamia tylko najbliższą rodzinę, proszę, dajcie jej znać. Przekażcie, że kocham ją ponad wszystko i pragnę, by była szczęśliwa. Niech z uwagi na pamięć o mnie w pełni korzysta z życia i cieszy się każdą chwilą”. W postscriptum podał adres szpitalnego internatu w Portsmouth.

Napędzany kolejną falą, zaczeplił o coś na powierzchni wody. Rozpoznawszy ludzkie ciało z zanurzoną twarzą, instynktownie wierzgnął do tyłu, choć po chwili przyszło mu na myśl, że niebawem podzieli los nieszczęśnika. W oczekiwaniu końca przywołał wspomnienie ukochanej.

Maggie szybko urządziła się w Martindell, choć pułkownik i jego żona nie zdążyli poczynić żadnych przygotowań na jej przyjazd.

– Spodziewaliśmy się pani w poniedziałek – sumitował się starszy pan.

Maggie zapewniła go, że nic nie szkodzi, i powierzwszy niemowlę pani Bridger, z pomocą gospodarza przeniosła z dworu kilka niezbędnych sprzętów brakujących w chacie.

– Gdy jutro Merton zajrzy podlać warzywnik, poproszę, by pomógł z meblami – obiecał właściciel.

Po powrocie do głównej rezydencji zastali panią Bridger śpiącą na fotelu obok psiego legowiska w koszu na podłodze, w którym zgodnie chrapali Roger i włochaty spaniel.

Maggie z okrzykiem przerażenia porwała dziecko na ręce, na co chłopczyk uderzył w płacz, a niewzruszony czworonóg ograniczył się do kilku przyjaznych pacnięć ogonem.

– Bez obawy – uspokajał pułkownik. – Flopsie nie skrzywdziłyby muchy. Prawda, pieszczoszko? – Zanurzył palce w jedwabistej sierści.

– Miała pilnować dziecka! – fuknęła Maggie z wyrzutem.

– Chyba nie stała mu się żadna krzywda.

Gospodarz podszedł do fotela żony i delikatnie dotknął jej ramienia. Wyrwana z drzemki kobieta zamrugwała w popłochu.

– Kto to? – Jej zmętniały wzrok spoczął na Maggie.

– Pani Peterson – wyjaśnił Bridger łagodnie, po czym zerknął na gościa. – Czy mogłaby zwracać się do pani per „Margaret”? Byłoby jej łatwiej spamiętać.

– Może mówić „Maggie”? – odparła zapytana ze wzruszeniem ramion.

– To jest Maggie, kochanie. Pomoże nam wokół domu. I przyrządzi kolację – dodał z nadzieją w głosie.

Pół godziny później wspólnie zasiedli do gęstej, pożywnej zupy na bazie ziemniaków, marchwi i kapusty, które Maggie odkryła w spiżarni. Szczegółowa rewizja zawartości niezliczonych mis i pojemników dała także efekt w postaci kawałka lekko szczerstwiego chleba i oselki masła.

– Skąd to państwo mają? – zapytała przy stole.

– Od sąsiadów, w zamian za koszyk warzyw – pochwalili się pułkownik. – Ludzie nie są głupi. Szybko się połapali, że na samych racjach od rządu nie pociągną długo.

Maggie zamieszkała więc u pary zdziwaczałych starszusków, by z łatwością wdrożyć się w nowy rytm. Bill Merton sprowadził swoją czternastoletnią córkę do pilnowania Rogera, podczas gdy nowa gospośnia podjęła walkę z latami zaniedbań w rezydencji.

– Dom wariatów – uprzedził ją Merton pierwszego ranka. – Z nim jeszcze idzie się dogadać, ale memsahib żyje w swoim świecie. Czasami zdaje się jej, że znowu jest w Indiach, i zaczyna poganiać służących.

– Jakich służących?

– Otóż to! – roześmiał się Bill. – Mówiłem, że buja w obłokach. Zdarza jej się przywoływać córkę, która nie żyje od dziesięciu lat. Gdyby kiedy pytała o Edwinę, najlepiej odpowiedzieć, że poszła na zakupy i niedługo wróci. To zazwyczaj działa. Nigdy bym nie przypuszczał, że tak długo się uchowają. Jedno musi dopingować drugie. Ona jest sprawna fizycznie, za to niespełna rozumu, a on w drugą stronę.

Maggie polubiła Billa Mertona, a z czasem poznała koleje jego życia. Pod koniec wielkiej wojny wrócił w rodzinne strony ze szrapnelem w nodze, a tuż przed pięćdziesiątką poślubił Doris, ukochaną z młodości. Dopiero znacznie później doczekali się jedynej córki, lecz Doris zmarła w pociągu, a Bill został sam z Josie.

– Chętnie znów bym się ożenił – wyznał Maggie któregoś dnia w czasie przerwy na drugie śniadanie. – Ale skąd wziąć dobrą kobietę na stare lata? Człowiek ma już swoje nawyki, nie tak łatwo od nowa się przystosować.

Josie przejęła więc opiekę nad Rogerem, a w tym czasie Maggie z jej ojcem gospodarowali na włościach. Kobieta w lot opanowała lokalny system wymiany, który zasadniczo spełniał wszelkie kryteria czarnego rynku. Gotówki praktycznie nie używano, podstawową walutę stanowiła żywność.

Maggie zgłosiła siebie i Rogera w wiejskim sklepie, a następnie nauczyła się tak zarządzać poczwórnym przydziałem kartek, by wykarmić całe obejście.

Pani Bridger przywykła do jej obecności i choć rzadko mówiła do niej po imieniu, przeważnie zdawała się rozpoznawać nową domowniczkę.

Pułkownikowi natomiast do szczęścia wystarczały regularne posiłki, jaki taki ład dookoła – przynajmniej tam, gdzie spędzali większość czasu – oraz wyraźna poprawa w zachowaniu żony, która stała się pogodniejsza i bardziej przytomna.

Maggie odzyskała spokój ducha i wieczorami z ulgą zapadała w zdrowy, mocny sen w klitce na poddaszu, którą dzieliła z Rogerem. Uwierzyła, że udało im się znaleźć bezpieczny przyczółek na czas wojny, potem zaś nikt nie będzie pamiętał o zaginionym chłopcu. W zbiorowej wyobraźni mały Freddie miał jedynie zasilić smutne statystyki po stronie ofiar kampanii, a wtedy Maggie zamierzała sprzedać dom i opuścić Plymouth raz na zawsze. Do tego czasu liczyła na wygodne i beztrudne życie w Martindell. Zdążyła już podporządkować sobie dwójkę chlebobadców, którzy bez szemrania godzili się na wszystko, byle jej nie stracić. Zresztą poza kuchnią nie mieli wielkich wymagań.

Poczynania nowej sąsiadki po raz pierwszy od lat skłoniły Billa Mertona do matrymonialnych rozważań. Wizja samotnej starości, gdy córka wyfrunie z gniazda, od dawna spędzała mu sen z powiek. Zaradność i praktyczny zmysł Maggie zasługiwały na podziw, a berbecę wręcz przepadał za Josie. Mogliby stworzyć udaną rodzinę, gdyby się zgodziła. Przez wzgląd na jej żalobę rolnik wolał nie wywierać presji, lecz sam pomysł przypadł mu do gustu. Wszystko w swoim czasie.

P o dyżurze na Mu czekała kolejna przesyłka przekierowana z Portsmouth. Na kopercie, obok znajomego dopisku Jean, widniały stempel z Glasgow i nazwisko Muriel skreślone obcą ręką.

W pokoju niecierpliwie otworzyła list i serce w niej zamarło. Tekst, podpisany „Michael Davenham (ojciec Patricka)”, był krótki i rzeczowy:

*Szanowna Pani,*

*z przykrością zawiadamiam, że okręt Cumbria, na którym służył Patrick, zatonił u wybrzeży Kornwalii tydzień temu, a większość załogi, łącznie z moim synem, zginęła. Przed wyjazdem poinformowałem nas, że zamierza się z Panią ożenić, i prosił, by dać Pani znać, gdyby coś mu się stało. Miał nadzieję, że w takim wypadku ułoży sobie Pani życie z kimś innym i będzie szczęśliwa, gdyż kochał Panią całym sercem.*

*Resztki naszej nadziei rozwiął jeden z jego towarzyszy, który zdołał przeżyć katastrofę. Z jego listu wynika, że Patricka widziano w wodzie, gdy holował innych rozbitków, lecz nie było go wśród ocalałych.*

*Łączymy się z Panią w bólu po jego stracie.*

*Z poważaniem*

*Michael Davenham (ojciec Patricka)*

Mu przestała rozróżniać litery poprzez błonę łez. Ostry ucisk w piersi pozbawił ją tchu, gdy osunęła się na łóżko z szumem w uszach.

Patrick! Jej najdroższy zginął. Poświęcił się dla innych, aby spocząć na dnie ukochanego morza, skąd nie ma już powrotu. Dziewczyna rozplakała się gorzko z żalu i tęsknoty. Nie zachowała nawet jego fotografii. Straciła wszystko: jego oczy, uśmiech, ciepło silnych ramion, słodczy pocałunków. Odepchnęła go, kiedy szedł na śmierć, a on nie przestał pisać mimo jej milczenia. Zadbał nawet o to, aby się pożegnać, nim zniknął na zawsze, jak wszyscy wokół niej.

Mu szlochała tak długo, aż skronie wypełnił jej ból, a w spieczonym gardle uwiązał wszelki dźwięk.

Tego dnia postanowiła w końcu otworzyć listy od ukochanego, a nawet odpowiedzieć, gdyby wciaż na to liczył. Tata z Verą nie potrzebowali już ciągłego wsparcia, a jej osobista żałoba znalazła ukojenie w pracy na rzecz innych, przywracając poczucie sensu i nadziei. Ten ostatni cios na nowo obrócił wszystko wniwecz.

Sięgnęła po chusteczkę, aby ulżyć zapuchniętym oczom i oczyścić nos, a na koniec obróciła mokraj od łez poduszkę. Nie było już Patricka. A ją czekała wieczność w cieniu jego braku.

Nie zeszła na kolację do świetlicy, a na pukanie koleżanek wymówiła się spoza drzwi migreną. Przez kolejne dni funkcjonowała niejako bez udziału woli. W szpitalu pełniła swoje obowiązki nie mniej sumiennie niż zwykle, lecz zaraz potem szła prosto do łóżka. Wolała nie pojawiać się przy

Marden Road, by nie przysparzać ojcu ani siostrze dodatkowych zgrzyzot. Ponadto bała się, że przytłoczona falą ich współczucia, mogłaby zupełnie się załamać.

Co wieczór po powrocie z dyżuru otwierała kolejne listy od Patricka, poczynając od tego, który zdążył wysłać jeszcze z Portsmouth w dniu wyjazdu. Uzbierało się ich całkiem sporo, a z każdego przebijały miłość i tęsknota, jakby nigdy nie doszło między nimi do rozstania. Ot, typowe listy żołnierza do narzeczonej, z którą rozdzieliła go wojna. Wśród anegdot z życia na statku nie znalazło się żadne nawiązanie do jakichkolwiek starć zbrojnych będących jego udziałem. Ani słowa na temat napięcia i zagrożenia, jakby istniało tylko to, co ich łączyło, i marzenia o wspólnej przyszłości. Wraz z lekturą powróciły wspomnienia jego głosu, uśmiechu i krzepiącej energii. Kończył zawsze tak samo: „Pamiętaj, że cię kocham, najdroższa, i odliczam dni do chwili, gdy będziemy razem. Na zawsze Twój, Patrick”. Ostatnia fraza teraz brzmiała niemal ironicznie.

W jednym z pierwszych listów załączył małe zdjęcie, na którym widniał on sam na tle morza, posyłając nad ramieniem uśmiech w stronę obiektywu. Mu odruchowo przytuliła fotografię do ust. Na oddział nie pozwalano wносить rzeczy osobistych, więc oprawiony w ramki portret zajął miejsce na szafce obok łóżka, aby towarzyszyć jej tuż po przebudzeniu i przed pójściem spać.

Kilka dni później Plymouth nawiedził kolejny atak, dotkliwy, choć krótkotrwały, jakby dla przypomnienia. Vera uparła się zostawać w domu pod napaścią i nie chciała słyszeć nawet o Andersonie w ogrodzie.

– Obiecuję schodzić do piwnicy – zapewniała ojca. – Tam jest wszystko, co trzeba w razie szturm.

David nie oponował. Bał się zachęcać córkę do kuśtykania samotnie po ulicach, szczególnie że nie odważyłaby się wstąpić do zbiorowego schronu.

Przy wtórze jęku syren Vera mozolnie pokonała schody do piwnicy, zapaliła światło i wyciągnęła się z książką na kanapie. Nie mogąc znaleźć wygodnej pozycji dla niesprawnej nogi, wstała, by poćwiczyć chodzenie o lasce. Chciała pozbyć się kul jak najszybciej. Z wysiłkiem przebyła drogę aż do ściany z zakrytym czarną płachtą świetlikiem, po czym zawróciła w stronę półki z książkami naprzeciwko. Noga pulsowała boleśnie, lecz dziewczyna przykazała sobie powtórzyć odcinek pięć razy. Przy czwartym okrążeniu zawadziła wzrokiem o bezkształtny cień na ścianie za biblioteczką, lecz najpierw dokończyła zamierzony trening, zanim w drodze powrotnej na kanapę przykucnęła na jednej nodze, by wymacać za plecami mebla miły w dotyku przedmiot. Od razu pomyślała, że to jakaś zapomniana zabawka małego Petersona. Kilkakrotnie szarpnęła za plusz, aż z ukrycia wyskoczył sponiewierany miś panda z fioletową kokardką pod brodą. Okrzyk zgrozy zamarł dziewczynie na ustach. Przytuliła maskotkę do policzka, wdychając znajomy zapach. To był Pandy, nieodłączny towarzysz Freddiego. A przynajmniej podobny. Że też akurat chłopczyk z tego domu miał taką samą zabawkę co jej drogie maleństwo. Na myśl o synku Verę zapiekły oczy. Odkąd wyszło na jaw, że Freddie przeżył nalot, dalsze poszukiwania utknęły w martwym punkcie. Czyżby to był jakiś trop? Vera postanowiła poradzić się siostry przy najbliższej okazji. Tata i tak nie rozpoznałby przytulanki wnuka.

– Skąd wzięłaś Pandy’ego? – zapytał David ku jej najwyższemu zdumieniu.

– Znalazłam go dziś w nocy w piwnicy. Chociaż to pewnie nie Pandy.

David skinął głową.

– Lepiej nie rób sobie nadziei. To prawdopodobnie przypadek.

Następnego dnia Mu wypadła przerwa między zmianami, a Vera wylazła ze skóry, by usłyszeć opinię siostry. Przez pół nocy roztrząsała w myślach kolejne scenariusze, by rano nabrać pewności, że



znaleziona zabawka w istocie należała do Shawbrooków.

– Jednakowy – przyznała Mu, obracając pluszaka w palcach. – Ten Freddie musiał nie być jedynym.

– Możliwe, ale ten ma szew u nasady ucha. Pamiętasz, gdy pies sąsiadów porwał Pandy’ego w tany? Biedaczysko zostałoby na zawsze bez ucha, gdyby Angel nie znalazła go później na ulicy. Mama jej przyszyła, sama zobacz. Nawet do czarnych placków użyła białej nitki.

Mu znała pechową historię Pandy’ego ze słyszenia.

– To pewnie miś syna właścicielki. – Odkasznęła bezradnie.

– I przypadkiem jego misiowi też pies urwał ucho? Trzeba zawiadomić policję.

– Powiedzą to samo co każdy. Że takich maskotek jest mnóstwo.

– Nie z oderwanym uchem. To na pewno ślad.

– Mam lepszy pomysł – westchnęła Mu, widząc zawód na twarzy siostry. – Jeszcze raz pójść do chłopca, który widział tego policjanta, i zapytam o misia, zgoda?

– A jeżeli powie, że Freddie miał Pandy’ego przy sobie?

– Wtedy zawiadomię policję.

– Słowo?

– Tak.

– Dzisiaj?

– Niech będzie dzisiaj. – Nie żeby poza myśleniem o Patricku Mu miała coś lepszego do roboty. – Co na to tata?

– Sam myślał, że to Pandy. – Vera wolała nie wdawać się w szczegóły, by nie zniechęcić siostry. Ojciec wstawał dopiero późnym popołudniem, do tego czasu Mu zdążyłaby wrócić. – Jak się nazywał ten chłopiec?

– Ernie Drake.

– Ernie.

– O tej porze pewnie jest w szkole.

– Zaraz będzie przerwa obiadowa – zauważyła Vera.

Zgodnie z przypuszczeniem dziewczyny Ernie w południe wrócił do domu i sam otworzył Mu drzwi.

– Witaj, Ernie. Jestem Muriel Shawbrook, poznaliśmy się już wcześniej. Czy zastałam mamę?

Ernie doskonale pamiętał historię niemowlęcia: rude włosy, a przede wszystkim dziesięć szylingów, które mama pozwoliła mu zatrzymać.

– Dzień dobry – powitał gościa wylewnie, po czym krzyknął w głąb domu: – Mamo, przyszła pani, co zgubiła dziecko!

Jane Drake nadciągnęła z kuchni, wycierając dłonie ściereczką.

– Dzień dobry, proszę bardzo. Pani wybacz, zmywałam po obiedzie.

– Przepraszam za najście.

– Nic nie szkodzi. Właśnie skończyłam. Proszę.

Uprzejmości musiało stać się zadość, więc Mu podążyła za nią do znajomego salonu i spoczęła w tym samym miejscu na kanapie.

– Chciałabym jeszcze zapytać o coś Erniego. To zajmie tylko chwilę.

– Oczywiście.

Jane przywołała syna, który przestępował z nogi na nogę w korytarzu, łasy na dodatkowy zarobek.

– Ernie, czy razem z dzieckiem ten policjant wyniósł z domu coś jeszcze?

– Nie.

– Na pewno? Żadnych ubranek, pieluszek...?

Ernie potrząsnął głową.

– W takim razie to wszystko, dziękuję – westchnęła Mu.

– Nie ma za co – odparł Ernie uczynnie, sądząc, że to właśnie chciała usłyszeć. – Nie wziął nic oprócz misia. Pamiętam, bo upuścił go w błoto, a potem schował do kieszeni. Ale żadnych ubrań ani takich tam...

– Misia? Jak wyglądał?

– Taki łaciaty jak krowa, z fioletową kokardką. Nic niewart świntuch, wziął go przy okazji tylko dla małego.

– Nie zmyślasz, Ernie? – Jane także pamiętała uprzednią nagrodę.

– Daję słowo, mamu. Policjant wsadził go do kieszeni kurtki.

Twarz Mu promieniała.

– Dziękuję, Ernie. Znów bardzo mi pomogłeś. – Sięgnęła do kieszeni po wcześniej przygotowane dwie półkoronówki. Na brzęk monet chłopiec odruchowo wystawił dłoń.

– Ernie, co to ma znaczyć? – zgromiła go Jane.

Ernie cofnął rękę, lecz Muriel łagodnie, choć stanowczo wcisnęła mu pieniądze do garści.

– Zasłużyłeś na to – rzekła, nim spojrzała na Jane. – Proszę pozwolić mu je przyjąć. To niezwykle ważne.

Ernie zawisł wzrokiem na twarzy mamy, a na jej nieznaczne skinienie błyskawicznie wsunął monety do kieszeni. Wprawdzie za pierwszym razem dostał dwukrotnie więcej, ale pięć szylingów to też nie byle co.

Od Drake'ów Mu powędrowała prosto na komisariat.

– Pani Shawbrook – powitał ją posterunkowy Sharpe. – W czym mogę pomóc?

– To dość skomplikowane...

– W takim razie porozmawiajmy spokojnie. – Powiodł dziewczynę korytarzem do niewielkiego pomieszczenia w głębi, w którym znajdowały się tylko stół i dwa krzesła.

– Słucham – zagaił, gdy oboje zajęli miejsca.

– To skomplikowane – powtórzyła Mu.

– Rozumiem. Zacznijmy od początku.

– Oczywiście. – Mu spróbowała uporządkować myśli. Spontaniczna odpowiedź Erniego tak ją zaskoczyła, że zgodnie z obietnicą daną siostrze natychmiast skierowała się na posterunek. – Moja rodzina właśnie wynajęła mieszkanie przy Marden Road. Właścicielka wyjechała z synkiem na wieś, miała dość życia pod ziemią. Podczas wczorajszego ataku siostra schroniła się w piwnicy.

– Tak...? – Andy Sharpe bacznie śledził jej słowa.

– I znalazła pluszowego misia, który do złudzenia przypomina przytulankę Freddiego.

– Więc sądzi, że to jego zabawka – bardziej stwierdził, niż zapytał policjant.

– Tak. Tłumaczyliśmy, że takie pandy z fioletową kokardką są do kupienia pewnie w każdym sklepie.

– Mówi pani z kokardką?

– Tak, zawiązaną pod brodą. Ernie, chłopiec, który widział całe wydarzenie, utrzymuje, że razem z Freddiem funkcjonariusz wyniósł właśnie taką maskotkę.

– Sekundę, ustalmy jedno: pod jakim adresem siostra znalazła misia?

– Marden Road trzydzieści cztery.

– Jak nazywa się właścicielka?

– Chyba Peterson. – Mu się zawahała.

– Wobec tego od razu powiem, że to nie ten miś.

– Skąd pan wie? – Mu straciła wątek. – Wygląda identycznie i ma przyszyte ucho, zupełnie jak panda Freddiego.

– Rozumiem. Tyle że przesłuchaliśmy panią Peterson, gdyż to przypuszczalnie jej mąż uratował chłopca, zanim poniósł śmierć kilka dni później. Pytanie, gdzie zabrał niemowlę.

– Przecież mógł wziąć je do domu, pandę też, a gdy zginął, wdowa po prostu zatrzymała dziecko.

– Niewykłuczone – przyznał Andy. – Między nami: upewniliśmy się w tej mierze i niezbite dowody wskazują, że pani Peterson mówi prawdę. Przykro mi...

– Jakie dowody? – przerwała Mu.

– Akt urodzenia Rogera Petersona.

– Widział go pan?

– Nie byłem upoważniony.

– Więc uwierzył jej pan na słowo?

– Bynajmniej. Potwierdził to Somerset House. Roger Colin Peterson, syn Colina i Margaret, z domu Wilson, urodził się w Londynie dwudziestego dziewiątego lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego roku. Dziecko pani Peterson to nie Freddie.

– Rozumiem. – Dziewczyna spuściła wzrok, ukrywając zawód. – Czyli sprawa zamknięta.

– Przykro mi.

Mu wstała.

– Mojej siostrze trudno będzie się z tym pogodzić. Wbiła sobie do głowy, że to miś Freddiego.

– Może się nie myli – odparł posterunkowy. – Gdyby sierżant Peterson ocalał Freddiego, mógł przypadkiem przynieść zabawkę do domu.

– Vera w to nie uwierzy – powątpiewała Mu. – Zrobi wszystko, by odnaleźć syna.

– Syna? – podchwycił Andy. – Myślałem, że chodzi o braciszka.

– Siostra została matką bardzo wcześnie – wyjaśniła Mu. – By uniknąć skandalu, Freddie oficjalnie uchodził za naszego brata, ale teraz to bez znaczenia. Najważniejsze, aby się odnalazł.

– A teraz nie boją się państwo skandalu?

– Wojna wszystko przewartościowała. Kogo dziś obchodzi ludzkie gadanie? – Mu spojrzała w oczy młodego policjanta. – Nie będzie chciała słuchać, gdy powtórzę jej pańskie ustalenia. Ale gdyby... Nie, nieważne.

– Tak?

– Gdyby pan poszedł ze mną i przemówił jej do rozsądku? Biedaczka chwytą się każdej nadziei.

– Kończę służbę za pół godziny – rzekł funkcjonariusz z uśmiechem. – Chętnie odprowadzę panią do domu.

Andy Sharpe otworzył furtkę przy Marden Road trzydzieści cztery, by przepuścić rudowłosą dziewczynę przodem. W głębi ducha zazdrościł pacjentom w City Hospital tak atrakcyjnej opiekunki.

– Nie mieszka pani z ojcem i siostrą? – zapytał.

Mu potrzęsnęła głową.

– Przydzielono mi pokój w pracowniczym internacie. Zresztą tu i tak nie ma miejsca dla trojga. – Zwróciła na Andy’ego zamyślony wzrok. – Nigdy pan tu nie był?

– Owszem, kilka razy po śmierci sierżanta. W ten sposób poznałem panią Peterson. Sprowadzili się tu niedawno, nikt do niej nie zaglądał. Colin w pracy był bardzo lubiany, ale nigdy nie przedstawił nam żony.

Vera zachłysnęła się na widok dwumetrowego dryblasa w pełnym umundurowaniu u boku siostry.

– I co? – zawołała z miejsca. – Wiadomo coś?

– Najpierw pozwól nam wejść – powstrzymała ją Mu. – To posterunkowy Sharpe. Wszystko ci opowie.

– Andy. – Funkcjonariusz skłonił się lekko. – Andy Sharpe.

– Proszę. – Vera usunęła się z progu. – Rozmawiałas z Erniem? Pamiętał misia?

– W teorii to mógłby być Pandy – odparła Mu ostrożnie. – Podobno sierżant faktycznie wziął maskotkę Freddiego...

– Wszędzie bym go poznała! – Vera klasnęła w dłonie.

– Ale to nie znaczy, że Freddie tu był – dodała Mu z naciskiem. – Pan posterunkowy...

– Andy.

– ...Andy przyszedł objaśnić nam szczegóły.

Gdy usiedli w salonie, Vera utkwiała w przybyłym wyczekujący wzrok. Andy, z rozwagą dobierając słowa, przedstawił ustalenia w zakresie tożsamości Rogera Petersona.

– Sprawdziliśmy na wszelki wypadek.

– Nie uwierzył jej pan na słowo? – podchwyciła Vera.

Pytanie wyraźnie zbiło gościa z tropu.

– Dlaczego woleli panowie mimo wszystko sprawdzić? – nalegała dziewczyna.

– Trudno powiedzieć – odparł funkcjonariusz. – Dokuczały mi drobne nieścisłości tu i ówdzie. Pani Peterson nie miała ekwipunku dla dziecka. Łóżeczko kupiła dopiero dzięki zrzutce naszej brygady, a wózek pożyczyła od sąsiadki. Jakby nie potrzebowała ich wcześniej.

– Co jeszcze? – Vera chłonęła każde słowo.

– Wiek chłopca się zgadzał, a po naszym spotkaniu na komisariacie zauważyłem, że Roger ma podobny kolor włosów do pani. – Policjant z upodobaniem objął Mu wzrokiem. – Gdy okazało się, że

wybawca miał stopień sierżanta, wszystkim z miejsca przyszedł na myśl Colin: zawsze pierwszym tam, gdzie dzieje się krzywda. Lecz po jego śmierci wszelki trop się urwał, bo wdowa nic takiego sobie nie przypomina. A jednak wystarczyła wzmianka o tym, że obaj chłopcy są rówieśnikami, by wytrącić ją z równowagi. Na pytanie o kolor włosów małego natychmiast przywołała babcię z Irlandii i otwarcie zadeklarowała, że jej syn to nie Freddie, o czym świadczy jego akt urodzenia. – Andy przeniósł wzrok z jednej siostry na drugą. – Przyznam, że wydało mi się to nieco przesadne.

– To dlaczego nie kazał jej pan pokazać dokumentu? – Vera była nieprzejednana.

– Na jakiej podstawie? Lecz dla całkowitej jasności inspektor Droy skonsultował się z rejestrem urodzeń w Londynie. Wczoraj dostaliśmy odpowiedź. Colin Peterson i jego żona Margaret mają syna o imieniu Roger.

– Bzdury! – krzyknęła Vera z pasją. – Każdy głupi by pojął, że sierżant znalazł moje dziecko, które ta kobieta sobie przywłaszczyła, gdy została sama.

– Spokojnie, kochana – studziła ją Mu. – Andy nie ma z tym nic wspólnego, tak się po prostu złożyło.

– Nieprawda!

– Przypro mi. – Twarz śledczego wyrażała współczucie. – Ale obiecuję, że nie zaniechamy poszukiwań. Ktokolwiek uratował pani synka, musiał to później zgłosić. Znajdziemy go, daję słowo. – Wobec milczenia ze strony rozżalonej dziewczyny Andy podniósł się z miejsca. – Pójdę już.

– Co pan powie na filiżankę herbaty? – zapytała Mu. – O ile się panu nie śpieszy, naturalnie.

– Ani trochę – odpowiedział Andy, myśląc o swojej obskurnej kawalerce na przedmieściach w Mutley. – Bardzo chętnie, dziękuję.

Mu poszła do kuchni zagotować wodę. Co za pech, że syn właścicielki mieszkania przypominał Freddiego, bo do Very nic nie docierało. Znalezione w piwnicy mięs za bardzo nakreślił jej nadzieje. Chociaż młody posterunkowy podchodził do sprawy z powagą i szacunkiem należnym cierpieniu matki niemowlęcia. Jego postawa budziła zaufanie i Muriel nie wątpiła, że policjant dotrzyma słowa.

Do herbaty zasiedli wraz z Davidem, który zdążył wychynąć zza drzwi sypialni. Po wstępnej prezentacji obu panów siłą rzeczy powrócił temat aktu urodzenia, lecz wnioski pozostały bez zmian.

Gdy Mu zaczęła się żegnać, Andy także podźwignął swoje dwa metry.

– Odprowadzić panią? – zapytał.

– Będę bardzo wdzięczna. – Mu bała się zostać sama. W natłoku wydarzeń minionego dnia prawie nie wspominała Patricka. Z uwagi na obecność Andy'ego wolała nie poruszać tego tematu i ostatecznie sama na kilka godzin uwolniła się od zadry w sercu. Nazajutrz czekał ją kolejny dzień urlopu przed powrotem na nocną zmianę. Tylko praca pozwalała jej przetrwać. David chwycił się tej samej pociechy, lecz Vera, skazana na samotne godziny w czterech ścianach, nie miała czym zająć myśli, by oderwać się od Freddiego i żałoby po stracie rodziny. A choć z każdym dniem nabierała wprawy o kulach, po dłuższym wysiłku noga wciąż dawała jej się we znaki.

Mu byłaby pod wrażeniem kondycji młodszej siostry tego samego wieczoru po wyjściu Davida. Ani trochę nieprzekonana argumentacją śledczych, Vera postanowiła przetrząsnąć cały dom na wypadek innych śladów syna. Rozpoczęła od sypialni ojca, choć akurat tu najmniej spodziewała się znaleźć. Wiedziała, że syn właścicielki rezydował w jej obecnym pokoju, bo w rogu stało łóżeczko ufundowane przez kolegów sierżanta. To samo w sobie już wydawało się dziwne. Gdzie niby dziecko spało od małego? Wózek też ponoć pożyczono dopiero po śmierci męża. A nuż uczynna sąsiadka, o której wspominał Andy, to ta wścibska baba od kluczy? Nie zaszkodzi pociągnąć jej za język. Ta na pewno

wywyższa więcej na temat Petersonów niż młody posterunkowy po kilku formalnych przesłuchaniach. Wbrew swojej początkowej niechęci Vera postanowiła udać się pod numer pięćdziesiąty trzeci nazajutrz z samego rana, gdy ojciec pójdzie spać.

Tymczasem przyszła kolej na salon. Zadanie jednak okazało się trudniejsze, niż sądziła. Spenetrowanie wszystkich szafek i szuflad zajęło tak długo, że skończywszy, nie miała już sił na kuchnię i piwnicę. Zdecydowana kontynuować następnego dnia, z grzanką i kubkiem herbaty wyciągnęła się wreszcie na łóżku. Po raz pierwszy od pobudki w szpitalu na czymś jej zależało, a to przynosiło ulgę.

Nazajutrz od świtu wyglądała powrotu ojca i chwili, gdy pójdzie spać. Tymczasem David był w nastroju do rozmowy. On także niepokoił się o młodszą córkę i uznał, że najwyższa pora zastanowić się nad jej przyszłością po zdjęciu gipsu.

– Powinnaś rozejrzeć się za porządną pracą – oświadczył. – Kelnerowanie jest dobre przez chwilę.

– Kelnerowanie to porządna praca – podkreśliła Vera. – I bardzo męcząca.

– Ale nie wymaga żadnych umiejętności. Stać cię na więcej niż lanie piwa cały boży dzień. Taka rezolutna pannica mogłaby być co najmniej nauczycielką albo pielęgniarką, jak Mu...

Trudno było sobie wyobrazić zawód, który pociągał Verę mniej niż pielęgniarstwo. W ciągu ostatnich tygodni poznała szpitalną praktykę od podszewki, wyzbywając się resztek złudzeń o wzniosłym powołaniu z podręczników Florence Nightingale.

– Przemysłu to – obiecała, by nie ciągnąć dyskusji.

Ogryzła wszystkie paznokcie, zanim ojciec wyszedł z łazienki i wreszcie zniknął w sypialni. Dziewczyna niezwłocznie przywdziała płaszcz i kapelusz, by podjąć żmudną wędrówkę o kulach w górę zbocza. Segment numer pięćdziesiąt trzy przypominał wszystkie inne dookoła. Vera niezdarnie pokonała alejkę na ganek i zadzwoniła. Dopiero po długiej chwili z wnętrza dobiegło szuranie, a w szparze nieznacznie uchylonych drzwi mignęło czujne oko pani Todd.

– Dzień dobry. Vera Shawbrook. Zapraszała pani do siebie, gdyby mi się nudziło.

– Oczywiście! – Drzwi ustąpiły z rozmachem, ukazując uśmiechniętą gospodynię. – Bardzo proszę, wejdz, moja droga. Uwaga na próg. Sama przyszłaś aż tutaj? Trzeba mnie było uprzedzić, wpadłabym do ciebie.

– To tylko kawałek – odparła dziewczyna. – Dość mam siedzenia w domu.

– Bardzo miło cię widzieć. Zaraz zaparzę herbaty.

Stella zaprosiła gościa na taras od strony ogrodu, gdzie pod kopułą z kiści bladoliliowej glicynii stał wiklinowy stół w otoczeniu krzesel.

– Usiądź i odpocznij, zaraz wracam.

Vera z ulgą zajęła pierwsze z brzegu krzesło i powiodła wzrokiem dookoła. W miejscu przeznaczonym na trawnik i rabatki biegły zagony sałaty, krzaczków groszku uginających się pod ciężarem strąków i wykopanych ziemniaków, a na przeciwległym końcu widniała konstrukcja z tyczek porośnięta pnączem o czerwonych kwiatach. Vera rozpoznała fasolę, którą mama zasiała przy Suffolk Place, gdy w ramach kopania dla zwycięstwa poświęciła swoje wypielęgnowane kwietniki na rzecz ziemniaków, kapusty, bobu i fasoli. „Witaminy są dobre dla zdrowia”, zadźwięczał jej w uszach ukochany głos, nim spostrzegła, że bezgłośnie płacze w błogiej ciszy ogrodu wypełnionej brzęczeniem pszczoł buszujących w kwiatach brzoskwini w narożniku.

Stella zauważyła łyżę gościa, stawiając tacę na stole.

– Zapomniałam o mleku! – Chwyciła się za głowę, by znów zniknąć w domu na kilka minut.

W tym czasie Vera doprowadziła się do porządku i powrót gospodyni powitała już dziarskim uśmiechem.

– Imponująca hodowla. – Wykonała gest w stronę warzywnika.

– Owszem – przyznała Stella, napełniając eleganckie filiżanki. – Mój świętej pamięci mąż miał rękę do roślin. Ja tylko staram się kontynuować jego dzieło. Do większych prac najmuję ogrodnika, ale sama pielę chwasty i podlewam. To mi daje pewne poczucie bliskości z Johnem.

– Moja mama uprawiała warzywa – rzekła Vera bez drżenia w głosie.

– Macie teraz ogród – zauważyła Stella. – Choć od miesiący nikt go nie doglądał. Maggie Peterson nie lubiła babrać się w ziemi.

Vera tylko na to czekała.

– Macierzyństwo zobowiązuje – rzuciła z udawaną obojętnością.

– Prawda, choć trzeba przyznać, że Roger to istny aniołek. – Na twarz Stelli wypłynął tkliwy uśmiech. – A jaki zmyślny! Wszędzie zajrzy, wszystkiego dotknie. Czego by nie znalazł, to do buzi. Odkąd zaczął raczkować, trzeba mieć oczy dookoła głowy.

– Bywał tu u pani? – zagadnęła dziewczyna, sięgając po mleko.

– Kilka razy. Gdy sprowadzili się na początku roku, Maggie raczej stroniła od sąsiadów. Musiała tęsknić za małym, bo odkąd do nich dołączył, stała się bardziej widoczna i towarzyska.

– Nie przyjechali we trójkę? – zdziwiła się Vera naiwnie.

– Zostawili syna u babci w Londynie. Po mojemu sierżant otrzymał awans i prawdopodobnie uznali, że lepiej nie męczyć dziecka przeprowadzką.

– Też racja – przytaknęła Vera, skrzętnie odnotowując informację w pamięci.

– Ale po śmierci Colina... Cóż... Maggie znalazła się sama z dzieckiem w obcym mieście, więc zaoferowałam jej pomoc. Uważam, że słusznie zrobiła, wyjeżdżając na wieś. Po stracie męża w tych okolicznościach nic dziwnego, że drżała o dziecko. Co powiesz na dolewkę? – Stella uniosła imbryk.

Vera została jeszcze pół godziny, po czym wymawiając się powinnościami wobec taty, pokuśtykała z powrotem. Zastanowił ją fakt, że Roger zjawił się w Plymouth niedawno.

W domu padła na łóżko z misiem w objęciach.

– Znajdziemy go, Pandy – wymruczała, zapadając w sen.

S iarczyście ziąb przenikał go na wskroś. Pozbawiony się ciężkich oficerów, Patrick praktycznie stracił czucie w stopach. Od dłuższego czasu nie miał siły płynąć, tylko bujał w stanie nieważkości, czekając na zew oceanu. Z rzadka przed oczami mignęła mu przelotna iskra, ale nie dał się zwieść przywidzeniom. Windowany miękkim przypływem, potrącił coś od tyłu. Wyciągając rękę na oślep, wymacał palcami chropowaty kształt, który nie przestawał go szturchać, gdy nagle silne szarpnięcie wywlekło go nad powierzchnię.

– Trzymaj się tratwy, stary! Nie dam rady sam cię wyciągnąć. Łap linę.

Słowa dobiegały z oddali i dopiero po pewnym czasie Patrick zrozumiał ich sens. W osłabieniu rozgarniając wodę, przypadkiem trafił na pływający sznur, który okazał się trokiem u tratwy. Oślepiający błysk światła na moment wyłonił z mroku bladą twarz ponad burtą pontonu podrygującego na falach. Patrick pociągnął mocniej, lecz postronek wymknął mu się ze zdrewniałych palców. Nieszczęśnik w panice zamłócił rękami, gdy tratwa odsadziła go znowu. Przywołując resztki energii w walce o przeżycie, zdołał pochwycić pętlę oburącz.

– Zaraz cię wyłowię, ale jak puścisz, to po tobie!

Patrick poczuł rosnące napięcie liny i opór wody ciągnącej go w dół. Wyteżył ścierpnięte mięśnie i wierząc na wszystkie strony, parł ku ocaleniu.

– Już prawie! Trzymaj mocno! – pilotował głos.

Znowu mignęło światło, tym razem oddalone o ledwie kilka metrów. Patrick podniósł wzrok na śliskie, obłe brzegi nadmuchiwanego tratwy. Wiedział, że nie zdoła wydzwignąć się na pokład. Lina naprężona do granic kaleczyła mu dłonie, więc prześlizgnął łokcie przez pętlę, by złagodzić tarcie.

– Spróbuj wsunąć głowę i przewiązać się pod pachami! Tylko nie puszczej!

Patrick zacisnął zęby, lecz potężny przypływ ponownie odrzucił go w tył. Rozkołysany żywioł wzywał go na spoczynek. Nie było sensu się opierać. Zrezygnowany rozbitek odchylił głowę, zdając się na działanie nurtu, gdy w uszach posłyszał głos Mu: „Wróć! Czekam na ciebie, mój kochany!”.

Teraz albo nigdy. Ponton był jego jedynym ratunkiem. Ostatnim wysiłkiem szarpnęła koniec liny, by precyzyjnie głowę i ramiona przez pętlę, po czym holowany za tułów, dobił do pękających burt pontonu. Nagła fala podrzuciła go niby piłkę podesłaną wprost w wyciągnięte z pokładu ramiona, których kleszczowy uścisk stopniowo wyrwał go z wody za ubranie i cisnął na gumowe dno łodzi u boku ciężko dyszącego wybawcy.

– Witam na pokładzie Gumowej Kaczki – wysapał mężczyzna po chwili. – Nie postawiłbym na ciebie ani grosza.

Błysnęła latarka.

– Dixon! – zachrypiał Patrick, rozpoznając jednego z artylerzystów na dziobie.

– Do usług, panie podporuczniku.



– Dziękuję.

Światło zgasło i otoczyła ich nieprzenikniona ciemność.

– Lepiej oszczędzać baterię na wypadek sygnałów świetlnych – zabrzmiał głos Dixona.

– Słusznie. – Patrick potarł ręce o pierś dla rozgrzewki, usiłując zapanować nad szczękaniami zębów.

– Byle do świtu – sapnął Dixon. – Słońce pozwoli nam wyschnąć, a przy odrobinie szczęścia może ktoś nas zauważyć. Transport powinien być tuż-tuż.

– Nie zatrzymają się pośród u-bootów. A rano nie będzie po nich śladu – odpowiedział Patrick ze znużeniem. – Nie wyłowiłeś nikogo innego?

– Nie, panie podporuczniku. Wcześniej widziałem światło, lecz gdy próbowałem wołać, głos wracał rozproszony, nie wiadomo skąd. Od tego czasu cisza. Może się uratowali.

– Może – przyznał Patrick wbrew własnym przeczuciom.

– Pana też bym nie spostrzegł, gdyby nie to, że akurat włączyłem latarkę.

– Całe szczęście, że cię podkuśliło. Wybierałem się już na dno. – Pomimo zimna i wilgoci na całym ciele Patricka ogarnęło przemożne zmęczenie. – Zmiana warty – rzucił, podrywając głowę. – Śpij, obudzę cię za godzinę.

Mężczyźni wyciągnęli się w ciasnej komorze z głowami na gumowych obrzeżach tratwy. Złakniony ciepła Dixon przywarł do boku Patricka.

Oficer odpędzał senność, recytując w myślach wszystko, co pamiętał ze szkoły: księgi Starego Testamentu, władców Anglii, dramaty Szekspira... Wylizował jedno po drugim. Gdy skończyły mu się pomysły, szturchnął Dixona w ramię, by nareszcie samemu zamknąć oczy.

Pierwsze promienie słońca oświetliły samotną tratwę pośród sinej toni oceanu. Tak jak Patrick przewidział, kawalkada eskortowanych frachtowców minęła ich w ciągu nocy, zmierzając dalej na wschód.

Przyjemne ciepło czerwcowego poranka wkrótce stało się nie do zniesienia pod kopułą bezchmurnego nieba. Rozbitkowie na przemian trzymali straż, daremnie wypatrując śladu życia na horyzoncie. W martwej ciszy jedynie raz posłyszeli nikłe brzęczenie nad głową. Jednocześnie skoczyli na równe nogi, nieomal wywracając chybotliwy ponton, lecz mimo nawoływań i rozpaczliwych znaków biała smuga nieśpiesznie przecięła błękit, by rychło zniknąć im z oczu. Od tamtej pory dryfowali w pustkę wśród miarowego chlupotu.

Zestaw ratunkowy pontonu zawierał oprócz latarki butelkę wody, suchary oraz kompas. Mężczyźni posilili się częstką zapasów, które podzielili na kilka porcji. Patrick doskonale zdawał sobie sprawę, że bez niego Dixon miałby dwukrotnie więcej.

W oddali tuż ponad wodą zarysował się ciemny pas lądu, lecz porywy wiatru i oceanu znosiły zabląkaną łupinę w przestworza.

Dopiero szykując się do kolejnej przejmującej nocy, nieszczęśnicy pochwycili warkot silnika w pobliżu. Desperacko jęli błyskać latarką w zapadającym zmierzchu.

– Co to za patrol? – zastanowił się Dixon.

– Z Kornwalii albo wysp Scilly. – Patrick objął wzrokiem czarne wybrzuszenie na tle gasnącego nieba.

Samolot zmniejszył wysokość, zataczając nad nimi kręgi, gdy gładką tafłę wody nieopodal rozpruły bryzgi piany. Szybka łódź motorowa straży przybrzeżnej zmierzała prosto ku nim. Obaj mężczyźni

prawie stracili głos, nim kilka minut później jednostka zwołniała bieg, a rozbitkom rzucono linę. Przyholowani pod burtę, wspięli się po drabinie na pokład.

Szyper nieomal natychmiast poderwał łódź i szerokim łukiem zawrócił do brzegu, zostawiając bezsilną tratwę w kłębach piany na pastwę żywiołu.

– Lepiej nie ryzykować! – krzyknął. – Nigdy nie wiadomo, co się czai pod wodą.

Ledwie żywych z wycieńczenia i radości rozbitków zabrano pod pokład, gdzie owinięci kocami, dostali po kubku gorącej herbaty.

– Z jakiej jednostki jesteście? – zapytał szyper, gdy nieco później zszedł na dół.

– Z niszczyciela Cumbria. Asekurowaliśmy konwój – odparł Patrick.

– U-boot?

– Tak jest. Torpeda trafiła w śródkręcie, a wybuch amunicji rozerwał kadłub na pół. Kwadrans po komendzie do opuszczenia okrętu już go nie było.

– Ilu mogło ocaleć?

– Nie wiadomo. Po wodzie pływały inne tratwy, ale ilu ludziom udało się na nich przetrwać... Chyba że któryś z eskortowców przyszedł im z pomocą. Dzisiaj nie widzieliśmy już ani jednej.

– Na łądzie złożycie pełny raport.

– Jak nas znaleźliście? – zapytał Dixon jednego z członków załogi.

– Łódź latająca z bazy na wyspie St Mary's namierzyła was podczas patrolu, więc wyskoczyliśmy sprawdzić.

W koszarach obejrzał mężczyzn lekarz, nie stwierdzając poważniejszych obrażeń.

– Udar i wyczerpanie – rzekł. – Wystarczą odpoczynek, dużo płynów, przyzwoite jedzenie i gorąca kąpiel.

Przez następne dni Patrick i Dixon posłusznie odpoczywali. Pilotem, któremu zawdzięczali życie, okazał się Australijczyk z RAF-u, Simon Taverner.

– Drobiazg – rzekł, gdy poszli mu podziękować. – Zauważyłem was w czerwonej strefie, więc zgłosiłem przez radio.

– Ocalił nam pan życie.

– Nie. Sami je ocaliliście.

– Co z resztą załogi Cumbrii? – spytał Dixon.

– Podobno następny konwój wyłowił kilku ludzi – odparł Taverner. – Przeszedł nienapadnięty. Chyba przestraszyli się zbyt licznej obstawy.

Słaba łączność na wyspie nie pozwoliła Patrickowi dodzwonić się do rodziców, musiał więc poczekać na obiecany kurs do Falmouth kilka dni później.

A Mu? Czy rodzice zdążyli zawiadomić ją o jego zaginięciu? Gdyby dostał urlop przed powołaniem na inną jednostkę, mógłby do niej pojechać. Zjawić się bez uprzedzenia. Wiedział, że przeniosła się do Plymouth, wystarczyło rozpytać po szpitalach.

– Chcesz kogoś zawiadomić? – zwrócił się do Dixona.

– Rodziców. Nie mają telefonu, więc przy pierwszej okazji muszę nadać telegram.

– Jeden już pewno dostali – zauważył Patrick.

– Ten ich bardziej ucieszy. – Dixon błysnął zębami w uśmiechu. – W każdym razie mam taką nadzieję.

Ostatecznie dopiero po czterech dniach doczekali się miejsca na kutrze torpedowym płynącym do Falmouth. Gościnną bazą lotniczą, a wkrótce cała wyspa St Mary's szybko zniknęły im z oczu, w miarę jak ścigacz mknął po gładkiej tafli wody niewinnie srebrzącej się w słońcu, niczym nie zdradzając utajonego zagrożenia w głębi.

Na łądzie przyszedł czas pożegnania. Dixon nadał telegram do rodziców w Barnet, po czym z poleceniem dowództwa marynarki w garści wsiadł do pociągu do Londynu.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.

– Jestem twoim dłużnikiem – rzekł Patrick. – Gdybyś kiedykolwiek czegoś potrzebował, pamiętaj, że zawsze możesz na mnie liczyć.

– Każdy zrobiłby to samo na moim miejscu – bąknął artylerzysta zmieszany.

– Niekoniecznie – sprzeciwił się Patrick. – Nie zapomnij. Wszystkiego dobrego, Dixon. Jestem dumny, że mogłem służyć z tobą na jednym okręcie.

Patrick wynajął pokój w hotelu i zamówił telefon do Glasgow. Długo czekał na połączenie, a gdy w końcu spośród szumu i trzasków w słuchawce wyłonił się daleki głos mamy, trudno się było porozumieć.

– Mamo! To ja, Patrick! Jestem w Falmouth, wszystko w porządku!

– Halo!

– Mamo, słyszysz mnie? Tu Patrick!

Po drugiej stronie rozległ się okrzyk i coś zachrobotało, jakby słuchawka upadła. Po chwili odezwał się głos ojca.

– Patrick, to naprawdę ty, synu?

– Tak, tato, nic mi nie jest. Mam tylko trzy minuty, a muszę się dowiedzieć, czy napisałeś do Muriel.

– Tak. Dostałem odpowiedź z Plymouth, jak mówiłeś.

– Dobrze. Tym łatwiej ją odnajdę.

– Nie przyjedziesz do domu?

– Jeżeli będę miał czas przed powrotem do służby. Przepraszam was, ale muszę pilnie spotkać się z Mu.

– Rozumiem – rzekł Michael Davenham z nutą zawodu w głosie.

– Dacie znać Neilowi, że jestem cały i zdrowy?

– Wysłali ich za granicę, nie wiem dokładnie gdzie, ale spróbujemy się z nim skontaktować. Przyjedź, jeżeli możesz, twoja mama bardzo się ucieszy, choćby na kilka dni.

– Postaram się. Ucałuj mamę ode mnie... – Nagły sygnał przerwał rozmowę i w słuchawce zaległa cisza.

Patrick nie chciał sprawiać przykrości rodzicom, lecz musiał odnaleźć Mu. Jak najszybciej.

Kolejnego wieczoru pod nieobecność ojca Vera przeczesała resztę domu. Nie odkryła nic, co mogłoby świadczyć o obecności dziewięciomiesięcznego niemowlęcia, a tym bardziej Freddiego. Piwnicę, największe pomieszczenie o powierzchni całego piętra, zostawiła na koniec. Od znalezienia Pandy'ego nabrała niemal pewności, że klucz do rozwiązania zagadki kryje się właśnie tam. Wolała nie wtajemniczać ojca ani siostry w swoje poczynania wobec braku zrozumienia z ich strony. Vera już słyszała głos Mu: „Cokolwiek znajdziesz, potwierdzi tylko, że pani Peterson mieszkała tu z synem, prawda?”.

– Nieprawda! – sprzeciwiła się dziewczyna na głos w wymyślnym sporze z siostrą. – Nigdy nie wiadomo. Zresztą i tak nie mam nic lepszego do roboty, więc co szkodzi sprawdzić.

Rozpoczęła od dziupli pod schodami do kuchni. Drzwiczki nie były zamknięte, lecz musiała dobrze się naszarpać, zanim zastała drewno ustąpiło, ukazując puste, ciemne wnętrze ziejące zapachem kurzu i mysich odchodów w kątach. Vera zamknęła schowek i ruszyła dalej. Wstrząsnęła kolejno każdą poduchę kanapy i dwóch foteli, obmacała oparcia i zagłębienia w siedziskach, ale prócz skrawków gąbki wydobyla jedynie garść tytoniu i kilka zużytych zapalek.

Ze szczególnym pietyzmem podeszła do biblioteczki, za którą znalazł się Pandy. Kartkując nieliczne książki na półkach, w niektórych zauważyła podpis Colina Petersona na pierwszej stronie, lecz ani śladu Maggie Peterson. Wdowa najwyraźniej nie należała do miłośniczek literatury. W jednej z dolnych szuflad Vera natrafiła na policyjną pałkę z rzemieniem, gwizdek oraz legitymację służbową sierżanta Colina Petersona wydaną 13 stycznia 1941 roku przez Komendę Miejską Policji w Plymouth.

Vera wnikliwie zlustrowała odznakę. Funkcjonariusz na zdjęciu, chociaż niezbyt przystojny, miał uczciwe spojrzenie, lecz dziewczynę uderzyło co innego. Petersonowie zamieszkali tu na początku roku, ale ich syn, rzekomo powierzony babci, zjawił się dopiero w kwietniu – równocześnie z zaginięciem Freddiego!

– Nikt mi nie wierzy – powiedziała w przestrzeń. – Ale czuję przez skórę, że to moja kruszynka.

Colin Peterson na fotografii zdawał się podzielać jej zdanie.

Verze przyszedł na myśl posterunkowy Sharpe. Zawsze miała słabość do wysokich mężczyzn, łącznie z ojcem Freddiego... Ale mniejsza o to. Andy dodatkowo urzekł ją ciepłym uśmiechem, który zmieniał jego modre oczy w wesołe przecinki. A podczas wizyty uśmiechał się do Very nader często. Nie potraktował jej z góry, jak rozkapryszoną małą, która da się zwieść byle czym, lecz okazał takł i współczucie dla zdesperowanej matki. Oby tylko nie przerwał poszukiwań i jak najszybciej wrócił z doniesieniem o postępach w śledztwie. Albo w innym celu.

„Wybij sobie z głowy zaloty – skarciła się w duchu dziewczyna. – Przede wszystkim trzeba znaleźć Freddiego, a potem się zobaczy”.

W biblioteczce nic więcej nie zasługiwało na uwagę. Pozostały więc jedynie sekretarzyk, ledwie widoczny za kanapą, oraz ścienna szafa w narożniku. Z pierwszym uporała się szybko. Skromna

zawartość jedynej szuflady ograniczała się do kilku podstawowych przyborów do pisania, w tym papieru, paczki stalówek i zaschniętego kałamarza.

Vera pokażyła w kącie tajemniczej szafie, której nikt dotąd nie otwierał. W środku odkryła rzędy pustych półek oraz wielki kufer z kłódką spoczywający na dnie. Na ręczce tkwiła jeszcze notka konduktorska: „Peterson. Do odbioru w Plymouth”.

Zatem właścicielka zostawiła część dobytku na przechowanie w nadziei, że najemcy uszanują jej własność i prawo do prywatności. Niedoczekanie. Bo Vera ani myślała odstąpić od swego planu, bez względu na etykietę.

Po powrocie wczesnym wieczorem, a nie jak zwykle o świcie, David zastał córkę w piwnicy, gdy przy pomocy pogrzebacza próbowała wyłamać kłódkę u zamka omszałej skrzyni.

– Vera, co ty wyprawiasz?!

– Zgadnij – wysapała dziewczyna, zarumieniona z wysiłku.

– To nie nasze – powiedział ojciec. – Zapewniłem panią Peterson, że może zostawić kufer do swojego powrotu. Po co go wyciągnęłaś?

– By sprawdzić, co jest w środku, do diabła!

– Nie pozwalaj sobie, moja panno! – David podniósł głos.

– Tato. – Vera z trudem stłumiła zniecierpliwienie. – Szukam śladów Freddiego. Chyba chcesz wiedzieć, co się z nim stało?

David wypuścił powietrze.

– Oczywiście, że tak, złotko, nie mniej niż ty. Lecz nie wolno szperać w cudzych rzeczach, których podjęłaś się strzec. To kwestia zaufania.

– Ja jej za grosz nie ufam – oświadczyła dziewczyna wojowniczo. – Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że nie miała dzieci do czasu zaginięcia mojego.

– Jakie znaki? – David zajął miejsce na fotelu. – Co do tej pory wykryłaś?

Vera powtórzyła mu przebieg rozmowy ze Stellą.

– Przez trzy miesiące nikt w sąsiedztwie nie słyszał o synu w Londynie. A gdy ni stąd, ni zowąd dziecko się pojawia, tuż po zaginięciu Freddiego i śmierci sierzanta, mamusia nie ma w domu nic dla niemowlęcia. Ciebie to nie zastanawia?

– Ma akt urodzenia – przypomniał David miękko. – Potwierdzony przez organy ścigania.

– Co z tego? – Vera wydeła usta. – Mnie ciekawi, co jest w tym kufrze.

Mężczyzna dał za wygraną, obserwując z fotela starania córki. Gdy całym ciałem natarła na dźwignię z pogrzebacza, poczuł pewne napięcie, które jednak nie wynikało z wiary w odkrycie śladów, a z czystej ciekawości.

Wreszcie zamek wyskoczył razem z kłódką ze skórzanego obicia. Vera z okrzykiem triumfu odrzuciła pogrzebacza i podniosła wieko, lecz na widok sterty papierów i niemowlęcych ubrań osunęła się na kolana, aż siarczysty ból w nodze poderwał ją znów do pionu. Kulejąc, przepchnęła kufer bliżej kanapy, by przejrzeć zawartość na siedząco.

– Tylko jakieś zapiski i stare zdjęcia – stwierdziła, niepocieszona.

– Czego się spodziewałaś? – spytał ojciec. – Pisemnej deklaracji uprowadzenia dziecka?

Dziewczyna prychnęła z irytacją, lecz gdy się odezwała, jej głos brzmiał raczej żałośnie.

– Myślałam, że może... coś się wyjaśni...

– Wiem, kochanie. Obiecuję, że nie przestaniemy szukać. Ten posterunkowy bardzo się zaangażował.

– Właśnie chciałam mu pomóc.

Vera przewertowała terminarz z 1937 roku, lecz nie znalazłszy nic oprócz kilku umówionych spotkań i adresów, z rezygnacją odrzuciła go do skrzyni. Fotografie, wbrew jej nadziejom, także okazały się niewiele warte. Na wszystkich widnieli tylko małżonkowie. Nie sposób było nawet się przekonać, jak wygląda rzekomy Roger i którego z rodziców przypomina.

Dziewczyna obojętnie zaczęła grzebać w papierach, gdy w ręce wpadła jej szara podłużna koperta. W środku znajdował się akt małżeństwa zawartego w kościele St John's w Waterloo 29 lutego 1936 roku przez Colina Petersona i Margaret Wilson.

– Zobacz, rocznicę ślubu obchodzą raz na cztery lata! – parsknęła dziewczyna, lecz pod wpływem nagłego skojarzenia jęła uważniej oglądać każdy papier. „Gdybym na własne oczy zobaczyła ten akt urodzenia, może odzyskałabym spokój”, pomyślała.

Z innej podobnej koperty wyluskała testament Colina Petersona, który wszystkie doczesne dobra zapisał umiłowanej żonie. Brak wzmianki o umiowanym synu kazał Verze spojrzeć na datę. Dokument sporządzono na rok przed narodzinami chłopca.

– Pewnie sądził, że ma mnóstwo czasu – mruknęła dziewczyna.

– Proszę? – zapytał David.

– To testament sierżanta sprzed trzech lat. Nie zadał sobie trudu, by napisać nowy, kiedy został ojcem.

– Pewnie nie widział potrzeby, skoro jedyna spadkobierczyni i tak przeznaczyłaby wszystko dla dziecka. – David spojrzął na córkę z czułością. – Nie dopatrywałbym się w tym niczego niezwykłego.

– Masz rację... – westchnęła Vera, w głębi ducha myśląc jednak swoje.

Z kolejnej koperty wydobyła tytuły prawne wskazujące Colina Petersona jako pełnomocnego właściciela nieruchomości przy Marden Road 34, które teraz zapewne przysługiwały wdowie. Ani śladu aktu urodzenia.

– Napiłbym się herbaty. – David wstał z fotela i ruszył na górę do kuchni. – Masz ochotę na filiżankę przed snem?

– Poproszę – odparła Vera, sięgając po ostatnią kopertę.

Już sam nagłówek dokumentu przyprawił ją o ciarki, lecz nie minęła chwila, a dom wypełnił jej histeryczny krzyk. Kroki ojca zadudniły na schodach.

– Skarbie, wszystko w porządku?

Vera w stanie szoku wyciągnęła papier w jego stronę. David przebiegł tekst wzrokiem i zmienił się na twarzy.

– On umarł – wyszeptala Vera z nienawiścią w oczach. – Jej syn umarł, więc wzięła mojego.

Tego wieczoru nic się nie dało zrobić, więc po skromnej kolacji przyrządzonej naprędce przez Davida udali się na spoczynek. W przeciwieństwie do ojca Vera nie mogła zasnąć. Upłynęły już dwa miesiące, odkąd ostatni raz tuliła swoją pociechę w ramionach, a wiadomo, że w tym wieku łatwo się zapomina. Wizje synka wyciągającego rączki do Margaret Peterson doprowadzały dziewczynę do szaleństwa. Przed feralnym atakiem Freddie zaczął troszkę pogadywać. „Ma-ma” na widok Nancy, „da-da”, gdy pojawił się David. Vera nie mogła znieść myśli, że Maggie Peterson podszywa się teraz pod „ma-ma”.

Poprzysięgła sobie, że gdy go odzyska, nikomu nie pozwoli już się zastąpić. Pal licha jego bałamutnego ojca – po wojnie nie zabraknie dzieci bez tatusiów. A Freddie miał tatusia, tyle że od tej pory będzie go nazywał dziadkiem. Miał też troskliwą ciotkę i wujka gdzieś w Afryce, którego pozna po wojnie. A kiedy ciocia postanowi wziąć ślub, do rodziny dołączy kolejny wujek i wszyscy będą szczęśliwi.

Ale najpierw trzeba odszukać Maggie Peterson. Akt zgonu z pewnością zmotywuje służby do działania. Bo Freddie czy nie, chłopczyk pod opieką tej kobiety z całą pewnością nie był Rogerem Petersonem.

Obudziło ją światło czerwcowego poranka, świeże i obiecujące jak zapowiedź zmian. Vera wstała z wrazeniem, że zaczyna nowy etap. Czuliła się dojrzała i bardziej sprawcza niż jeszcze kilka tygodni wcześniej. Była gotowa walczyć o znalezienie Freddiego i swoją rolę jako jego matki.

Przy śniadaniu zwierzyła się ojcu ze swoich nocnych przemyśleń. Wysłuchał bez komentarza, a na koniec powiedział:

– Według mnie to słuszna decyzja. Ale nie będzie ci łatwo. Zawsze znajdą się chętni do wytykania palcami samotnej matki z bękartem.

– Trudno – odparła Vera. – Najważniejsze, aby Freddie wiedział, że jest kochany i nie ma się czego wstydzić.

David posłał jej ciepły uśmiech nad stołem.

– Mama byłaby z ciebie dumna. Ale najpierw musimy znaleźć panią Peterson.

– Wiem i dlatego zaraz idę na posterunek. Niech Andy zaznaczy w kartotece, że to wariatka i porywaczka dzieci.

– Nie chcesz wcześniej porozumieć się z Mu? Może chciałaby nam towarzyszyć?

– O ile pamiętam, pracuje na nocną zmianę. Więc najwyżej możemy próbować złapać ją w internacie, zanim pójdzie spać.

– Moim zdaniem powinniśmy – orzekł David. – Bardzo się przyczyniła do poszukiwań Freddiego, a nie czarujemy się, jeszcze długa droga przed nami. Nadal nie wiadomo, gdzie przebywa ta kobieta.

Wyruszyli razem do śródmieścia, przy czym Vera, o samej lasce, zmęczyła się dosyć szybko i choć nigdy by się do tego nie przyznała, z ulgą wsiadła do autobusu.

W internacie nie zastali Mu.

– Nie widziałam jej, odkąd skończyła dyżur – oznajmiła pielęgniarka, która otworzyła im drzwi. – Sprawdziłam, w pokoju jej nie ma.

– Trudno, pójdziemy bez niej – rzekła Vera tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Nie ma czasu do stracenia.

David uległ, choć wolałby poczekać na starszą córkę.

Droga na posterunek zajęła szmat czasu. Vera, mimo determinacji, posuwała się wolno, a noga dokuczala jej coraz bardziej, więc po wejściu na komisariat w pierwszej kolejności opadła na drewnianą ławkę pod ścianą.

David podszedł do oficera za kontuarem.

– Chcielibyśmy się widzieć z inspektorem Droyem.

– Z posterunkowym Sharpem, tato! – poprawiła go córka za plecami.

– Inspektor Droy jest w terenie – odparł policjant. – Zechcą państwo zaczekać? – dodał, jakby nie słyszał słów Very.

– Nie! – krzyknęła dziewczyna z ławki. – Proszę wezwać Andy’ego Sharpe’a.

– W jakiej sprawie? – Dyżurny uniósł brwi. – Może ja mógłbym pomóc?

– Chodzi o postępowanie w toku, sierżancie – poparł córkę David. – Byłoby nam łatwiej porozmawiać ze śledczym, który zajmuje się sprawą od początku.

Funkcjonariusz, mrużąc pod nosem, otworzył drzwi na zaplecze i wrzasnął:

– Sharpe! Na recepcję!

Andy Sharpe szykował się do wyjścia na patrol, gdy otrzymał nieoczekiwane wezwanie. Na widok Very jego sympatyczna twarz pojaśniała, a David z niepokojem odnotował uśmiech i błysk w oku córki.

Z uwagi na obecność dyżurnego Andy przybrał formalny ton.

– Dzień dobry, w czym mogę pomóc?

– To nie jej dziecko! – Vera zerwała się na równe nogi, niepomna bólu i zmęczenia.

– Rozumiem. Zapraszam, porozmawiamy spokojnie. – Andy uniósł ruchomy fragment lady, wypuszczając ich na tyły recepcji. – Inspektor Droy wróci lada chwila. Tędy, proszę.

Dyżurny łypnął na nich spode łba, gdy zniknęli w pokoju przesłuchań.

– Słucham. Co się stało? – spytał Andy, zamykając drzwi.

– Proszę spojrzeć. – Vera wydobyła z torebki akt zgonu. – Oto skąd pani Peterson ma akt urodzenia Rogera Petersona. Pytanie tylko, skąd dzisiaj ma syna, skoro Roger zmarł zaraz po urodzeniu.

Andy pochylił się nad dokumentem.

– Sam pan widzi! – wykrzyknęła Vera w podnieceniu. – Jej syn umarł. Dziecko, które dziś podaje za swoje, to mój Freddie! – Głos jej się załamał.

– Rzeczywiście to wiele zmienia – przyznał Sharpe. – Ale nawet wówczas może się okazać, że to inny chłopiec, niekoniecznie Freddie.

– Zapewniam, że poznam własne dziecko! – zawołała Vera histerycznie. – Obiecał pan pomóc!

– Oczywiście. – Andy złagodził ton. – Przypominam tylko, że wciąż nie wiemy, gdzie są.

– Za to wiemy, że wszystko zmyśliła – zauważył David. – Jej zeznania są niewiarygodne. W świetle prawa mamy więc do czynienia z uprowadzeniem, co, jak ufam, wymaga szerzej zakrojonych



poszukiwań.

– Gwarantuję, że nie pożałujemy sił i środków. Nawet jeżeli to jeszcze inny chłopiec...

– To on! – wtrąciła Vera z pasją.

– ...to nadal domniemane porwanie. – Sharpe podniósł się z krzesła. – Na początek trzeba spisać protokół.

Pół godziny później Andy wyprowadził ich do głównego holu.

– Poinformuję państwa o planowanym przebiegu dochodzenia po konsultacji z inspektorem – rzekł na pożegnanie.

– O tak! – ucieszyła się Vera. – Zawsze jest pan mile widziany, będziemy wdzięczni za każdą informację.

Na przystanku dziewczyna zwróciła się do ojca:

– Nie mam zamiaru siedzieć i czekać, aż się łaskawie skonsultują. Pani Todd na pewno wie, dokąd pojechała jej kumoszka. Nie widziała świata poza... Freddiem – wymówiła imię syna z całą mocą.

– Pamiętaj, co powiedział posterunkowy, skarbie. Na razie wykazałaś, że pani Peterson podaje się za matkę nie swojego dziecka. Ale nie wiadomo, czy to twój synek.

– A czyj? – warknęła Vera.

– Po atakach w kwietniu zaginęło pewnie mnóstwo dzieci – odparł ojciec.

– Ale ona wzięła Freddiego – stwierdziła Vera z niezachwianą pewnością.

Resztę drogi przebyli w milczeniu, każde pogrążone we własnych rozmyślaniach.

Po symbolicznym obiedzie David rzekł:

– Należałoby nieco pospać, idę dziś do pracy na całą noc. Przygotujesz kolację?

Vera szybko dokonała w głowie przeglądu ich skromnych zapasów.

– Purée z parówkami? – podsunęła, pamiętając o paczce kiełbasek, którą Mu schowała w lodowni za ostatnią wizytą.

– Czytasz w moich myślach – zażartował ojciec.

W sypialni David nie od razu udał się na spoczynek, lecz usiadł na krześle obok okna. Zgodnie z oczekiwaniami nie minęła chwila, gdy trzasnęły drzwi, a Vera zeszała na chodnik kaczym krokiem. Śledząc ją zza firanki, musiał przyznać, że poczyniła błyskawiczne postępy. „Tylko patrzeć, aż odstawi łaskę – pomyślał. – Co za zadziora, nic jej nie pokona. Niech Bóg ma panią Todd w swojej opiece”.

Vera, choć utrudzona poranną eskapadą, postanowiła wysondować sąsiadkę przed spotkaniem z Andym.

Dzwonek wyrwał Stellę z poobiedniej drzemki. Lekko zamroczone, dźwignęła się z łóżka, a ujrawszy Shawbrookównę przez okno, z westchnieniem poczłapała do drzwi. Trudno było mieć dziewczynie za złe, skoro sama zachęciła ją do wizyt.

– Vera! – powitała przybyłą z wymuszonym uśmiechem. – Jak miło, że wpadłaś. Wejdz, kochana, proszę. Już bez kul? Brawo! – Ustąpiła z przejścia, by zamknąć za gościem drzwi. – Chodźmy do ogrodu, taka piękna pogoda. Napijiesz się herbaty?

– Nie, dziękuję bardzo. Mam do pani sprawę.

Stella umościła się na jednym z ogrodowych foteli, gestem wskazując drugi.

– O co chodzi?

– Czy wie pani, że Maggie Peterson nie ma syna? – wypaliła Vera prosto z mostu, licząc na efekt zaskoczenia.

Ten w istocie udało jej się osiągnąć, bo Stella zrobiła wielkie oczy.

– Nie rozumiem. Jak to?

– Wiem na pewno, że Roger Peterson zmarł zaledwie dzień po urodzeniu – oznajmiła dziewczyna.

Gospodyni zmierzyła ją zimnym wzrokiem.

– Skąd?

– Znalazłam jego akt zgonu.

Stella z okrzykiem zgrozy chwyciła się za usta.

– Gdzie?

– W kufrze, który zostawiła w domu.

– Zajrzałaś do kufra z jej prywatnymi rzeczami? Co za tupet!

– Muszę wiedzieć, dokąd pojechała.

– A co tobie do tego, moja panno? – spytała kobieta lodowatym tonem. – Jakim prawem wtykasz nos w jej życie?

– O prawie to ona chyba nie słyszała – warknęła dziewczyna. – Przywłaszczyła sobie mój największy skarb.

– Jak to? Przecież się nie znacie.

– Pewien sierżant policji z narażeniem życia wyniósł małe dziecko z naszego dawnego domu. Niepodobna dociec, co z nim zrobił.

– Więc twoim zdaniem...? – Stella wciąż zachowywała dystans.

– Moim zdaniem sierżant Peterson uratował niemowlę, a ta cała Maggie udaje jego matkę.

– Zaraz, niemożliwe... – mruknęła kobieta z nagłym powątpiewaniem – Jej mąż zgłosiłby to przecież w centrum alarmowym.

– Powinien. A gdyby nie? – wytknęła Vera.

– Wykluczone. To był uczciwy człowiek. Na pewno nie złodziej dzieci!

– Tyle że zginął zaraz potem, prawda?

– Owszem, ale on nie zwlekałby z czymś takim.

– Wygląda na to, że zwlekał. A teraz pani Peterson przepadła z moim synem.

– Twoim synem!

– Freddiem.

– Skąd wiesz? To znaczy skąd wiesz, że to twój syn?

– Obie historie są zadziwiająco zbieżne – stwierdziła dziewczyna. – Nawet pani pierwszy raz usłyszała o dziecku po śmierci sierżanta.

– Mieszkał z babcią podczas przeprowadzki.

– Przenieśli się na początku roku, widziałam odznakę sierżanta: podjął pracę trzynastego stycznia. Do kwietnia ani jedno nawet się nie zająknęło na temat syna u babci, a w domu nie było żadnych dziecięcych akcesoriów. Pani pożyczyła jej wózek. Ciekawe, że od narodzin dziecka nie kupili choćby łóżeczka. Według mojego rozeznania jej syn cudownie się zmaterializował, akurat kiedy mój zniknął.

Stella rzuciła nastolatce nieufne spojrzenie. Wiedziała od Elsie, że duża część rodziny Shawbrooków zginęła w eksplozji schronu przy Parham Road. Jednocześnie śledziła w prasie wezwania do poszukiwań chłopczyka z Suffolk Place, ale nigdy nie powiązała tych dwóch wątków. Dziwnie, szczególnie że nazwisko zapadało w pamięć. Jednak tu i teraz stała przed nią dziewczyna podająca się za matkę zaginionego niemowlęcia, a zarazem lokatorka w mieszkaniu Maggie Peterson.

– Wszystko się wyjaśni, gdy ją odnajdziemy – powiedziała Vera. – Wspominała pani o wiejskim pubie w okolicach Exeter. Czy pamięta pani jakieś szczegóły? Nazwę miejscowości? Uprzedzam, że w tej sprawie toczy się dochodzenie.

– Co za wstyd! – szepnęła Stella. – Czy to naprawdę konieczne? Jestem pewna, że to jakieś fatalne nieporozumienie.

– Tym szybciej się upewnimy.

– Nie mogę uwierzyć, że przywłaszczyłyby sobie cudze dziecko.

– Naprawdę nie wie pani, gdzie jej szukać?

– Owszem. Nie mam zwyczaju kłamać. – Stella nie kryła urazy.

– Przepraszam. To po prostu moja jedyna szansa.

– Ja również przepraszam – rzekła Stella sztywno – lecz nie sądzę, bym mogła coś dla ciebie zrobić.

– Niewykluczone, że zawita do pani policja – ostrzegła Vera.

– Takie ich zadanie – odparowała Stella. – Usłyszą to samo co ty. Proszę, zamknij drzwi, kiedy wyjdiesz.

Vera z trudem podniosła się z miejsca i przecięła dom. Była na siebie zła. Nie pozyskała żadnych informacji, a przy okazji obraziła panią Todd, która wcześniej okazała jej życzliwość.

W oddali zamajaczyła strzelista postać zmierzająca ku niej w górę zbocza. Vera poczuła, że się uśmiecha.

**M**u wyglądała jak duch. Źle spała od śmierci Patricka. Nocami zapadała w letarg na granicy jawy i snu przy zapalonym świetle, bojąc się zamknąć oczy, by z głębi świadomości nie wychynął znajomy koszmar. Znajdowała się w morzu, słaba i zziębnięta, a coś w dole szarpało ją za nogi. Im bardziej wierzyła, tym trudniej było jej utrzymać głowę nad powierzchnią. Wzywała Patricka, lecz jej wołanie ginęło bez odpowiedzi. Budziła się zlaną potem w splątanej pościeli.

Błada twarz i podkrążone oczy nie umknęły uwadze siostry Brock. Przełożona obserwowała młodą pielęgniarkę czujnie, bo choć nie wiedziała o Patricku, podejrzewała u dziewczyny stres pourazowy w związku z rodzinnym dramatem.

Muriel wróciła na nocną zmianę. Zwykle potrzebowała kilku dni, by się przyzwyczaić, lecz tego ranka zaraz po dyżurze wybierała się na Marden Road. Mimo własnych trosk czuła się w obowiązku podtrzymać siostrę na duchu po wizycie Andy'ego Sharpe'a.

Lecz jeszcze przed bramą szpitala dziewczynę opadło takie zmęczenie, że nawet sto metrów dzielące ją od internatu zdało się nie do przebycia. Musiała odpocząć, zanim przyda się na cokolwiek. Skręciwszy w boczną uliczkę, przed wejściem do internatu dostrzegła cień mężczyzny opartego o ścianę po drugiej stronie ulicy. W pierwszym odruchu serce jej zabiło, lecz szybko spuściła wzrok. „Wciąż się łudzę, że któregoś dnia będzie tu czekał jak zwykle – pomyślała z bólem. – Przez to zaczynam widzieć go na każdym kroku”.

Tymczasem postać opuściła swoje stanowisko pod murem, ruszając jej na spotkanie.

– Witaj, najdroższa Mu. Tak się za tobą stęskniłem.

Przez ułamek sekundy dziewczyna sądziła, że świadomość płata jej figle, nim znalazła się w jego pożądlivych ramionach, tulona i całowana do utraty tchu. Długo nie mogli się od siebie oderwać, jakby w lęku, że jednym nieopatrzonym gestem lub słowem spłoszą cudowny sen.

– Nie na ulicy, wystraszyście konie – zagderała przechodząca kobieta.

Młodzi parsknęli śmiechem, by za jej plecami w jednej chwili znów do siebie przyłgnąć.

– Nie wierzę... – szepnęła Mu. – Jak to możliwe? Twój rodzice myślą, że nie żyjesz.

– Już nie. Rozmawiałem z nimi wczoraj przez telefon.

– A do mnie nie zadzwoniłeś?

– Niby jak bez adresu? Przymierzałem się do wędrówki po wszystkich szpitalach w Plymouth, lecz trafiłem za pierwszym strzałem. – Żołnierz wsunął sobie dłoń wybranki pod ramię. – Chodźmy na śniadanie.

Mu nagle zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy od dawna marzy o jedzeniu, a wielodniowe zmęczenie przysło jak ręką odjął.

W milczącej bliskości podjęli marsz ulicami, aż skusiła ich portowa kawiarnia pełna robotników po nocnej zmianie. Zajęli stolik na uboczu i zamówili grzanki, lecz żadne z nich nie potrafiłoby stwierdzić,

co w danej chwili żuje, zbyt pochłonięte nieustannym sprawdzaniem, czy drugie nadal jest obok.

– Ciągłe nie mogę uwierzyć – powiedziała Mu. – W jaki sposób wyszedłeś z tego bez szwanku?

– Miałem mnóstwo szczęścia. W przeciwieństwie do wielu kolegów.

– Twój ojciec pisał, że próbowałeś im pomóc, zanim prąd zniósł cię w głąb morza.

– Chwała Bogu, ktoś wypatrzył mnie w nocy i wciągnął na tratwę. Nie wytrzymałbym wiele dłużej w lodowatej wodzie. – Patrick ujął dłoń dziewczyny ponad stołem. – Ale to już za nami. Wróciłem i mam dwa tygodnie urlopu, nim przydzielą mnie do innej jednostki. Chcę porozmawiać o nas.

Dziewczyna najpierw opowiedziała mu wszystko, co wydarzyło się w Plymouth.

– Niesamowita historia – rzekł na koniec. – I sądzicie, że to ten sam chłopiec?

– Na to wyglądało, dopóki śledczy nie potwierdzili tożsamości jej syna, cofając nas do punktu wyjścia. – Muriel uściśniła dłoń ukochanego. – Wybacz, że nie odpisywałam na twoje listy. Przechowywałam je bez otwierania, bo sądziłam, że tak będzie łatwiej. – Zerknęła na mężczynę nieśmiało. – W efekcie usychałam z tęsknoty, a nie miałam odwagi ich zniszczyć. To była istna udręka, lecz akurat gdy postanowiłam je przeczytać, dostałam wiadomość od twojego ojca... – Wzruszenie chwyciło ją za gardło, a spod rdzawych rzęs wymknęły się łzy.

– Skarbie! – Patrick delikatnie musnął jej policzek. – Już dobrze, nic mi nie jest. Niejaki Alfred Dixon prawie wyzionął ducha, bym do ciebie wrócił, a ty płaczesz!

Gwar dookoła wzmógł się z przybyciem nowych klientów, więc oficer zapłacił i powiódł Muriel na pobliski skwerek z sadzawką i muszlą koncertową, które jakimś cudem ocalały. Z ławek na wzniesieniu rozpościerał się widok na morze. Młodzi usiedli w słońcu ze splecionymi dłońmi, rozkoszując się swoją bliskością. Pierwszy odezwał się Patrick, zapatrzony w dal.

– Wiesz, że cię kocham, Mu. – To nie było pytanie, lecz dziewczyna skinęła głową, podążając za jego wzrokiem.

– Tak.

– A czy ty mnie kochasz?

To z kolei domagało się odpowiedzi, która padła bez chwili namysłu.

– Tak.

Żołnierz dopiero teraz odważył się spojrzeć jej w oczy.

– Zanim znowu wypłynę?

– Tak.

– Litości, najdroższa, czy mogłabyś wyrażać się jaśniej?

– A co tu wyjaśniać? – przekomarzała się Mu. – Tak, kocham cię. Tak, wyjdę za ciebie. Tak, przed twoim odjazdem.

– Uff, to się dobrze składa, bo wydałem majątek na licencję w trybie ekspresowym.

– Jak to? – zdumiała się Mu.

– Wolałem się zabezpieczyć, na wypadek gdybym dostał tylko czterdzieści osiem godzin na znalezienie panny młodej. A przyznali mi całe dwa tygodnie!

Dziewczyna zamknęła mu usta gorącym pocałunkiem.

– Nie rozmyślisz się? – zapytał, nie wypuszczając jej z objęć.

– Patrick... – westchnęła Mu. – Gdybyś tylko mnie widział. Świat mi się zawałił. Nie mogłam sobie darować, że straciłam jedyną szansę, aby z tobą być.

– A teraz?

– A teraz nie zamierzam stracić ani chwili. Wojna jeszcze się nie skończyła, w każdej chwili może zabrać któregoś z nas. I dlatego pragnę chwycić szczęście, choćby tylko przez dwa tygodnie.

Patrick przygarnął ją mocniej, zanurzając twarz w kasztanowych włosach.

– Moja jedyna... – wymruczał, gdy pierś owiał mu ciepły oddech jej śmiechu.

– Tak jest. Pamiętaj o tym.

– Do końca życia.

– Nie chcę myśleć o końcu. – Mu się wzdrygnęła. – Szkoda na to czasu.

– Jeszcze mała formalność.

Marynarz wydobyl puzderko, które nosił przy sobie od tamtego ranka w hotelu. Miał je również w kieszeni podczas długich godzin w Atlantyku, czego niestety nie dało się ukryć.

– Zechcesz go nosić, Muriel?

– Oho! Skoro „Muriel”, to żarty się skończyły!

– Żebyś wiedziała! – Mężczyzna wsunął pierścienek na palec narzeczonej i ucałował jej dłoń. – Chodźmy zobaczyć się z twoim ojcem.

Młodzi zatonęli w zmysłowym pocałunku, nie mogąc się sobą nasycić, zanim odurzeni ze szczęścia ruszyli na Marden Road.

Od progu powitała ich podekscytowany pisk Very, która nie zważając na oficera marynarki za plecami siostry, rwała się przedstawić ostatnie rewelacje w sprawie poszukiwań.

– Akt urodzenia nic nie znaczy! – wypaliła, płonąc z emocji. – Wszystko, co mówiła, to bujda! Andy sprawdza jeszcze historię babci z Londynu, choć w końcu nie wiadomo, czy chodziło o matkę, czy o teściową tej całej Maggie, bo najwyraźniej każdemu wciskała inny blef.

– Zaraz, po kolei! – uciszyła ją Mu. – Jak to nic nie znaczy?

– W kuftrze, który zostawiła w piwnicy, znalazłam akt zgonu jej syna. Dziecko, z którym obnosi się od kwietnia, to nie Roger!

Mu nadążała z trudem, szczególnie że jej myśli zaprzętały pilniejsze sprawy.

– Gdzie tata?

– Jeszcze nie wrócił. Andy obiecał zrobić gruntowne rozpoznanie, by ustalić, dokąd wyjechała...

– Vera! – przerwała jej Muriel ostro. – Czy możesz trochę spuścić z tonu?

Wzrok dziewczyny przygasł.

– Myślałam, że się ucieszysz. Nie było cię od trzech dni, więc chciałam, żebyś wiedziała – wyjąkała z nadęsaną miną.

– Już wiem. Więc bądź tak miła i pozwól mi dojść do słowa.

– Proszę bardzo – odparła Vera impertynencko. – Co takiego jest ważniejsze niż Freddie?

Mu chciała w pierwszej kolejności narodzić się z ojcem lub powiedzieć obojgu naraz, ale wypadało przedstawić Patricka, który do tej pory obserwował całą scenę z boku. Nim jednak zdążyła otworzyć usta, drzwi wejściowe trzasnęły i do pokoju wszedł David.

– Witaj, Mu! – uradował się na widok córki. – Dawno nie zaglądałaś. Zaczynałem się niepokoić.

– Niepotrzebnie. – Mu podniosła na ojca roziskrzony wzrok. Wyciągnęła dłoń do narzeczonego, który zajął miejsce u jej boku. – Pamiętasz Patricka, tato?

– Dzień dobry. – Młodzieniec stuknął obcasami i wymienił z Davidem uścisk dłoni.

– Miło znów pana widzieć, podporuczniku.

– Kto to? – chciała wiedzieć Vera.

- Jestem narzeczonym twojej siostry – odrzekł Patrick z prostotą. – Przyszedłem prosić o jej rękę.
- Chce się pan ożenić z Mu? – Vera nie wierzyła własnym uszom.
- Cóż, obawiam się, że jeżeli szybko tego nie zrobię, ktoś inny mnie ubiegnie. – Oficer przeniósł wzrok na ojca ukochanej. – Za pańskim pozwoleniem, chcielibyśmy się pobrać w ciągu najbliższych dni. Mam dwa tygodnie urlopu i licencję na zawarcie małżeństwa.
- Czyli nie czekał pan na moją zgodę? – podchwycił David.
- Jego okręt zatonął tydzień temu, a Patrick jako jeden z nielicznych cudem się uratował – dodała Mu błagalnie. – Chcemy spędzić razem każdą wolną chwilę.
- Jesteś dorosła, skarbie. Nie potrzebujesz mojego przyzwolenia.
- Nie proszę o przyzwolenie, lecz o błogosławieństwo.
- David od dawna nie widział takiego blasku w oczach córki.
- Masz je, moja droga. Życzę wam obojgu dużo szczęścia.
- Mu rzuciła się ojcu na szyję, a Vera zmarszczyła brwi.
- Wygląda na to, że tylko ja nic o panu nie wiem – rzekła do Patricka.
- To się szybko zmieni – zapewnił żołnierz solennie.

Tego samego wieczoru Mu wyznała wszystko siostrze Brock.

– I nie wspomniała pani słowem o śmierci narzeczonego?

– Nie mogłam. Nie zniósłabym współczucia.

– Opatrzność chyba nad panią czuwa. Nie dalej jak wczoraj rozmawiałam z naczelną. Od pewnego czasu chodziła pani jak struta i zaczęłam się niepokoić. Oczywiście wówczas nie wiedziałam, z jakiego powodu. W każdym razie uzgodniłyśmy, że przydałyby się pani dwa tygodnie urlopu dla nabycia sił. – Naczelną wprawdzie wyraziła zgodę tylko na jeden tydzień, lecz ani ona, ani Muriel Shawbrook nie musiały wiedzieć, jak siostra Brock koordynuje pracę na swoim oddziale. – W obecnym stanie marny z pani pożytek. Proszę się przewietrzyć i nabrać energii, by za dwa tygodnie wrócić do pacjentów w pełni formy.

– Tak jest, siostrzeczko oddziałowa – wyszeptła Mu.

– Wobec tego życzę miłego wypoczynku.

– Jak to? Od razu?

– Mam czekać, aż pani zemdleje z wycieńczenia?

W ciągu kolejnych dni poszukiwania Freddiego zeszyły na dalszy plan. Andy uprzedził Verę, by uzbroiła się w cierpliwość, nim policyjne śledztwo wyjaśni sytuację rodziny Petersonów.

– Bez obaw, inspektor Droy powierzył mi dochodzenie – zapewniał. – Próbujemy skonfrontować wersję pani Peterson z jej bliskimi.

Czekając na postępy, Vera nie mogła zrezygnować z udziału w przygotowaniach do ślubu. Wszystko było robione na łapu-capu, lecz nikt się tym nie przejmował. Marzenia o szumnej ceremonii już dawno wywietrzały młodym z głowy, a w obecnych okolicznościach wydawały się wręcz niestosowne. Rodzice Patricka nie mogli przybyć z Glasgow, lecz jego brat Neil sobie tylko znanymi metodami zdołał uzyskać przepustkę, by stawić się w roli świadka. Każde z nich inaczej wyobrażało sobie ten mityczny dzień, lecz zgodzili się, że w danej sytuacji odwołanie uroczystości nie miało żadnego sensu.

Tym sposobem pewnego dnia w środku lata Mu, w towarzystwie ojca i siostry, wysiadła z taksówki przed urzędem stanu cywilnego na spotkanie braci Davenhamów. Miała na sobie tylko prostą kremową sukienkę z czekoladowymi dodatkami i kapelusik z piór na upiętych nad karkiem włosach. Była bez welonu, za to w dłoniach ścisnęła wiązaną żółtych róż na znak pamięci o mamie. To plus blask szczęścia w jej oczach wystarczyły, by Patrick poczuł się wybrańcem losu. Sam też prezentował się niczego sobie w nowiutkim uniformie – w zamian za ten, który spoczął na dnie Atlantyku – co potwierdził wyraz szczerzego zachwytu w oczach oblubienicy.

U szczytu schodów David przekazał dłoń córki oficerowi i cała piątka śmiało wkroczyła do środka, czując za sobą korowód nieobecnych.



Kwadrans później państwo Davenhamowie oraz trójka ich gości udali się na bankiet w Anchor, ulubionym pubie Davida. Ten ostatni skrzętnie odsunął wszelkie bolesne myśli na dno serca. Mimo żalu, że Nancy nie może z dumą dzielić weselnej radości ich najstarszej córki, nie mógł pozwolić, aby jego smutek przesłonił dziewczynie to wyjątkowe święto. Widok tryskającej szczęściem młodej pary upewnił go w słuszności wyboru Mu. Przystojny i szarmancki Patrick ewidentnie świata poza nią nie widział, co jego jako ojca napawało spokojem i satysfakcją. „Będzie pod dobrą opieką”, zapewnił David żonę w niebiosach.

Po posiłku Neil wyruszył na poszukiwanie wrażeń w śródmieściu, a David i Vera autobusem wrócili do domu, podczas gdy państwo młodzi, odebrawszy swój skromny bagaż na zapleczu, udali się w podróż poślubną pociągiem do Exeter, skąd taksówka dowiozła ich przed drzwi wiejskiego hoteliku pod szyldem Queen Adelaide.

Mu z przyjemnością patrzyła, jak Patrick wpisywał na listę gości podporucznika Davenhama z żoną, zanim zaproszono ich do małżeńskiego apartamentu. Już sama nazwa wywołała u dziewczyny rumieniec, lecz pan młody bez skrępowania zamówił butelkę szampana i dwa kieliszki do pokoju.

– Za nas – wznosił toast, gdy zostali sami. – Nie chcesz w końcu zdjąć tych kretyńskich piórek i rozpuścić włosów?

– Ty to zrób – odparła Mu miękko.

Vera z niecierpliwością wyglądała wieści od Andy’ego Sharpe’a, którego inspektor Droy tym razem osobiście wysłał do Londynu w celu zebrania pełnej dokumentacji na temat Petersonów. Po dwóch dniach przetrząsania archiwum w Somerset House posterunkowemu udało się ustalić, że rodzice Colina od dawna nie żyją, a zaledwie przed rokiem zmarła też matka Maggie. Ojciec jakby nie istniał. Śledczy na próżno szukał jego nazwiska w rozmaitych aktach, nim w końcu dał za wygraną, zakładając, że nie byłby to pierwszy kandydat do opieki nad niemowlęciem przez wiele miesięcy. Misja policjanta zatem dodatkowo podważyła wersję Maggie w odniesieniu do pomocnej babci, ale w żaden sposób nie pomogła wskazać możliwego miejsca pobytu poszukiwanej.

– Trzeba będzie poczekać, aż wróci – oznajmił posterunkowy, gdy swoim ostatnim zwyczajem zajrzał do Shawbrooków po służbie. Vera, która z ekscytacją witała jego cowieczorny dzwonek, nie kryła rozczarowania efektami śledztwa w stolicy.

– A jeżeli nigdy nie wróci? – wykrzyknęła.

– Bez obawy – zapewnił policjant. – Jest właścicielką tego domu, nie może sobie pozwolić na utratę takiego kapitału.

– Powinieneś odwiedzić panią Todd – powiedziała Vera. – Była na tyle blisko z tą całą Maggie, że moim zdaniem coś musiało obić jej się o uszy, tylko nie widzi związku. Może w ramach oficjalnego przesłuchania wykazałaby więcej dobrej woli.

Andy miał wątpliwości, lecz na wszelki wypadek i by nie drażnić Very, udał się pod numer pięćdziesiąty trzeci kilka domów wyżej.

Stella rozpoznała posterunkowego, który poprosił ją o wsparcie dla Maggie po śmierci sierżanta.

– Naprawdę ukradła dziecko tej dziewczyny? – wyszeptęła. – Nie do pomyslenia.

– Wszystko na to wskazuje – odparł funkcjonariusz. – Nie wiadomo, czy chodzi o syna Very Shawbrook, lecz na pewno pani Peterson ma pod opieką cudze niemowlę. Trzeba jak najszybciej ją znaleźć i liczyć, że pani mi w tym pomoże.

– Powiedziałam już wszystko, co wiem – westchnęła Stella ze znużeniem. – Podobno dostała posadę z zakwaterowaniem w wiejskim pubie w pobliżu Exeter.

– Nie wymieniła nazwy?

– Po raz kolejny: nie.

– Nie zastanowiło to pani?

– Wtedy nie, choć teraz to rzeczywiście wygląda, jakby chciała zatrzeć wszelki trop.

– W jaki sposób dowiedziała się o tej ofercie?

Stella wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia. Pewnie z ogłoszenia lub pocztą pantoflową. Chociaż nie wiem, kto poinformowałby akurat Maggie, skoro od miesięcy żyła jak odludek.

– Prenumerowała dzienniki? Prasę lokalną?

– Nie. Czasami brała ode mnie „Western Morning News” po przeczytaniu dla rozwiązania krzyżówek.

– Kiedy ostatni raz pożyczyła jej pani gazetę?

– Nie wiem... – Kobieta potarła oczy. – Jakież dwa, trzy tygodnie temu.

– Być może w ten sposób trafiła na ogłoszenie – zasugerował Andy.

– Niewykluczone. Mnie o tym nie wspomniała.

Dalsze przesłuchanie ewidentnie miało się z celem, lecz wątek gazety otwierał nowe pole do działania. Warto było przejrzeć ogłoszenia w prasie ze szczególnym uwzględnieniem pubów pod Exeter.

Andy wolał na razie nie rozpalać wyobraźni Very. Kto wie, czy inspektor Droy zechce podążyć tym tropem, a gdyby nie, posterunkowemu mogło braknąć czasu na tak mrówczą pracę po godzinach. Następnego wieczoru jednak przyszło mu do głowy, że Vera mogłaby sama się tym zająć przy odrobinie dobrych chęci.

– Dlaczego nie pójdziesz do biblioteki poszukać podobnych ofert w „Western Morning News” z ostatnich tygodni?

Dziewczyna skrzywiła usta.

– Policja nie może tego zrobić?

– Owszem, ale twoja sprawa nie jest jedyną, jaką się zajmujemy, więc możesz czekać i się żołądkować lub sama sobie pomóc.

– Oszczędź mi złośliwości.

– Zrozum, że do odnalezienia pani Peterson będzie trzeba mnóstwo pracy i szczęścia, jeżeli celowo się ukrywa.

Następnego dnia Vera udała się do biblioteki, gdzie wnikliwie przestudiowała archiwalne numery porannego kuriera. W natłoku drobnych ogłoszeń, nowych każdego dnia, nie znalazła nic na temat zatrudnienia w pubie i godzinę później wciąż nie poczyniła ani jednej notatki w specjalnie przygotowanym na ten cel brulionie.

– Jutro pójde znowu – zapewniła Andy’ego wieczorem. – Choć to śmiertelnie nudne!

– Oby tylko na coś się zdało.

Nowożeńcy spędzili upojne dwa dni w Queen Adelaide, lecz nie mogli sobie pozwolić na dłuższy pobyt. Pogoda dopisywała, więc pierwszego ranka wybrali się na przechadzkę po Exeter, by następnie autobusem wyskoczyć za miasto, gdzie urządzili sobie piknik, po czym spacerowali wśród wrzosowisk, bezgranicznie szczęśliwi w swoim towarzystwie.

– Zapisuję w pamięci każdy szczegół – powiedziała Mu, przebudziwszy się w ramionach męża drugiego poranka. – Cokolwiek nas czeka, nikt już nie odbierze nam wspomnień tych cudownych dni.

– I nocy – uzupełnił Patrick.

– I nocy – przyznała dziewczyna ze śmiechem.

Patrick przygarnął ją ciasniej z ustami na jej szyi.

– Co powiesz na jeszcze jedno wspomnienie do kolekcji, zanim zjeździemy na śniadanie? – wymruczał przeciągle.

Pocałunek, jaki otrzymał, wystarczył za całą odpowiedź.

Po południu pociągiem wrócili do Plymouth, na stację, którą Patrick wynajął dla siebie po przyjeździe. Gospodyni z rozrzewnieniem powitała świeżo upieczoną małżonkę przystojnego oficera marynarki, przystroiwszy nawet pokój młodej pary kwiatami.

Mu była szczerze ujęta, czemu wielokrotnie dała wyraz w podziękowaniach.

– Niechże i ja się przy was poraduję – odparła kobieta z uśmiechem. – Ten dom nie widział panny młodej, odkąd świętej pamięci pan Dunbar przetaszczył mnie przez ten próg w tysiąc dziewięćset trzynastym roku. Mam nadzieję, że przyniesie wam tyle samo szczęścia co mnie.

Na Marden Road oprócz Very zastali również Davida.

– Zamieniłem się z kimś w strażnicy, aby zostać z wami dziś wieczorem – wyjaśnił.

– Przygotować kolację? – zaproponowała Mu.

– Ty masz miesiąc miodowy – zdecydował ojciec. – Vera może szybko coś upichcić.

Na widok miny młodszej siostry Mu pojednawczo dorzuciła:

– Chodźmy razem.

Domowa spiżarnia ziała pustkami, więc Muriel najpierw skoczyła do pawilonów na rogu, by pół godziny później triumfalnie położyć na kuchennym stole kawałek wątróbki zawinięty w papier, dwie cebule, ziemniaki i marchewkę.

– Proszę bardzo. Zrobimy gulasz, palce lizać. Obierz ziemniaki, a ja pokroję cebule.

Vera bez entuzjazmu sięgnęła po ostry nóż na stojaku w zlewie.

– Masz drugi dla mnie? – zapytała Mu.

– Zajrzyj do szuflady.

Mu zaczęła grzebać w masie kuchennych utensyliów, nim wydobyla z głębi mały kozik, do którego przywarł skrawek gazety. Dopiero drugi rzut oka uświadomił jej, że to wycinek kolumny ogłoszeń,

i z uwagą przestudiowała zakreślony ołówkiem fragment.

– Vera, pozwól na chwilę.

– Co to? – Dziewczyna skwapliwie odłożyła na wpół obranego ziemniaka, aby zerknąć na podany świsstek. Chwilę potem kuchnię wypełnił jej przeraźliwy krzyk.

– Co się stało? – zapytał David, przerywając rozmowę z zięciem.

– „Zatrudnię uczciwą i pracowitą panią do pomocy w utrzymaniu ziemskiego majątku. Zakwaterowanie na terenie posesji plus wynagrodzenie do uzgodnienia – przeczytała Vera. – Bridger, »Western Morning News«, skrzynka pocztowa A dwieście czterdzieści trzy”. Tam pojechała Maggie Peterson!

– Możliwe – rzekł David z rezerwą.

– Na pewno! Po co trzymałaby wycinek w szufladzie? Teraz ją dopadniemy!

– Nie podają adresu posiadłości – zauważył Patrick celnie.

– W redakcji będą wiedzieć, kto korzysta z tej skrzynki – odparowała Vera w uniesieniu.

– Lecz nie muszą nam tego wyjawić – uświadomił jej ojciec.

– Jak to?

– Tego typu treści uznaje się za poufne – poparł teścia Patrick.

– Pilnuj swojego nosa! – prychnęła dziewczyna obcesowo. – Nie tobie porwano syna.

– Mimo to ośmielałem się wątpić, by udostępniali dane osobowe ogłoszeniodawców na życzenie – rzekł Patrick, niewzruszony.

– To poproszę Andy’ego, by im kazał!

Mu spojrzała na siostrę.

– Jeszcze raz odezwiesz się do Patricka w ten sposób, a zostaniesz sama ze swoją kolacją – powiedziała miękko.

– Przepraszam – burknęła dziewczyna bez wyraźnej skruchy. – Po prostu od tak dawna nie mieliśmy żadnego tropu!

– Wyobrażam sobie, że to frustrujące – przyznał Patrick.

Siostry wróciły do szykowania potrawy, przy czym Vera wciąż kipiała z emocji.

– Na pewno tam jest. Niepotrzebnie ślęczałam w bibliotece, podczas gdy ogłoszenie leżało sobie w domu.

Po kolacji młodzi zaczęli się żegnać, gdy do drzwi zastukał Andy Sharpe. Ledwie przekroczył próg, a Vera dopadła go z krzykiem.

– Wiemy, gdzie jest! Ta cała Maggie zatrudniła się w jakiejś wiejskiej posiadłości! Możemy odebrać jej Freddiego!

– Sekundę. – Andy oganiał się od niej jak od natrętnego szczeniaka. – Wyłumacz powoli.

Całe towarzystwo wróciło więc do salonu, gdzie Vera opowiedziała o kokiku w szufladzie.

– Wystarczy zapytać w redakcji, kto zamieścił anons – podsumowała z triumfem.

– To nie takie proste...

– Dlaczego?

– Chciałbym dokończyć, jeżeli pozwolisz.

Vera rzuciła gościowi mordercze spojrzenie, lecz niechętnie zamilkła.

– Nie mamy prawa żądać od gazety danych jej klientów – podjął Andy. – To kwestia etyki zawodowej.

– Etyka pozwala im ukrywać porywaczkę mojego dziecka?!

– Bynajmniej, złotko. W takich przypadkach stosuje się specjalne procedury – wyjaśniał Andy cierpliwie. – Jeżeli redakcja nie wyrazi zgody, potrzebny będzie nakaz sądowy. Zapytam przełożonych, w jaki sposób szybko zdobyć taką informację, zgoda?

Dziewczyna żałośnie kiwnęła głową. Andy z całej duszy chciałby obiecać więcej lub chociaż objąć Verę na pocieszenie, gdyby nie obecność pozostałych. Znając temperament dziewczyny, wiedział, że nie zadowoli jej tempo oficjalnych czynności. Powziął więc inny pomysł, lecz zdecydowanie zbyt nieprzepisowy, by zdradzać się z nim przed kimkolwiek. Rozglądając się po pokoju, spostrzegł nieznaną twarz i tym bardziej pogratulował sobie przezorności.

Mu zauważyła jego spojrzenie.

– To mój mąż, podporucznik Davenham – oznajmiła z wyraźnym ukontentowaniem. – Patrick, to posterunkowy Sharpe, który prowadzi poszukiwania Freddiego.

– Proszę dać znać, gdybym mógł w czymś pomóc – zaoferował Patrick, ściskając dłoń policjanta. – Mam przepustkę do końca przyszłego tygodnia.

Andy przyjrzał mu się z namysłem. W przypadku powodzenia jego planu pomoc oficera i Muriel mogła faktycznie się przydać.

– Dziękuję. – Skinął głową. – Gdzie można państwa znaleźć?

– U pani Dunbar, przy Elm Street czterdzieści trzy.

– Słyszałeś, że powiedział do niej „złotko”? – zapytała Mu w drodze do ich małżeńskiego gniazdka.

– Tak, a nie powinien? – zdziwił się Patrick. – Sądziłem, że są po słowie.

– Nie miałabym nic przeciw temu – wyjawiała Muriel. – Vera potrzebuje dyscypliny, a on najwyraźniej potrafi przemówić jej do rozsądku.

– Nie jest trochę za młoda na stały związek?

– Nie ma jeszcze dziewiętnastu lat, a już napytała sobie biedy. Kto lepiej utrzymałby ją w ryzach niż stróż prawa?

– Myślisz, że jest w niej zakochany? – spytał Patrick. – Na mój gust wydaje się nieco nadpobudliwa.

– Zawsze taka była. Mam nadzieję, że z tego wyrośnie – powiedziała Mu w zamyśleniu. – Zwłaszcza przy kimś, na kim będzie jej zależało.

Patrick wolał nie zdradzać swoich wątpliwości w tym zakresie. Zamiast tego ujął żonę za rękę i powiódł ją na piętro willi pani Dunbar. Tego wieczoru żadne z nich więcej nie pomyślało o Verze.

Ku rozczarowaniu Very Andy pożegnał się wkrótce po wyjściu młodych. Wziął wycinek i obiecał podjąć próbę dotarcia do zleceniodawcy ogłoszenia. Dziewczyna tymczasem, pochwycawszy czule słówko w rozmowie, liczyła na romantyczne sam na sam, gdy David pójdzie spać. Ten jednak, nie w ciemną bity, nigdzie się nie wybierał.

Po wyjściu od Shawbrooków Andy wyruszył na obchód okolicznych pubów. Nos i tym razem go nie zawiodł. Keith Lane, dziennikarz „Western Morning News”, sączył whisky przy barze w Golden Lion.

– Na drugą nóżkę? – zaproponował funkcjonariusz po powitaniu.

– Nie odmówię. – Keith wychylił swoją szklankę do dna i skinął na barmana.

Andy poprosił o piwo.

– Usiądziemy?

Dziennikarz podążył za nim w kąt sali, do wolnego stolika na uboczu.

– Co jest? – zapytał, pociągając łyk.

Andy postanowił zagrać w otwarte karty.

– Pamiętasz publikacje sprzed kilku tygodni na temat rodziny poszukującej niemowlęcia, które ktoś uratował z ruin ich własnego domu po nalocie w kwietniu?

– Jasne. Nie co dzień słyhać o ludziach, którzy polecieli do schronu bez dziecka.

– Tak, ale nie w tym rzecz. Jestem na tropie osoby, która wzięła chłopca i nie chce go oddać.

– Masz na myśli uprowadzenie? – ożywił się Keith. Zaginione dziecko w czasach wojny nie budziło sensacji, lecz historia pościgu za porywaczem niemowląt kryła w sobie zgola inny potencjał. – Co oferujesz?

– To zależy od ciebie – rzekł policjant z uśmiechem. – Coś za coś.

– Rozumiem – rzekł Keith nieufnie. – Czego byś oczekiwał?

Andy opowiedział mu o ogłoszeniu w gazecie.

– Potrzebne mi nazwisko i adres osoby korzystającej z tej skrzynki.

– Rozumiem – powtórzył Keith. – A co ja będę z tego miał?

– Gorący temat na wyłączność. Dam ci cynk w chwili aresztowania. Resztę zostawiam tobie, chociaż wdzięczna matka powinna zgodzić się na jeden ekskluzywny wywiad.

– Sprytnie to wymyśliłeś.

– Chcę znaleźć tego smyka – rzekł Andy. – Oczywiście moglibyśmy wystąpić do sądu o nakaz ujawnienia danych, ale to może się ślimaczyć, a gdyby porywaczka coś zwęszyła, gotowa przepaść na dobre.

– Czyli to kobieta?

– Na to wygląda – przyznał Andy. – Słuchaj, ważne, aby dzieciak jak najszybciej wrócił do domu, okej?

– Okej. Ale chcę być pierwszym poinformowanym.

– Będziesz – obiecał funkcjonariusz.

– I ani słowa o tym, jak namierzyłeś porywaczkę, bo słono za to beknę – zastrzegł Keith.

– Spokojna głowa – odparł Andy pogodnie. – Jeszcze po maluchu?

Następnego wieczoru po służbie Andy ponownie znalazł dziennikarza przy barze w Golden Lion.  
 – Jedno jasne z kija i dolewkę dla mojego kolegi – zwrócił się do barmana, wskazując pustą szklaneczkę po whisky obok Keitha.

Zabrali drinki do tego samego stolika co dzień wcześniej.

– Masz? – zapytał śledczy, gdy każdy z nich zwilżył usta.

Keith wyjął z kieszeni kartkę, lecz nie od razu wręczył ją posterunkowemu.

– Gwoli przypomnienia: jestem pierwszym i jedynym, któremu dasz znać przed finałem sprawy – zastrzegł.

– Tak jest, nic się nie zmieniło. – Andy utkwiał w rozmówcy czujny wzrok. – Tylko nie próbuj sam zgrywać detektywa. Zacznesz węszyć na własną rękę, a całe dochodzenie weźmie w łeb.

Keith Lane, który właśnie miał taki zamiar, spojrział na niego z urazą. Aczkolwiek cenił sobie współpracę z Andym Sharpem, który nieraz dostarczył mu materiału na pierwszą stronę. Warto było przystać na jego warunki dla przewagi nad konkurencją.

– Bez obaw. Śledztwo zostawiam specjalistom – rzekł, przekazując notkę policjantowi.

Pożegnali się uściskiem dłoni na znak porozumienia.

Andy zrezygnował z wizyty na Marden Road, gdyż dalsza część jego planu wymagała udziału siostry Very z mężem. Szczęśliwym trafem, dotarliśmy przed dom pani Dunbar, natknął się na nowożeńców na ulicy, gdy objęci nieśpiesznie wracali z kina.

– Dobry wieczór – przywitał się funkcjonariusz.

– Witam, panie posterunkowy! – Mu nie kryła zaskoczenia.

– Czy mógłbym zająć państwu krótką chwilę?

– Nie wiem, czy wolno nam zapraszać gości – rzekła dziewczyna z wahaniem.

– Mniejsza z tym. Chodźmy do Anchor – zaproponował Patrick.

Zawrócili więc w dół ulicy, by chwilę później usadowić się przy stoliku w nastrojowym wnętrzu. Czekając, aż Patrick przyniesie napoje, Mu poczuła narastające napięcie, a gdy mąż usiadł i wspólnie pociągnęli pierwszy łyk, z obawą zerknęła na świstek papieru w dłoni policjanta.

– Znam adres i nazwisko osoby, która zamieściła ogłoszenie – oznajmił Andy.

– Skąd? – zdumiała się Mu.

– Nie sądzę, by pan posterunkowy chciał podzielić się z nami akurat tą informacją – rzekł Patrick z uśmiechem.

– W rzeczy samej – przytaknął śledczy. – Chodzi o majątek w miejscowości Martindell w okolicach Exeter, zamieszkaną przez pułkownika Bridgera.

– I co? Pojedziecie tam ją aresztować?

– Żadnych spektakularnych posunięć, zanim wszystko się nie potwierdzi – ostrzegł Andy. – Musimy chuchać na zimne. Nawet inspektor Droy o niczym nie wie, a przede wszystkim ani słowa Verze. Po co ma się nakręcać bez potrzeby.

– Więc co pan zamierza? – zaciekawiał się Patrick.

– Skorzystać z pańskiej oferty. – Policjant spojrział mu w oczy. – O ile wciąż jest aktualna?

– Absolutnie. Jak możemy pomóc?

– Potrzebuję kogoś, kto pojedzie do Martindell sprawdzić sytuację w terenie.

– Na przespiesi?

– Nie całkiem. – Andy pokręcił głową. – Boję się, by czegoś nie wyczuła. Państwo nigdy jej nie poznali, prawda?

– Ja nie – zapewniła Mu.

– Ja tym bardziej – dorzucił Patrick.

– Świetnie, czyli mogą państwo pokręcić się tam incognito. W takim przypadku najlepiej przyjąć wersję najbliższą prawdy. Więc właśnie się państwo pobrali i chcą spędzić uroczy weekend na łonie przyrody. Proszę zajść do sklepu lub lokalnej gospody, coś przekąsić, a jednocześnie pogawędzić z obsługą, przespacerować się wokół dworu, w miarę możliwości pociągnąć za język jakiegoś sąsiada. Krótko mówiąc, trzeba się wywiedzieć, czy od kilku tygodni w posiadłości przebywa obca kobieta z dzieckiem. Dopiero wtedy służby mogą wkroczyć do akcji i sprowadzić ją na przesłuchanie. – Funkcjonariusz popatrzył na Mu. – Pozna pani chłopca?

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

– Chyba tak. Chociaż dawno go nie widziałam, przed bombardowaniem pracowałam w Portsmouth... – Zawiesiła głos, by po chwili bezradnie dokończyć: – Wątpię, by radykalnie się zmienił.

– Zatem gdy przyjdzie co do czego, poproszę panią o potwierdzenie jego tożsamości.

– Czy nie lepiej poprosić o to Verę?

– Wolałbym jej nie wtajemniczać, dopóki nie zyskamy stuprocentowej pewności, że chłopiec tam jest oraz że to Freddie. Nie mam ochoty po raz enty sprawić jej zawodu. – Andy objął spojrzeniem młodą parę. – Czy mogą na państwa liczyć?

Patrick zerknął na żonę z uniesioną brwią.

– Oczywiście – zapewniła Mu.

– Czyli postanowione. Jutro jedziemy pozwiedzać Martindell – podsumował Patrick.

– Będę czekał tu na państwa wieczorem – rzekł Andy. – I następnego dnia, gdyby jutro coś państwu wypadło.



**Z**ycie w Martindell okazało się tak łatwe i beztrudne, że nieomal nudne. Opieka nad niemowlęciem, szczególnie z pomocą Josie, nie sprawiała już Maggie takiej frajdy. Mały był rozkoszny, rzecz jasna, ale odkąd zaczął stawiać pierwsze kroki, wymagał ciągłej uwagi i nie wystarczyło już wsadzić go do kojca dla świętego spokoju.

Z Billem Mertonem łączyły ją teraz bardzo bliskie stosunki. Ogrodnik regularnie odwiedzał sąsiadkę przy okazji prac wokół dworu i wkrótce stało się jasne, że liczy na coś więcej. Maggie ze swej strony też nie mogła udawać, że w ciągu długich godzin po uśpieniu Rogera nie dręczy jej samotność. Któręś dnia wieczorną lekturę czasopism przerwało jej niespodziewane pukanie.

– Pomyślałem, że przyda nam się odrobina rozrywki. – Bill z nieśmiałym uśmiechem zaprezentował talię kart.

– Świetny pomysł! – ucieszyła się Maggie, otwierając drzwi na całą szerokość.

W kuchni okazało się, że oprócz kart rolnik nie omieszkiał zaopatrzyć się także w dwie butelki piwa. Gospodyni wyjęła szklanki i usiadła naprzeciw niego. Wyglądał dziwnie swojsko za stołem w jej niewielkiej kuchni, która jakby jeszcze się skurczyła pod wpływem jego barczystej postaci wyrzeźbionej przez lata pracy w polu. Trudno było uznać go za przystojnego, lecz ogorzała twarz z wesołymi bruzdami wokół oczu budziła sympatię i zaufanie. Gdy napełnił szklanki, Maggie zauważyła jego dłonie – krzepkie, nawykłe do wysiłku, o długich, solidnych palcach – i przez ułamek sekundy zapragnęła poczuć ich szorstki dotyk na policzku.

Spędzili razem tak przyjemny wieczór, że kobieta nieomal z żalem odprowadziła miłego gościa do drzwi.

– Nie ma mi pani za złe, że wpadłem bez zaproszenia? – zapytał na odchodnym.

– Nic podobnego! – odparła wdowa impulsywnie.

– Polecam się na przyszłość. Pewnie trochę się pani przykrzy na tym pustkowiu. – Z oczu Billa była życzliwość.

– To prawda – przyznała Maggie ku własnemu zdumieniu. – Bardzo chętnie.

Szykując się nieco później do snu, próbowała odgadnąć intencje sąsiada. Aż dotąd nie poczynił żadnego gestu wykraczającego poza przyjaźń. Raz tylko mimochodem wspomniał o powtórnym ożenku, lecz Maggie nie wzięła tego za aluzję pod swoim adresem. W zamyśleniu podeszła do archaicznej kołyski pożyczonej z dworu, skąd dobiegało błogie posapywanie.

Wieczorne odwiedziny szybko weszły Billowi w krew, a Maggie czerpała coraz większą przyjemność z jego towarzystwa. Niczego nie wymagał i nie komentował, wołąc lekkie codzienne tematy.

Pewnego popołudnia, odłożywszy narzędzia do drewnutni, zagadnął:

– Nie zechciałybyś zajrzeć dzisiaj do mnie na małą przekąskę po pracy?

– Przecież nie zostawię Rogera bez opieki.

– Przyślę Josie, aby położyła go spać.

Maggie, choć ciekawa gospodarstwa Billa, znalazła się w rozterce. Przyjęcie zaproszenia mogłoby niebezpiecznie pogłębić ich zażyłość, podczas gdy ona wciąż trwała w zamiarze wyjazdu z Martindell równo z końcem wojny. Z drugiej strony szkoda byłoby stracić tak dobrego kompana.

– Dobrze. Niech Josie wpadnie po kolacji Bridgerów – uległa.

Pomysł okazał się na tyle udany, że odtąd zaczęli bywać u siebie nawzajem ku ogólnemu zadowoleniu.

Z wyjątkiem Josie. Dziewczynce ani trochę nie pasował fakt, że pani Peterson owinęła sobie ojcą wokół palca. Jednego wieczoru zostawiła uśpioną niemowlę samo na poddaszu, aby zakraść się pod kuchenne okno w swoim domu. Zaciągnięte zasłony nie pozwalały śledzić, co dzieje się w środku, lecz sama rozmowa wystarczyła, by nastolatce krew zawrzała w żyłach.

– Ani chybi niebiosa cię tu zesłały – dobiegł z wnętrza głos Billa. – Memsahib chodzi jak w zegarku, a pułkownikowi wszelki ciężar spadł z serca.

– Nie bez twojej zasługi – zaznaczyła Maggie. – Przecież sam nie wyhodowałby nawet chwastów.

– Dobry z nas tandem.

Brzęknęło szkło, a po chwili znów odezwał się ojciec.

– Mogłoby tak już zostać.

– Jak to? – spytała Maggie, niby nie rozumiejąc.

– Gdybyś za mnie wyszła, moglibyście z Rogerem przenieść się tutaj...

Dziewczynka na zewnątrz odruchowo zacisnęła pięści.

– ...stworzyć prawdziwą rodzinę. Josie nigdy nie miała nikogo poza mną. Dalej pracowałabyś w dworze, ale wasz dom byłby tutaj, z nami.

– Nie wiem, Bill... – westchnęła kobieta. – Tak niedawno pochowałam Colina...

– Rozumiem – wpadł jej w słowo rolnik. – Przepraszam, niepotrzebnie się odezwałem.

– Nie mówię nie. Poczekajmy, co przyniesie przyszłość. Ale czy na razie nie może być tak jak dotąd?

– Oczywiście. – W głosie ojca zadźwięczała ulga. – Twoja kolej.

– Ostatnie rozdanie – zastrzegła Maggie. – Josie też niedługo chciałyby pójść spać.

Dziewczynka wymknęła się z zagrody i chyłkiem popędziła na przełaj przez pola. W chacie najpierw ruszyła na górę, a upewniwszy się, że dzidzius smacznie śpi, przycupnęła w fotelu z książką na kolanach. Łzy gniewu jednak nie pozwalały jej czytać. Niedoczekanie, by Maggie Peterson wepchnęła się między nią a tatę. Nie było dla niej miejsca w ich domu, który bez wątpienia pod rządami tej kobiety przestałby być ich. Josie nieraz słyszała, z jakim lekceważeniem nowa gospodyni musztruje biedną panią Bridger na boku. Tylko czekać, aż zacznie tak samo dyrygować tatą!

Josie otarła oczy. Płacz na nic się nie zda, jeżeli tata naprawdę zechce ożenić się z tą jędzą. Dziewczynka przemyśla twarz i odetchnęła głęboko, a gdy parę minut później Maggie stanęła w progu, znalazła nianię pogrążoną w lekturze.

– Jak mały?

– Śpi jak aniołek. Przed chwilą sprawdziłam.

– Świetnie, dziękuję. Twój tata odprowadził mnie do domu, czeka na ciebie na dworze. Do zobaczenia jutro!

Państwo Davenhamowie dotarli do Martindell zaraz po dwunastej i dzięki wskazówkom zawiadowcy stacji udali się na obiad do pubu o wdzięcznej nazwie Dog & Duck u pani Annie Parker. Droga powiodła ich szeroką ulicą pośród wiejskich domków. Niektóre przycupnęły tuż na skraju chodnika, inne kryły się w głębi ukwieconych ogrodów, a raz czy dwa minęli tylko bramę w otoczeniu gęstego żywopłotu na znak wysokiego statusu rezydentów. Przecięli niewielki plac, przy którym mieściły się sklep mięsny i piekarnia oraz dom towarowy z pocztą na parterze, po czym powędrowali dalej w stronę pól na obrzeżach.

Dog & Duck, niski, biały budynek unurzany w kwiatkach, witał gości szeroko otwartymi drzwiami z dębowego drewna. Patrick musiał się schylić, przestępując próg, nim otoczył ich przyjemny chłód zacienionego wnętrza. Ich przybycie tylko na moment zwróciło uwagę dwójki jedynych klientów – starszych jegomościów rozgrywających partię szachów pod oknem.

Dzwonek na kontuarze przywołał drobną kobietę, która wyszła im na spotkanie, wycierając dłonie o kuchenny fartuch.

– Dzień dobry – rzekł oficer. – Dosłownie chwilę temu wysiedliśmy z żoną z pociągu. Czy nie znalazłyby się jakieś resztki z obiadu dla utrudzonych podróżnych?

– Cóż, zasadniczo nie serwujemy obiadów. Ale mogę przygotować państwu trochę zupy i grzanki z serem.

– Wybornie! – zakrzyknął Patrick. – Będę bardzo wdzięczny.

– Czy podać coś do picia na początek?

– Dla mnie kufel besta – odrzekł Patrick. – Na co masz ochotę, kochanie?

– Kieliszek cydru, proszę.

Kobieta zakrzętnęła się za barem, rzucając nieznanym zaciekawione spojrzenia.

– Rzadko widzujemy turystów w Martindell. Przyjechali państwo z wizytą? – usłyszeli wreszcie, zgodnie z oczekiwaniem.

– Nie, nikogo tu nie znamy – odparł Patrick gładko. – Jestem na przepustce, więc chciałem wyrwać się z żoną za miasto, zanim znów wypłynę.

– Marynarz?

– Chwilowo.

– Mój syn Thomas pływa na statkach handlowych – rozgadała się właścicielka. – Twierdzi, że po wojnie chce osiedlić się w Stanach. – Zerknęła na Patricka. – Był pan w Ameryce?

– Nie, ale kiedyś oboje chętnie się wybierzemy, prawda, skarbie?

– Na wakacje, dlaczego nie? – zawtórowała Mu.

– A mnie wcale nie ciągnie – stwierdziła pani Parker. – Trudno przyzwyczać się do nowego, kiedy człowiek całe życie przesiedział w jednym miejscu.

– Pięknie tu – zauważyła Muriel. – Po drodze podziwialiśmy miejscowe ogrody, łącznie z pani fasadą. To musi być uroczy zakątek.

– Mnie tu niczego nie brak – oświadczyła kobieta. – Ale młodzi tylko czekają, by wyfrunąć w świat. – Postawiła drinki na barze. – Może zechcą państwo usiąść na tarasie?

Pośród kwiatów od frontu stał stół ogrodowy z ławami. Usadowiwszy się w ciepłych promieniach słońca, małżonkowie napawali się błogą ciszą wypełnioną jedynie głosami ptaków i brzęczeniem w kielichach malw.

Mu upiła łyk cydru i westchnęła.

– Inaczej niż w Plymouth, co?

Na skraju polany widniał mały kamienny kościół w otoczeniu cmentarza i okazały budynek nieopodal, zapewne plebania. Kilka domów rozrzuconych wśród zieleni wytyczało drogę ginącą pomiędzy dwiema nadkruszonymi kolumnami.

– Myślisz, że to tam? – zapytała Mu.

– Możliwe – zgodził się mąż. – To na pewno portal jakiejś arystokratycznej rezydencji, choć wygląda, że pozał się Boże. Nie ma obawy. Pani Parker zna tutaj każdy kąt, zaraz się wszystkiego dowiemy. Tylko bez przesadnego zainteresowania.

W tej chwili z wnętrza pubu wyłoniła się gospodyni z tacą, na której spoczywały dwie miseczki zupy, ser, pieczywo, surówka z pomidorów oraz dwa jabłka.

– Proszę bardzo. – Zaczęła rozstawiać talerze na drewnianym blacie przed gośćmi. – Dolać piwa? – Wskazała wzrokiem na wpół opróżniony kufel Patricka.

– Dziękuję, wystarczy – odmówił oficer. – Ale może pani doradzi, gdzie warto potem pójść na spacer? Czy to droga wylotowa z miasteczka?

– Skądże, to droga do dworu. Chociaż dzisiaj, sami państwo widzą, wszystko się tam sypie.

– Szkoda tych zmarniałych majątków – rzekł Patrick niezobowiązująco. – Nikt tam już nie mieszka?

– Jak najbardziej. Ostatni z rodu Bridgerów z małżonką. Posesja długo była wydzierzawiona, gdy pułkownik stacjonował w Indiach. Po powrocie okazało się, że najemcy doprowadzili obojęcie do ruiny, a właściciele... cóż, mają już swoje lata. Nie są w stanie oporządzić tak wielkiego domu, więc żyją w tej ruderze jak duchy, bo co im zostało?

– Ale chyba ktoś im pomaga? – zaniepokoiła się Mu.

Kobieta jakby poniewczasie ugryzła się w język.

– My tu gadu-gadu, a robota czeka – powiedziała rażno, sięgając po tacę. – Na spacer polecam trasę przez wrzosowiska, skoro mowa o pięknych widokach. Zaraz za kościołem zaczyna się ścieżka, która polami doprowadzi państwa z powrotem na drugi koniec miasteczka.

– Idealnie. – Patrick posłał jej wniebowzięty uśmiech. – Coś w sam raz dla nas.

Skromny posiłek okazał się wyjątkowo smaczny, a świeże powietrze dodatkowo zaostrzyło apetyt.

– Dokąd najpierw? – zapytał Patrick po zapłaceniu rachunku.

– Może na pocztę? – podsunęła Mu. – Moglibyśmy wysłać komuś pozdrowienia z wakacji i przy okazji wdać się w pogawędkę.

Zawrócili więc w stronę rynku. W sklepie wielobranżowym, zgodnie z nazwą, na półkach kłębiło się praktycznie wszystko, od naczyń przez dziecięce ubranka po narzędzia rolnicze. Wzdłuż ściany biegł rząd skrzynek pełnych owoców i warzyw, a na marmurowej płycie w narożniku chłodziły się sery.

Wciśnięty w odległy kąt kiosk pocztowy rzeczywiście prezentował stojak z kolekcją widokówek opiewających głównie piękno regionu oraz katedry w Exeter.

Mu zaczęła przebierać w kartkach, nie mogąc się zdecydować, więc Patrick z nudów oparł się o ladę, za którą, według wywieszonej na drzwiach licencji, urzędował niejaki Peter Pomeroy.

– Państwo przyjezdni? – zagadnął sprzedawca, chociaż znał odpowiedź.

– Tak, wpadłem na przepustkę tylko na kilka dni – odparł żołnierz. – Więc zamarzyło nam się lyknać świeżego powietrza na łonie natury.

– Tego na pewno tu nie brak – stwierdził Peter Pomeroy. – Dlaczego akurat w Martindell?

– Przypadkiem. Znajomy z Exeter polecił te strony, gdy usłyszał, że szukamy ciszy i spokoju przed powrotem do Plymouth i na wojnę.

– Wojna dotarła i tutaj, tak samo jak poprzednia. Wystarczy się przejść po cmentarzu.

Mu zastrzygła uszami.

– Chętnie zajrzałabym do kościoła. Wygląda na bardzo stary.

– Normandzki, choć pewne fragmenty pochodzą z jeszcze dawniejszych czasów. Warto zwiedzić, szczególnie łuk nad zachodnim wejściem świetnie się zachował.

Mu kupiła znaczek, gdy do kiosku weszła młoda dziewczyna z koszem na ramieniu.

– Dzień dobry!

– Witaj, Josie. Co cię sprowadza?

– Tata przysyła jajka i prosi o... – Stropiła się, dostrzegłszy parę nieznamych.

Młodzi z uśmiechem pomachali sprzedawcy, zamykając za sobą drzwi.

– Ciekawe, co pan Pomeroy opycha za jajka – zachichotał Patrick. – Chyba nie pocztówki.

Mu nie dosłyszała, gdyż właśnie stanęła jak wryta na wprost wózka pozostawionego przed wejściem, w którym rozpierał się Freddie.

– Patrick! Patrz! – syknęła dziewczyna.

– Co? Gdzie?

– W wózku – szepnęła, choć wokół nie było nikogo.

Patrick zmierzył wzrokiem dorodnego szkraba usiłującego złapać się za stopę, nim uderzył go charakterystyczny odcień podpalanej cegły na kędzierzawej głowce. Mężczyzna obejrzał się na Josie dobijającą targu z pocztowcem za szybą kantorka.

– To nie Maggie Peterson.

– Nie, ale to Freddie. Ta mała go pewnie dogląda.

– Co robimy? Andy prosił, by trzymać język za zębami, nawet gdy go znajdziemy.

– Udajmy, że zachwycamy się dzieckiem, i zobaczymy, co powie. – Mu czujnie zerknęła przez ramię.

– W porządku. Ustupuję ci pola.

W tym momencie Josie wychynęła z kantorka z koszem kryjącym teraz coś ciężkiego pod lnianą ściereczką. Widok tych samych ludzi czekających przed drzwiami wprowił ją w popłoch. Czyżby to agenci fiskalni, o których krążyły słuchy? Nie wyglądali na śledczych, ale trudno, by było inaczej.

Tymczasem Mu zwróciła ku niej rozpromienioną twarz.

– Jakie śliczne maleństwo! Siostrzyczka?

– To chłopiec – poprawiła dziewczyna. – Nie, to nie mój brat. Pilnuję go, gdy jego mama jest w pracy.

Na widok Josie Freddie rozdziawił się w rozkosznym uśmiechu, prezentując pojedynczy ząbek.

– Widać, że cię uwielbia – powiedziała Mu.

Josie ostrożnie umieściła kosz na dolnej półce wózka.

– W drogę, Roger. Mama pewnie się niepokoi.

– To prawda – mruknęła Mu, odprowadzając wzrokiem młodą panią.

Małżonkowie nieśpiesznie ruszyli jej śladem, podziwiając wiejskie uroki, aż dziewczynka zniknęła za wybrukowaną bramą.

– To on! – Mu chwyciła męża za ramię. – Powiedziała do niego „Roger”, słyszałeś?

– A mama niepokoi się we dworze.

– Powinniśmy wracać do Plymouth. Lepiej, by Andy nie czekał, aż znowu gdzieś ją wywieje.

– Myślisz, że mała odraportuje w domu, że dwoje nieznanym wypytywało o dziecko? – zafrasował się Patrick.

– Wątpię. Pytałam przecież o dziewczynkę.

– Nie chcesz przejść się tą ścieżką za kościołem? Na moje oko biegnie wokół posesji, moglibyśmy jeszcze coś podejrzeć.

– To zbyt ryzykowne. Wracajmy na dworzec, proszę.

Tego samego wieczoru zgodnie z umową Andy Sharpe czekał na nich w Anchor. Posterunkowemu wystarczył jeden rzut oka na Mu, by spodziewać się rewelacji.

– Proszę usiąść, złożę zamówienie – powiedział.

Patrick poprosiło piwo, a Mu o kieliszek cydru.

– I co? – spytał funkcjonariusz przy stoliku.

– Widzieliśmy Freddiego! – nie wytrzymała Mu. – Spotkaliśmy dziewczynkę o imieniu Josie, która się nim opiekuje. Mówi na niego „Roger”. Od razu go rozpoznałam. Wcale się nie zmienił, choć urosł mu włoski w tym kolorze co moje. To Freddie, na sto procent.

– W takim razie zapraszam jutro na posterunek. Musi pani złożyć formalne zeznania – rzekł Andy. – Na tej podstawie będzie można wszcząć dochodzenie na miejscu. Wątpię, by tamtejszej komendzie zależało na przejęciu sprawy.

– Jakie dochodzenie? – zdumiała się Mu. – Co tu jeszcze wyjaśniać? Wiadomo, że porwała synka Very!

– To wystarczy, by sprowadzić ją z powrotem do Plymouth, lecz akt oskarżenia musi mieć solidne umocowanie.

– Powie pan Verze?

– Wolałbym nie. Do finału jeszcze daleko, a po drodze mnóstwo drobniaków może pokrzyżować nam szyki. Proponuję, by jej nie mówić, dopóki faktycznie nie ściągniemy Maggie i Freddiego do Plymouth.

Patrick, który do tej pory słuchał w milczeniu, teraz zabrał głos:

– Andy ma słuszość, Mu. Trzeba mieć absolutną pewnośc, zanim jej powiemy.

Następnego ranka Mu została przesłuchana przez samego inspektora Droya. Przełożony zdążył dopatrzeć się innych motywów w poczynaniach posterunkowego niż tylko dobro śledztwa, a nie życzył sobie jakichkolwiek uchybień w swoim komisariacie.

Mu opisała dokładnie przebieg wyprawy do Martindell, potwierdzając, że ogłoszenie zamieścili obecni mieszkańcy dworu, że naocznie rozpoznała swojego siostrzeńca, Freddiego Shawbrooka, i że

jego młodociana opiekunka nazywa malca imieniem zmarłego syna Maggie Peterson.

Po wyjściu świadka inspektor spędził długą chwilę na telefonicznej naradzie ze swoim odpowiednikiem w Exeter, by ostatecznie ustalić, że aresztowania dokona oddział z Plymouth w obecności przedstawiciela lokalnej policji.

– Proszę włączyć do zespołu posterunkową Adams – polecił Droy Andy’emu. – Nie możemy nasłać bandy uzbrojonych osiłków na kobietę z dzieckiem.

C o powiesz na wspólną kolację u nas dziś wieczorem? – zaproponował Bill tego popołudnia, wręczając Maggie worek ziemniaków i cebuli na tyłach rezydencji.

– Sama nie wiem – odparła z wahaniem. – Muszę przyrzucić coś tutaj.

– Nie każ się prosić – nastawał mężczyzna. – Daj im coś na ząb, a sama zjesz później z nami.

– A Roger?

– Najwyżej zaśnie w wózku. Po kolacji Josie zabierze go do ciebie, a my tymczasem coś sobie chlapiemy.

– Masz dar przekonywania. – Maggie się roześmiała.

Wspólne posiłki z Bridgerami pozwalały jej przyszczędzić na własnych kartkach, ale bywały dni, gdy Maggie najchętniej udusiłaby memsahib przy stole. Gdyby wcześniej nakarmić Rogera, mogłaby bez przeszkód ulotnić się zaraz po kolacji i spędzić miły wieczór z Mertonami.

– Dobrze, przyjdę, gdy tylko skończę.

Jak na ironię posiłek starszych państwa ciągnął się w nieskończoność. Brak gospodyni przy stole wytrącił panią Bridger z równowagi.

– Musi pani coś zjeść – powtarzała uparcie. – Regularne odżywianie to podstawa, zwłaszcza dla chłopca.

W tym stanie tłumaczenie jej czegokolwiek absolutnie mijało się z celem. Maggie zbyła ją więc pierwszą lepszą wymówką.

– Zjadłam wcześniej przy karmieniu Rogera.

– Nie martw się o Maggie, kochanie – perswadował pułkownik łagodnie. – Dokończ, proszę, to pójdziemy do mnie posłuchać radia. Lubisz tę wieczorną audycję, prawda?

Choć niewiele z transmisji docierało do zamglonej świadomości staruszki, wspólne słuchanie z mężem przy wtórze jego śmiechu zdawało się wprawiać ją w dobry humor.

Maggie już z daleka wyczuła smakowity zapach na zagrodzie. Zostawiwszy śpiącego Rogera w ciepłych promieniach zachodzącego słońca na podwórzu, z ochotą dołączyła do Billa i Josie w kuchni.

I właśnie przy jedzeniu mała odpaliła swoją bombę.

– Widziałam dziś obcych w miasteczku.

Maggie zdwoiła czujność.

– Co ty powiesz? A kogóż tu licho przyniosło?

– Bo ja wiem. – Dziewczynka wzruszyła ramionami. – Jakaś para. Pan Pomeroy z okienka na pocztę mówił, że wszystko ich interesowało.

– Ach tak? – rzuciła Maggie od niechcienia. – Co na przykład?



– Nie wiem. Czym tu się interesować? – Buzia Josie rozjaśniła się nagle. – Myśleli, że Roger to dziewczynka. Pewnie przez te loczki. Ona miała podobne.

Ona, czyli nieznamą kobieta.

– Trzeba je będzie przyciąć. Nie możemy pozwolić, aby ludzie brali go za dziewczynkę – parsknęła Maggie. – Mówili jeszcze coś zabawnego?

– Nie... Nie rozmawialiśmy długo. Powiedziałam tylko, że się nim zajmuję, kiedy pani jest w pracy.

– Ja – powtórzyła sąsiadka głucho.

– W sensie jego mama... – sprostowała Josie, nie wyczuwając napięcia. – Nie pamiętam, co powiedziałam. To ważne?

– Gdzie tam! – Maggie machnęła ręką i zmieniła temat. – Wyśmienity gulasz. Zdradzisz swój sekret, Bill? – zażartowała, wycierając talerz do czysta kawałkiem ziemniaka.

– Jak najbardziej! Sekret polega na tym, że kury znów niosą – rzekł Bill ku ogólnej wesołości.

„Przynajmniej nie muszę zmywać”, pocieszała się Josie w myślach, popychając wózek wzdłuż wyboistej ścieżki w stronę dworu. Lubiła opiekować się Rogerem, który lgnął do niej od pierwszej chwili, lecz sposób, w jaki ojciec ją odprawił, aby zostać z panią Peterson sam na sam, dotknął ją do żywego. Dziewczynka doskonale wiedziała, że tych kilka szylingów, które czasami jej dawał, niby w imieniu matki niemowlęcia, pochodziło z jego własnej kieszeni. Pani Peterson nigdy nie zaoferowała jej złamanego grosza za pomoc, a i w podziękowaniach nie była rozrzutna. Tylko tata o niej pamiętał.

Bill wydobyl butelkę brandy ze skrytki w zegarze po dziadku. Maggie przystała na jedną szklaneczkę, lecz powstrzymała mężczyznę przed dolewką.

– Zachowaj co nieco na następny raz! – przymiliła się na osłodę. W rzeczywistości pragnęła jak najszybciej wracać do domu i rozważyć rewelacje Josie.

– Moja droga! Odkąd kury niosą, studnia jest bez dna – odparł Bill z figlarnym mrugnięciem.

Maggie jednak nie dała się namówić i niedługo później ruszyła w ślad za Mertonówną. Dziewczynka zdążyła już położyć Rogera w kołysce i wypatrywała jej powrotu.

– Dziękuję – rzekła Maggie, żegnając ją w drzwiach. – Zginęłabym bez ciebie.

– Robię to wyłącznie dla taty – odparowała nastolatka, nim zniknęła w mroku.

Maggie zamknęła drzwi na klucz i opadła na fotel. Musiała się zastanowić. Co za jedni mogli nawiedzić Martindell tego dnia? Czyżby zachwyty przyjezdnej kobiety Rogerem był zupełnie niewinny? Może to jedna z tych, co jak Stella nie przejdzie obok wózka, aby się nie pochylić? Roger rzeczywiście mógł teraz przypominać dziewczynkę, ale czy to przypadek, że nieznamą miała włosy w podobnym kolorze? Z drugiej strony akurat w Anglii rudzielców nie brakowało – czy ktokolwiek doszukiwałby się pokrewieństwa tylko na tej podstawie? Tak czy owak należało mieć się na baczności. Z pozoru błahe zainteresowanie mogło oznaczać bardzo poważne kłopoty. Maggie z westchnieniem wstała i wspięła się na poddasze. Roger spał głęboko z jedną rączką przy ciele, a drugą wciśniętą pod bródkę. Kobieta postąpiła chwilę nad kołyską, nim podjęła ostateczną decyzję. Trzeba uciekać.

Tym razem pakowanie zajęło znacznie mniej czasu. Wystarczyło zgarnąć tych kilka drobiazgów, które już raz przywozła z Plymouth o własnych siłach. Sprawdziła stan swoich zaskórniaków. Jak dotąd dzięki książeczkom żywnościowym Bridgerów niewiele uszczknęła z początkowej sumy, lecz nieprzewidziany wyjazd wymagał solidnego zabezpieczenia. W domowej skrytce zostało akurat tyle, by wrócić do Plymouth i pobrać fundusze z banku. Nie było to po jej myśli, lecz z braku alternatywy wolała podjąć ryzyko w znanym sobie terenie. Postanowiła złapać przelotowy pociąg z dostawą mleka

o szóstej, a dla zmyłki spytać na stacji o powrotne połączenia z Exeter tego samego wieczoru. Przy odrobinie szczęścia nikt we wsi nie podniósłby larum przynajmniej do następnego ranka, a gdyby ktokolwiek z zewnątrz rzeczywiście deptał im po piętach, znów znalazłby się w kropce. W każdym razie ich pobyt w Martindell dobiegł końca, bo na pewno nie zostaliby tu przez wzgląd na Billa Mertona.

Po zaledwie kilkugodzinnej drzemce Maggie przewinęła i nakarmiła Rogera, by przy wtórze pierwszych ptasich treli zamknąć drzwi chaty na klucz. Było im tu dobrze, lecz bez żalu ruszyła poprzez lśniące od rosy pola w kierunku miasteczka. Na wszelki wypadek wybrała okólną drogę, by nie mijać gospodarstwa Mertonów.

Na stacji uszczupliła swój skromny budżet, kupując bilet w dwie strony.

– O której mam ostatni pociąg powrotny z Exeter? – zapytała przy kasie. – Jadę do znajomej, a nie chciałabym zostać u niej na noc.

– Dwudziesta pierwsza trzydzieści siedem – padła odpowiedź z okienka. – Przyjazd o dwudziestej drugiej czterdzieści jeden.

– Świetnie! – ucieszyła się Maggie. – W takim razie na pewno zdążę.

– Wiadomo, jak jest. – odparł kasjer ze wzruszeniem ramion. – Pociąg może tylko się spóźnić, za wcześniej nie odjedzie.

Maggie podziękowała i wyszła z wózkiem na peron. Zapowiedziano dziesięć minut opóźnienia, co uciekinierce zdało się wiecznością. Bez przerwy oglądała się na drzwi w obawie, że ktoś mógłby ją rozpoznać. Tuż przed przyjazdem pociągu na dworzec weszła starsza kobieta z koszem. Maggie odwróciła się plecami, schylona nad wózkiem, lecz babina usiadła na drugim końcu peronu, nie zwracając na nich uwagi.

Wreszcie na stację wtoczył się ociążale sznur wagonów hamujących z przeraźliwym zgrzytem w kłębach pary. Konduktor zeskoczył na peron, a na widok Maggie podszedł załadować wózek do wagonu bagażowego, podczas gdy kobieta z niemowlęciem na rękach zajęła miejsce w wolnym przedziale dla pasażerów.

Kilka chwil później powietrze przeciął gwizd i pośród utrudzonego sapania maszyna niechętnie popęzła dalej. Maggie w przelocie sprawdziła, czy nikt w ostatniej chwili nie wypadł za nią na peron, zanim uspokojona rozsiała się wygodnie, by rozpocząć pierwszy etap podróży.

**P**odmiejski pociąg z mlekiem zatrzymywał się w każdej miejscowości na trasie do Exeter. Tu i ówdzie wsiadło kilkoro podróżnych, a do przedziału Maggie dołączyło dwóch mężczyzn, z których każdy po zdawkowym powitaniu wsadził nos w gazetę. Gdy dotarli do celu podróży, Maggie długo się pakowała, pozwalając współpasażerom zniknąć w tłumie, zanim sama zeszła na peron. Odebrawszy wózek od konduktora, czym prędzej opuściła halę dworca. Jak dotąd wszystko układało się zgodnie z planem.

Przed zakupem biletu do Plymouth wołała odczekać, aż stacja opustoszeje, a wszyscy potencjalni świadkowie rozpierzchną się w swoich sprawach. Gdy znacznie później zbliżyła się do okienka, była całkiem sama, zostawiwszy wózek na uboczu, by kasjer żadną miarą nie skojarzył, dokąd pojechała kobieta z dzieckiem. Zapytała o godzinę odjazdu i znów wyszła na ulicę.

Dla zabicia czasu przysiadła w pobliskim parku, bo Roger upominał się o drugie śniadanie. Swoje kanapki zachowała na później. Celowo wyczekała do ostatniej chwili przed powrotem na peron ku wyraźnemu niezadowoleniu konduktora, który odebrał wózek i gwizdnął, ledwie spóźniona pasażerka z niemowlęciem wspięła się na pokład. W wagonie roilo się od marynarzy wracających z przepustki, lecz natychmiast ustąpiono jej miejsca, co Maggie przyjęła ze szczerą wdzięcznością. Jednostajny ruch i stukot pojazdu szybko ukołysały Rogera do snu, dzięki czemu nikt jej nie zaczepiał.

W miarę jak zdyszany pociąg zbliżał się do Plymouth, Maggie rozważała dalsze kroki. Po wybraniu oszczędności z konta należało znów zapaść się pod ziemię. Londyn, gdzie wcześniej mieszkali z Colinem, wydawał się zbyt oczywisty oraz pełen świadków ich dawnego życia. Dokąd zatem jechać? Do miasta czy znowu na wieś, skoro pretekst ucieczki przed bombardowaniem wciąż nie stracił na wiarygodności? Powinna też przyjąć inne nazwisko, najlepiej coś pospolitego. „Maggie Wilson” szybko naprowadziłoby śledczych na jej trop. Wtem przypomniała sobie, że w szkole wołano na nią Meg, więc nie byłoby trudno na nowo się przyzwyczaić. Postanowiła odtąd podawać się za Meg Smith i używać prawdziwych danych tylko wobec absolutnej konieczności.

W Plymouth odebrała wózek od konduktora, który nawet na nią nie spojrział, zajęty wyładowywaniem ciężkich skrzyń i rowerów. Jednak w drodze przez halę Roger zaczął marudzić, więc przystanęła bezradnie. Nie mogła pozwolić, by narobił rabanu w banku, ściągając na nich uwagę. Ostatecznie schroniła się w damskiej toalecie, by w kabinie przewinąć dziecko na kolanach. Sucha pielucha i pełny brzuszek powinny uciszyć malca na pewien czas.

W efekcie gdy dotarła do banku, na drzwiach zastała wywieszkę z napisem „Nieczynne”. W środku kręcili się jeszcze pracownicy, lecz klientów nie obsługiwano. Maggie poczuła pieczenie pod powiekami, uświadomiwszy sobie, że czeka ją nocleg w Plymouth. Oddaliła się co sił w nogach, skręcając w przypadkowe ulice jak najdalej od Marden Road, przy czym doskonale wiedziała, że z każdą chwilą na zewnątrz prosi się o kłopoty. W nieznaney sobie dzielnicy spostrzegła pordezwiąły szyld nad wejściem do jednego z osmalonych budynków na skraju rumowiska, anonsujący pub Swan

o licencji na nazwisko pani P. Dawkins. Popękane okna i oblażący tynk w normalnych okolicznościach skutecznie by ją odstraszyły, lecz właśnie dlatego postanowiła spytać o wolny pokój. Drzwi stawiały opór, lecz Maggie, nie mogąc czekać do siedemnastej trzydzieści na widoku, z całej siły zabębniła pięściami. Dopiero za drugim razem zasuwę w środku szcęknęły, nim przez wąską szparę wyjrzała kobieca twarz.

– Otwieramy o wpół do szóstej.

– Chwileczkę! – powstrzymała ją Maggie błagalnie.

– O co chodzi? – dobiegł zrzędlawy głos.

– Potrzebuję noclegu na jedną noc. Nie mogę dobić się do domu i zostałam z dzieckiem na ulicy.

– Nie ma pani klucza do własnego mieszkania?

– Owszem, ale wyskoczyłam do sklepu tylko na chwilę. Mąż w tym czasie wrócił pijany, zamknął drzwi i konia z rzędem temu, kto zdoła go obudzić. Zwykle gdy się zaprawi, śpi jak zabity do rana.

Kobieta zmierzyła wzrokiem wózek z torbą podróżną i plecak na ramionach przybyłej.

– Tak się składa, że akurat mam pokój, bo jeden z gości wyjechał do soboty. Jedna noc, dziesięć szylingów, płatne z góry.

– Ile? – Maggie zachłysnęła się z oburzenia.

– Jak pani woli. – Szpara w drzwiach skurczyła się o połowę.

– Biorę – rzekła Maggie pośpiesznie.

– Z góry. – Kobieta wystawiła dłoń przez próg.

Nie było rady. Maggie z ciężkim sercem wysupłała z portmonetki cztery półkoronówki, by wręczyć właścicielce piwiarni dwie trzecie tego, co jej zostało.

– Wózek proszę zostawić na podwórzu – dorzuciła kobieta, otwierając drzwi. – Jak godność?

– Smith.

– Oczywiście. – Właścicielka skinęła głową z domyślnym uśmiechem.

Zostawiwszy wózek na tyłach, Maggie, obarczona pakunkami, podążyła za gospodynią na piętro. W pokoju panował zaduch. Wszędzie widniały ślady cudzej bytności, od męskiej garderoby w bielizniarce po niedokończoną krzyżówkę w gazecie na szafce obok łóżka. Na komodzie stały porcelanowa misa i dzbanek z wodą.

– Łazienka jest na końcu korytarza. Kąpiel płatna dodatkowo jednego szylinga – oznajmiła pani Dawkins już ze schodów.

Maggie przełknęła dumę. Byle tylko dotrzeć do rana, a natychmiast po wizycie w banku czmychną gdzie pieprz rośnie. Zeszła na podwórze po Rogera. Malec już nie płakał, choć kobieta wyczuła wilgoć, kiedy przyłgnął buzią do jej policzka. W pokoju uwolniła nieszczęsne maleństwo z zapaskudzonych ciuszków, umyła całe ciało wodą z dzbanka i przebrała do sucha. Gdy dzięki ostatniej butelce mleka zdołała ukolysać znużonego chłopca do snu, z dołu dobiegał już gwar pierwszych klientów. Maggie ułożyła dziecko na tapczanie w otoczeniu poduszek. Głód dawał jej się we znaki, lecz przede wszystkim należało zdobyć mleko dla Rogera. Wciąż miała dla niego słoiczek prażonych jabłek i sucharki, ale nie zaszkodziłoby spytać w kuchni o coś pożywniejszego.

Pani Dawkins uwijała się przy kranie z piwem na życzenie grupy marynarzy.

– Dodać kapkę syropu na odporność? – rzuciła zza baru.

– A jakże! – zakrzyknął któryś dziarsko. – Lepiej zapobiegać, niż leczyć, co, chłopaki?

Wobec chóralnej aprobaty pozostałych kompanów gospodyni wydobyla spod lady butelkę whisky, by wzbogacić zawartość każdego kufła hojnym chlusem. Skrętnie przeliczyła zapłatę przed zamknięciem kasy i dopiero wówczas jej wzrok spoczął na Maggie.

– Słucham?

– Czy mogłabym poprosić o trochę mleka dla dziecka?

– Za sześć pensów powinno się znaleźć – padła sucha odpowiedź. – A dla pani? Mam wyśmienity gulasz, a kosztuje jedynie szylinga.

Żołądek Maggie tęsknie zakwilił. Wprawdzie nie ruszyła kanapek przygotowanych na podróż, lecz równie dobrze mogła przeznaczyć je na śniadanie. Biedniejsza o kolejnego szylinga i sześć pensów wróciła z jedzeniem do pokoju. Roger ciągle spał.

Ujęła część sosu ze swojej już skromnej porcji, na wypadek gdyby głód zbudził niemowlę w nocy. Tym sposobem sucharki i mus jabłkowy posłużyłyby za rezerwę w dalszej drodze. Wreszcie sama przełknęła kilka niezidentyfikowanych kawałków pływających w burej, nieapetycznej masie. Na wspomnienie potrawy, którą ledwie dzień wcześniej jadła u Mertonów, zachciało jej się płakać.

O zmierzchu zaciągnęła zasłony i włączyła światło. W słabej poświacie żarówki na ścianach ożyły cienie, potęgując grobowy nastrój. W ubraniu i bez przykrycia wyciągnęła się na wąskim łóżku obok syna. Zapach poduszki przyprowadził ją o młodości. Co za człowiek zgodził się mieszkać w podobnej spelunie? Nagły lęk, że stały lokator mógłby niespodziewanie wrócić w środku nocy, kazał Maggie upewnić się, czy przekreśliła klucz w zamku.

Z niespokojnej drzemki wyrwał ją płacz chłopca. Obolała i niewyspana, spróbowała podać mu nieco rozdrobnionego gulaszu, lecz natrafiła na zdecydowany opór. Malec zacisnął usteczka i żadną miarą nie dało się go nakłonić do przełknięcia choć łyżki. Z westchnieniem Maggie zmiękczyła jeden sucharek w mleku. Do wizyty w banku musiały wystarczyć im resztki zabranego prowiantu, więc przezornie zachowała mus jabłkowy na później.

Na ulicy za oknem wszczął się poranny ruch. Z wybiciem siódmej na zegarze pobliskiego kościoła Maggie wpuściła do pokoju rześkie słońce, po czym cicho odemknęła drzwi, by wystawić głowę na korytarz. W panującej wokół martwej ciszy przemknęła do łazienki, gdzie spryskała twarz zimną wodą i nie znalazłszy mydła, wyszorowała dłonie zwilżonym ręcznikiem. Nie spuściła wody w toalecie, aby nie obudzić gospodyni. Nie życzyła sobie mieć z nią nigdy więcej do czynienia i chciała opuścić przybytek pani Dawkins jak najszybciej. Z plecakiem na ramionach, Rogerem pod pachą i torbą w drugiej ręce pokonała schody. Pogrążony w ciemności bar tchnął wonią tytoniu i skisłego piwa. Poprzez kuchnię dotarła do drzwi na zapleczu. Zasuwy ustąpiły posłusznie, lecz gdy szarpnęła za klamkę, ciszę rozdarł przeraźliwy zgrzyt. Maggie znieruchomiała, zanim z góry dobiegło trzaśnięcie i odgłos kroków na podeście. Niewiele myśląc, uciekinierka wypadła na dwór i pośpiesznie wpakowała dziecko do wózka, który na szczęście stał na swoim miejscu. Ktoś schodził po schodach, gdy nieomal przygniotła syna torbą i wypchnęła wózek na ulicę.

– Kto to widział wymykać się bladym świtem jak złodziejka? – dogonił ją gniewny krzyk. – Dzwonię po policję!

Pani Dawkins stała w progach kuchni w szlafroku i papilotach.

– Świetnie! – zrewanżowała się Maggie. – Przymkną panią za kontrabandę!

Palnęła tak całkiem w ciemno, nie wiedząc, czy whisky spod lady rzeczywiście była nielegalna, ale wystarczyło, by właścicielka zatrzasnęła drzwi z hukiem.

Maggie ruszyła przed siebie, pragnąc znaleźć się jak najdalej od piwiarni i jej okolic. Słono ją to kosztowało, lecz osiągnęła swój cel. Teraz należało tylko spędzić gdzieś trzy godziny do otwarcia banku.

**P**odczas gdy Maggie czekała na otwarcie banku, z Plymouth wyruszył radiowóz z trójką funkcjonariuszy. W Exeter dołączył do nich posterunkowy Harris z miejscowej komendy, zanim obrali kierunek na Martindell. Miejscowość wyglądała na uśpioną, gdy dotarli tam po dziewiątej. Lokalny kolega zrobił wcześniej rozpoznanie terenu i bez problemu wskazał kierowcy drogę wiodącą do rezydencji.

– Zastukam od frontu – rzekł Droy, gdy zaparkowali na dziedzińcu. – Obstać boczne wyjścia. Uwaga na okna.

Wysiadłszy z samochodu, śledczy zajęli pozycje, a inspektor pociągnął za dzwonek przy głównych drzwiach.

Drzwi otworzyła nie Maggie Peterson, jak liczył w cichości ducha, ale drobna staruszka z chmurą siwych włosów i rozbieganym spojrzeniem.

– Nie dzisiaj, dziękuję – uprzedziła z punktu zamiast powitania.

Droy szybko wsunął stopę między drzwi.

– Pani Bridger? Inspektor Droy, policja rejonowa w Plymouth. – Zaprezentował odznakę, nie robiąc na kobiecie najmniejszego wrażenia. – Czy mogę wejść?

– Nie znam pana. Muszę spytać męża – stwierdziła i nie zamknawszy drzwi, zniknęła w głębi domu. Funkcjonariusz wszedł do holu i czekał. Po kilku minutach, gdy już zaczął popatrywać niespokojnie na boki, w korytarzu pojawił się starszy jegomość.

– Witam, inspektorze. Pułkownik Bridger. Czym mogę służyć?

– Dzień dobry. Gordon Droy, policja w Plymouth. – Śledczy ponownie wy dobył legitymację.

– Plymouth? Co pana sprowadza z tak daleka?

– Szukam kobiety nazwiskiem Margaret Peterson, którą jak się zdaje, przyjął pan do pracy.

– Margaret Peterson? – Pułkownik beładnie potrzęsnał głową. – Nie, nic mi to... – W jego oczach mignął błysk rozpoznania. – Ach, Maggie! Wyleciało mi z głowy jej nazwisko. Obawiam się, że już tu nie mieszka.

– Zrezygnowała z pracy?

– Wszystko na to wskazuje – odparł Bridger. – Przepadła bez słowa wyjaśnienia.

– Dlaczego? – zapytał Droy. – Poróżnili się państwo o coś?

– Ależ skąd. Widocznie miała dosyć – rzekł pułkownik i dodał z westchnieniem: – Nie pierwsza i zapewne nie ostatnia. Memsahib nie jest łatwa we współżyciu, lecz sądziłem, że Maggie da sobie radę.

– W takim razie czy moglibyśmy porozmawiać gdzieś na spokojnie? Muszę zadać panu kilka pytań.

– O Maggie?

– Tak jest.

Starszy pan wypuścił powietrze.

– Zapraszam do gabinetu.

Funkcjonariusz podążył za nim do przytulnej biblioteki z oknami od strony ogrodu. Siwowłosa kobieta, która otworzyła mu wcześniej drzwi, siedziała w jednym z foteli nieopodal szerokiego biurka.

– Pułkowniku! – bąknęła, podnosząc na mężczyzn bojaźliwy wzrok. – Jacyś obcy kręcą się po podwórzu!

Za szybą mignął Andy Sharpe.

– Państwo wybaczą, to moi ludzie – wyjaśnił śledczy. – Przyjechaliśmy porozmawiać z Maggie Peterson.

– Nie ma jej – odrzekła pani Bridger. – Tym lepiej. Nigdy mi się nie podobała. Kto to widział tak utuczyć niemowlę?

Pomijając tę obserwację bez związku, inspektor Droy powtórzył:

– W takim razie liczę, że pomoże mi pan ustalić kilka szczegółów.

– Oczywiście. – Gospodarz gestem zaproponował mu fotel. – Co chciałby pan wiedzieć?

– Czy pani Peterson mieszka u państwa?

– Nie. Zajęła chatę niedaleko stąd jako część swojego wynagrodzenia.

– Rozumiem. Czyli co wieczór wraca do siebie.

– Tak jest.

– Czy coś pana uderzyło w jej zachowaniu, gdy widzieli się państwo po raz ostatni?

Pułkownik zmarszczył imponujące brwi.

– Cóż, we wtorek nie siadła z nami do kolacji. Zwykle jemy razem, nawet dziecko karmi przy stole.

– A we wtorek?

– Wyszła natychmiast po posiłku.

– Z dzieckiem?

– Ma się rozumieć – potwierdził Bridger. – Nigdy nie zostawia chłopca z nami, odkąd znalazła go w psim legowisku.

Inspektor Droy odkaslnął w zwiniętą pięść.

– Dokąd poszła? – indagował dalej.

– Zgaduję, że do domu. Tu, poza pubem, nie ma gdzie włóczyć się po zmierzchu, a tam przecież nie wzięła niemowlęcia.

– To było we wtorek wieczorem?

– Tak.

– Z naszych informacji wynika, że widziano syna pani Peterson w miasteczku właśnie we wtorek, dwa dni temu.

– Rogera? Sądziłem, że szuka pan Maggie.

– Owszem, lecz wychodzimy z założenia, że są razem. Podobno zajmuje się nim młoda dziewczynka?

– Josie Merton.

– Kto to?

– Córka Billa Mertona.

Droy przełknął ślinę.

– A kim jest Bill Merton? – zapytał, spodziewając się odpowiedzi typu „ojcem Josie”, lecz zamiast tego usłyszał:



– To miejscowy hodowca. Wypasa owce na naszej ziemi i dba o nasz udział w kopaniu dla zwycięstwa.

– Czyli nie widział pan Maggie Peterson od wtorkowej kolacji, po której poszła do domu. – Inspektor zawiesił głos, a na widok bezradnej miny gospodarza podsunął: – A rano?

– Ani słychu. Nikt nie zrobił śniadania.

– Nie zaniepokoiło to pana?

– Nieszczęśliwie. Myślałem, że zasnęła. Ale o dziesiątej poszedłem do niej sprawdzić, czy coś się stało.

– I nikogo pan tam nie zastał?

– Chata była zamknięta na głucho.

– Ma pan zapasowy klucz?

– Tak, ale nie wziąłem go ze sobą w tamtej chwili.

– Co pan zrobił?

– Zajrzałem do Mertonów, czy nie ma jej u Josie.

– I nie było.

– Nie – rzekł gospodarz z lekkim zniecierpliwieniem. – Jak powiadam, po raz ostatni widziałem ją we wtorek przy kolacji.

– Czy Josie miała pilnować dziecka wczoraj rano?

– Nie wiem. U Mertonów też nikogo nie zastałem i nie rozmawiałem ani z Billem, ani z jego córką od tej pory. – Jegomość obrzucił oficera wnikliwym spojrzeniem. – Dlaczego szuka pan Maggie, inspektorze?

– Musi złożyć zeznania – odparł Droy. – Potrzebna nam jej pomoc do wyjaśnienia innej sprawy.

– Niech pan ją szybko znajdzie. Nam też jest potrzebna.

– Obawiam się, że już nie wróci do pracy. Przynajmniej w najbliższej przyszłości. – Śledczy podniósł się z miejsca. – Dziękuję, pułkowniku. Bardzo mi pan pomógł. Proszę tylko z łaski swojej wskazać, którądy do Billa Mertona.

Bridger odprowadził gościa do holu. Drzwi frontowe wciąż stały otworem, więc Droy wyszedł na schody.

– Jeszcze raz dziękuję. Nie będę więcej państwa niepokoił – rzekł, ściskając dłoń starszego pana. – Proszę się o nic nie martwić.

Z tymi słowy inspektor wszedł do samochodu, zostawiając w progu gospodarza, któremu zmartwień przybywało z każdą chwilą.

**N**a podwórzu Billa Mertona radiowóz opadła sfera psów, których hałaśliwe ujadanie przywabiło na ganek kilkunastoletnią dziewczynę.

– Dzień dobry – powiedział jeden z funkcjonariuszy, kiedy cała czwórka wysiadła z samochodu. – Inspektor Droy. Josie Merton?

Zapytana potwierdziła skinieniem głowy.

– Gdzie tata?

– Pielni krzaki w sadzie. A po co on panu?

– Chciałbym zadać mu kilka pytań. Pokażesz mi, gdzie go znajduje?

Dziewczynka wzruszyła ramionami, na co inspektor utkwiał w niej świdrujący wzrok.

– Chociaż może najpierw ty mi pomożesz. Znasz panią Peterson?

– Trochę. – W szorstkim tonie Josie zabrzmiała nuta zaintrygowania.

– Wiesz, dokąd pojechała?

– Nie.

– Kiedy widziałaś ją po raz ostatni?

– We wtorek przy kolacji.

– Maggie była u was na kolacji?

– Tata ją zaprosił. A potem odesłał mnie z Rogerem do domu, by się z nią migdalić. – Ostatnie słowa dziewczynka wymówiła z nieskrywaną odrazą.

Inspektor uniósł brew, lecz nie skomentował.

– A Roger to...?

– Jej syn. Pilnuję go czasami.

– To musi być jej na rękę – podpuścił funkcjonariusz.

– Bardziej tacie – odparła dziewczyna, wydymając usta. – We wszystkim jej dogadza.

– A to źle?

– Nie lubię jej.

– Dlaczego?

– Zwyczajnie. Nie chcę, aby tata się z nią ożenił.

– A ma taki zamiar?

– Skąd mam wiedzieć? – burknęła Josie zgrzyźliwie. – Jego niech pan zapyta.

– Ale mały ci nie przeszkadza?

Twarz dziewczynki rozchmurzyła się nieco.

– Słodki jest. Miło się z nim bawić.

– Dziękuję, Josie. Zabierz mnie do taty z łaski swojej.

Zostawiwszy podwładnych na zagrodzie, inspektor ruszył za dziewczynką przez pastwisko w stronę zagajnika, gdzie Bill, uzbrojony w sekator i siekierkę, tępił wybujałe zarośla. Na widok córki w towarzystwie śledczego przerwał pracę i wyszedł im na spotkanie.

– Dzień dobry. Inspektor Droy, policja w Plymouth.

Bill Merton spojrzał na okazaną legitymację, a następnie na przybyłego.

– O co chodzi?

– Szukamy kobiety nazwiskiem Margaret Peterson – poinformował Droy. – Ze słów pułkownika Bridgera wnioskuję, że państwo się znali.

– Wiem, że pracowała we dworze – odparł Bill ostrożnie.

– Zgadza się. Gdzie, jak rozumiem, nawiązali państwo bliskie stosunki.

– Skąd pan to wie?

– Josie wspominała, że dwa dni temu zaprosił ją pan na kolację.

– I co z tego?

– I chciałbym zapytać, czy wie pan, gdzie teraz jest.

– A po co pan jej szuka?

– Jest świadkiem w prowadzonym przez nas dochodzeniu.

– Cóż to za dochodzenie, że trudziliście się aż z Plymouth?

– Poszukujemy chłopca, który zaginął po jednym z nalotów w kwietniu – rzekł Droy. – Pewnie czytał pan w prasie.

– Ale co to ma wspólnego z Maggie?

– Dopóki jej nie znajdziemy, można jedynie zgadywać.

– Podejrzewa pan, że Roger to ten zaginiony chłopiec?

– Musimy bezwzględnie dotrzeć do pani Peterson, by wyjaśnić wszelkie okoliczności.

– Na pewno go ukradła – prychnęła Josie zjadliwie.

– Cicho bądź, Josephine – zgromił ją ojciec. – Nikt cię nie pyta o zdanie.

– On pytał. – Josie głową wskazała przybyłego.

– Dosyć – uciął Bill, po czym zwrócił się do inspektora: – Chyba lepiej porozmawiać w domu.

– Jak pan sobie życzy.

Gospodarz powiódł Droya w kierunku zagrody, a następnie zaprosił go do kuchni. Inspektor przywołał Sharpe'a, a pozostałej dwójce kazał trzymać wartę przed domem. Nie liczył, by Maggie Peterson wpadła z sąsiedzką wizytą, ale wolał mieć baczenie na wszystko.

W domu Bill przejął ster.

– Słucham pana, inspektorze. O co chodzi?

Śledczy wyłożył sprawę w zakresie, w jakim przedstawiała ją media.

– Mamy powody przypuszczać, że pani Peterson ma informacje na temat chłopca.

– Skąd?

– Jej mąż był ostatnią osobą, z którą widziano niemowlę, zanim sam zginął następnego dnia. Nie wiadomo, co zrobił z dzieckiem, gdyż w naszych kartotekach nie ma śladu takiego zgłoszenia. Pani Peterson podobno nic o tym nie słyszała, ale zaraz potem wyjechała z miasta razem z synem.

– Sądzi pan, że to on?

– Powiedzmy, że istnieje takie prawdopodobieństwo.

- Jak pan tu do niej dotarł?
- Na podstawie wywiadu – odrzekł Droy.
- To pewnie ci obcy ludzie! – wykrzyknęła Josie. – Pamiętasz, tato, jak o nich wypytywała? A rano, gdy poszłam po Rogera, już jej nie było.
- Próbował jej pan szukać? – zapytał inspektor.
- Bill potrząsnął głową.
- Nawet nie wiedziałem, że zniknęła. Nie zaglądałem tam wczoraj. A gdy Josie wróciła rano bez małego, uznałem, że oboje są u Bridgerów.
- Wycięła im niezły numer – zauważył Droy. – Pułkownik ma teraz twardy orzech do zgryzienia.
- Na moment zapadła cisza.
- Czyli nie wie pan, dokąd mogła pojechać?
- Nie – odparł Bill krótko.
- Nigdy nie wspominała o rodzinie lub znajomych, których by chciała odwiedzić?
- Nie. Była raczej dyskretna. Rzadko mówiła o sobie. Wyjechała z Plymouth po śmierci męża z obawy przed nalotami. – Na długą chwilę popadł w zamyślenie. – Mówi pan, że Roger to nie jej syn?
- Prawdopodobnie. Dlatego trzeba ją znaleźć, zanim chłopcu stanie się krzywda.
- Tym akurat bym się nie przejmował. Była wobec niego bardzo opiekuńcza, prawda, Josie?
- Dziewczynka siąknęła nosem.
- Bo ja wiem – wymamrotała. – Ale kto w końcu jest jego mamą?
- Doskonałe pytanie, Josie – pochwalił Droy. – Powtarzam, że dopóki nie znajdziemy pani Peterson i chłopczyka, nic nie wiadomo na pewno.

Bill Merton spojrział przez okno w kierunku chaty ukrytej za polami u podnóża dworu. Wiedział, że to koniec. Jego marzenia o szczęśliwej rodzinie można było włożyć między bajki. A jednocześnie przemawiały do niego wnioski inspektora: że Maggie porwała dziecko i ukrywa się przed pościgiem, choć brzmiało to ze wszech miar odrażająco.

- Gdyby kiedykolwiek próbowała nawiązać z panem kontakt, bardzo proszę niezwłocznie dać nam znać. – Droy zapisał numer telefonu i swoje nazwisko na skrawku papieru.
- Musiała wsiąść do pociągu z mlekiem – rzekł Bill. – Radzę popytać na stacji.
- Dziękuję. Tak zrobimy.

Gdy radiowóz wyjeżdżał z obejścia, Andy Sharpe popatrzył na dwójkę Mertonów spoglądających za nimi.

- Szkoda faceta – mruknął pod nosem. – Ta kobieta to same kłopoty.

Maggie była pierwszą klientką, ledwie bank zdecydował się wreszcie rozewrzeć ciężkie wrota. Śpiący w wózek Roger został w cieniu markizy przed witryną sklepu spożywczego za rogiem. Wewnątrz panował ruch, więc według wszelkich pozorów dziecko miało należeć do którejś z klientek robiących zakupy, a Maggie spodziewała się szybko po nie wrócić. Dopiero wypełniając druczek, zdała sobie sprawę, że nie może podjąć oszczędności zdeponowanych na długoterminowej lokacie. Przy okienku okazała książeczkę i poprosiła o aktualny wyciąg z bieżącego rachunku.

– Proszę wybaczyć, gdzie ja mam głowę! – Posłała kasjerowi przepaszający uśmiech.

– Nic nie szkodzi. – Młody urzędnik o nazwisku Ted Stokes zniknął na zapleczu, by po chwili wręczyć jej zaklejoną kopertę.

Lokatorzy regularnie płacili czynsz. Ku swej bezmiernej radości Maggie zanotowała kwotę siedemdziesięciu czterech funtów w odpowiedniej rubryce formularza przed opatrzeniem go zamasztyłym podpisem.

– Chciałabym dokonać wypłaty – powiedziała, kładąc dokument na ladzie.

Na twarzy urzędnika odbiło się zdumienie.

– Wyczyści pani rachunek praktycznie do zera – uprzedził w popłochu.

– Chyba mam prawo rozporządzać własnymi pieniędzmi? – Maggie zeszywniała.

– Jak najbardziej, szanowna pani, ale to spora suma. Czy nie wolałaby pani skorzystać z opcji czeku bankowego, by nie nosić tyle gotówki po ulicach?

– Nie – odparła Maggie stanowczo. – Poproszę o wypłatę w banknotach jednofuntowych, natychmiast, jeżeli pan łaskaw.

– Naturalnie, w tej chwili. Muszę jednak poinformować panią, że dalsze prowadzenie rachunku wymaga depozytu w wysokości przynajmniej jednego funta.

– Mam tego świadomość, drogi panie. I dlatego tyle właśnie zostawiam.

Ted Stokes wydobyl plik banknotów z szuflady pod kontuarem. Wprawnie wydzielił żadaną kwotę, by następnie przeliczyć ją na oczach klientki.

– Zapakować pieniądze do koperty?

– Niech będzie – zgodziła się Maggie.

Urzędnik podał jej pękata pączkę.

– Proszę uważać przy jej otwieraniu. To naprawdę duzo pieniędzy, niejednego może zakłuć w oczy.

– Dziękuję za radę – odparła Maggie beztrasko i wcisnąwszy kopertę do torby, z lekkim sercem wyszła na ulicę.

Jej szampański nastrój prysnąłby zapewne, gdyby zauważyła Teda Stokesa w ożywionej dyskusji z naczelnikiem banku za swoimi plecami.

– Trzeba mnie było zawołać – pouczył pan Dale. – Nie możemy zamykać ludziom rachunków ot tak, na życzenie.

– Jej konto zostaje czynne – przypomniał Stokes.

– Mimo wszystko to zbyt duża kwota do jednorazowego poboru.

– Miała książeczkę oszczędnościową, wszystko wyglądało w porządku – bronił się Stokes.

– I zapewne było. Lecz w przyszłości proszę nie dokonywać tak znaczących wypłat bez autoryzacji.

Ted Stokes wrócił do swojego okienka, rad, że przełożony nie zażądał walidacji podpisu. Młodzieńcowi zimny pot wystąpił na czoło na myśl, że mógł wydać pieniądze komuś innemu.

Maggie tymczasem zdążyła już oddalić się w stronę śródmieścia. W ciągu długich godzin oczekiwania na otwarcie banku dojrzała do podjęcia kluczowej decyzji. By zacząć nowe życie z dala od Plymouth, należało znaleźć Rogerowi bezpieczne schronienie i kontynuować ucieczkę w pojedynkę. Noc w Swanie dowiodła tego najlepiej. Samotna kobieta z niemowlęciem stanowiła zbyt łatwy łup dla zdieńców pokroju pani Dawkins. I choć Roger bezwzględnie należał do niej, wiedziała, że w wypadku aresztowania nigdy więcej by go nie ujrzała. Za wszelką cenę musiała pozostać na wolności, by opracować dla nich plan na przyszłość i wówczas po niego wrócić.

Kolejne godziny spędziła, zaopatrując się we wszystko, co niezbędne dla uskutecznienia swej intrygi, i o zmroku była gotowa.

David Shawbrook przekroczył próg banku pół godziny po wyjściu Maggie, by uiścić czynsz za kolejny tydzień. Vera nie mogła tego przeboleć.

– Z jakiej racji mamy jej jeszcze płacić? – wymawiała ojcu.

– Na razie korzystamy z jej własności, a to ma swoją cenę. W przeciwnym razie nie byłibyśmy wiele lepsi od niej.

– Nieprawda – zżymała się Vera. – Kradzież dziesięciu szylingów a kradzież dziecka to nie to samo.

– Ale nadal kradzież – skwitował David.

– Na twoim miejscu nie darowałabym tej kobiecie ani grosza więcej.

– I tak nie miałybyś z czego – odparował ojciec.

Vera zwiesiła głowę, więc łagodniej dodał:

– To już ostatni raz, za tydzień się wynosimy.

Żadne z nich nie czuło się komfortowo, wynajmując mieszkanie od kobiety, która w ich przekonaniu uprowadziła Freddiego. Toteż z chwilą odzyskania pełnej samodzielności Vera ochoczo podjęła się poszukiwań nowego lokum. Mimo nędzy panującej na rynku udało jej się znaleźć mieszkanie na parterze starej willi na przedmieściach w St Jude's. Potrzebowali teraz więcej miejsca, gdyż oprócz niecierpliwie oczekiwanego powrotu małego dziecka rodzina miała wkrótce powiększyć się także o Andy'ego Sharpe'a.

Posterunkowy nabrał zwyczaju wpadać do Shawbrooków w drodze powrotnej z pracy, oficjalnie po to, by na bieżąco informować ich o rozwoju śledztwa. W rzeczywistości jednak młodzieńca ciągnęło do Very. Jej wybuchowy charakter nie zrażał go w najmniejszym stopniu. Rozumiał, że nerwowość dziewczyny brała się ze strachu i z poczucia winy, dodatkowo spotęgowanych żalobą. Lecz jej swada i nieustępliwość coraz bardziej zyskiwały w jego oczach, aż do głosu doszły uczucia.

Pewnego wieczoru, siedząc z nią na kanapie w piwnicy pod nieobecność Davida, policjant po raz kolejny wysłuchiwał narzekania sfrustrowanej dziewczyny na opieszałość śledczych.

– Robimy, co w naszej mocy – zapewnił. – Musisz cierpliwie czekać.

– To nie jest moja najmocniejsza strona – wymruczała Vera.

– Serio? Nie zauważyłem! – parsknął Andy, czym zasłużył sobie na kuksańca w ramię.

– Zacznij się przyzwyczajać, bo tak już zostanie.

– Nauczę się z tym żyć – odparł pogodnie.

Vera rzuciła mu nieśmiałe spojrzenie spod rzęs.

– Naprawdę?

– A mam inne wyjście?

– W sensie?

– Chyba czas pomyśleć o ślubie, nie uważasz?

– Ja mam za ciebie wyjść?

– Nie widzę tu nikogo innego.

– A jeżeli nie chcę?

– To będę musiał cię przekonać.

– Ciekawe jak!

– Hmm, zacząłbym pewnie od tego. – Andy otoczył dziewczynę ramionami i złożył na jej ustach zmysłowy pocałunek. Vera stopniowo rozluźniła się w jego objęciach, odwzajemniając pieszczotę.

– Czy to wystarczający argument? – Spojrzał z góry w jej rozgwieżdżone oczy.

– Mhm.

– To znaczy „tak”?

– Mniej więcej.

Andy znowu ją pocałował.

– Świetnie! – stwierdził na koniec. – Umowa stoi.

– A Freddie? – spytała Vera z nagłym niepokojem.

– Znajdziemy go, a ja zostanę najlepszym tatą pod słońcem. – Zachwyt na twarzy dziewczyny niemal roztopił mu serce. – Kocham cię na zabój, mała zolzo. Zrobię dla was wszystko, obiecuję.

David z rezerwą odniósł się do pomysłu małżeństwa nieletniej córki, lecz gdy poznał Andy’ego bliżej, pojął, że trudno o lepszego kandydata. Mężczyzna przewyższał ją wiekiem o sześć lat i był chodzącym przykładem tego, co David określał mianem „równowagi”. Ewidentnie ubóstwiał Verę, przeważnie przymykając oko na jej wybryki, lecz wystarczyło, by powiedział „nie”, a krnąbrna pannica pokorniała i kładła uszy po sobie.

– Boję się, że zginie bez oparcia – wyznał starszej córce. – A on ma na nią dobry wpływ.

– W sensie: krótko ją trzyma? – Mu parsknęła śmiechem, a ojciec przytaknął.

– Tak między nami, nie każdy by się na to pisał. Andy to dobry chłopak, w pełnym znaczeniu tego słowa, i podobno czeka go awans. Będzie mógł utrzymać rodzinę, gdy Freddie się znajdzie, i zapewnić mu ojca w odpowiednim wieku. Ja natomiast chętnie skorzystam z przywilejów mojej prawowitej roli dziadka.

– Mały nie będzie pamiętał, że kiedykolwiek grałeś jakąś inną – zapewniła go Mu. – Czyli zamierzasz się zgodzić?

– Już to zrobiłem. Chociaż ciągle twierdzę, że ona jeszcze nie dorosła.

– Czy to ważne? – Mu przekrzywiła głowę. – W dzisiejszym świecie tak trudno o odrobinę szczęścia. Niech korzystają z niego, póki czas. Wszystkim nam to potrzebne, aby dotrzeć do końca wojny.

Słowa Muriel wciąż dźwięczały mu w uszach w drodze do banku. Nancy była niewiele starsza od Very, kiedy się pobrali, a żadne z nich nie żałowało ani jednego dnia, który przeżyli razem. Chociaż Vera... Nie potrafił tego dobrze sprecyzować, ale wolał, by ktoś miał na nią oko.

„Ostatnia zapłata”, pomyślał z ulgą, pchnąwszy ciężkie drzwi. Każdy dług należało spłacić, ale cieszył się, że opuszczą dom przy Marden Road. Ku jego zaskoczeniu poczekalnia ziała pustkami, więc minąwszy przeszklone biuro naczelnika, udał się od razu do kasy.

– Dzień dobry panu – powitał Teda Stokesa. – Jak zwykle wpłata czynszu.

Młody człowiek rozpoznał stałego bywalca.

– Dzień dobry.



– Dlaczego nikogo nie ma? – David spojrział na boki. Wizyty w banku zwykle wiązały się z długim oczekiwaniem.

– Słaby dzisiaj ruch – przyznał urzędnik. – Przed panem obsłużyłem ledwie czworo klientów od rana.

David położył na ladzie kwit mieszkaniowy i pieniądze.

– Zabawne, że akurat jedną z tych czterech osób była właśnie pani Peterson – rzekł Stokes, rzucając okiem na dokument.

– Proszę? – David sądził, że się przesłyszał. – Ta pani Peterson? – Wskazał kwit w rękach młodzieńca.

Wyraźnie zdeprimowany jego reakcją urzędnik poczerwieniał.

– Przepraszam, to poufna informacja. Nie powinienem się odzywać.

– Była tu dziś rano? Kiedy? Miała ze sobą małe dziecko? W którą stronę poszła? – Pytania padały jedno za drugim, jak pociski, a pan Stokes z każdą chwilą tracił rezon.

– Bardzo proszę zapomnieć o tym, co powiedziałem. Będę miał nieprzyjemności.

– Obawiam się, że to niemożliwe. Muszę porozmawiać z naczelnikiem.

– Po co od razu fatygować pana Dale’a? – Ted Stokes przybrał błagalny ton. – Popełniłem błąd, ale to się więcej nie powtórzy, przysięgam.

– Nie chodzi o pana – zapewnił David struchlałego kasjera. – Proszę zaprowadzić mnie do pana Dale’a, a nie omieszkam wspomnieć, jak bardzo pan mi pomógł.

– Skoro pan nalega – jęknął młody człowiek, wyłamując palce.

Na widok Stokesa w towarzystwie klienta naczelnik wyszedł zza biurka.

– Chciałbym zamienić z panem dwa słowa na osobności – rzekł David, a zwracając się do kasjera, dodał: – Jestem panu niezmiernie zobowiązany.

Stokes rzucił mu spojrzenie spode łba, nim pośpieszył z powrotem do okienka, przed którym właśnie pojawił się kolejny klient.

Pan Dale podsunął gościowi krzesło, a sam wrócił na swoje miejsce i złączywszy dłonie, skupił uwagę na przybyłym.

– Czy mogę służyć? Chciałby pan otworzyć u nas rachunek?

– Nie, nie o to chodzi. – David zebrał myśli. – Proszę pozwolić, że wyjaśnię. Wynajmuję mieszkanie u klientki tego banku, pani Margaret Peterson. Co tydzień osobiście wpłacam na jej konto równowartość czynszu, jak dzisiaj. Z tego, co rozumiałem, pani Peterson wstąpiła dziś do państwa, a to dla mnie sprawa niezwyklej wagi. Poszukuję jej od dłuższego czasu, lecz miałem powód sądzić, że wyjechała z miasta. Czy może pan potwierdzić jej wizytę?

Kamienne oblicze zwierzchnika nie zostawiało złudzeń.

– Niestety obowiązuje mnie klauzula poufności wobec naszych klientów.

David jakby nie słyszał.

– Bo gdyby okazało się, że to prawda, to jestem zmuszony prosić, by zechciał pan zatelefonować na komisariat i zawiadomić inspektora Droya, a w razie jego nieobecności sierżanta Sharpe’a. Gwarantuję, że wszelkie świadectwo na temat pani Peterson zjedna panu ich wdzięczność.

– Pańskie słowo ma mi wystarczyć?

– Inaczej narazi pan niespełna roczne dziecko na niebezpieczeństwo.

– Nie rozumiem, co to ma wspólnego z naszym bankiem. Nie wolno mi udzielać takich informacji.

– Wobec tego w tej chwili idę na policję i ręczę, że zostanie pan wezwany na przesłuchanie.

– To pańskie prawo, choć powtarzam, że nie mogę pomóc. A pan Stokes odpowie za swój brak profesjonalizmu, już ja tego dopilnuję.

– Gdyby za jego sprawą udało się pojmać porywaczkę, spodziewałbym się raczej nagrody i pierwszorzędnej reklamy pańskiej instytucji. – To rzekłszy, David opuścił biuro naczelnika. Przed wyjściem przystanął przed kasą.

– Z całego serca żałuję, jeżeli sprowadziłem na pana kłopoty. Ale błagam, niech mi pan zdradzi tylko jedno: czy miała ze sobą niemowlę?

Urzędnik zerknął w kierunku pana Dale'a, który właśnie rozmawiał przez telefon.

– Nie – mruknął, po czym nie obdarzył już klienta uwagą.

Prosto z banku David taksówką pojechał na komisariat, ale nie zastał ani inspektora, ani przyszłego zięcia.

– Kiedy wrócić? – zapytał, bliski rozpacz. – Mam bardzo ważne informacje na temat ściganej kobiety.

– Nie potrafię powiedzieć – usłyszał na recepcji. – Może pan zostawić wiadomość, przekażę im jak najszybciej.

Sfrustrowany David skreślił kilka zdań na podsuniętej karcie, donosząc o wizycie Maggie Peterson i słowach naczelnika banku.

*Bardzo proszę o pilny kontakt. David Shawbrook*

Zapadał zmierzch, gdy Stella opuściła siedzibę kobiecego wolontariatu, gdzie pełniła dyżur w czwartki i piątki. Jej zmienniczka, Ann Phelps, utknęła w autobusie, który przekierowano na objazd przez blokadę saperów rozbijających niewypały. Trudno było ją winić, zważywszy na ciągłe interwencje i naprawy w mieście, lecz Stella miała za sobą długi, męczący dzień i nawet kilka minut oczekiwania na przystanku wytrąciło ją z równowagi.

Ledwie się doczekała, konduktor zaanonsował zmianę trasy. Zrezygnowana, zajęła miejsce przy oknie, chłonąc obraz zdewastowanych ulic migających za szybą. Wtem zauważyła Maggie Peterson śpieszącą chodnikiem na równi z pełznącym autobusem. Stella zmrużyła oczy. Niemożliwe, by się pomyliła, ale co na Boga Maggie Peterson robi w tej części Plymouth? Czy w ogóle w Plymouth, skoro tak drżała o bezpieczeństwo Rogera? Niezależnie od policyjnych doniesień Stella nie wątpiła w autentyczne przywiązanie sąsiadki do małego. A kobieta za oknem nie miała ani wózka, ani niemowlęcia. Obarczona pokaznym plecakiem, wyglądała na podminowaną.

Pojazd zahamował, więc Stella zabębniła pięścią w okno. Podróżna zadarła głowę i na ułamek sekundy spojrzenia obu kobiet się spotkały. Stella uniosła rękę, lecz w tym samym momencie przypuszczalna Maggie Peterson biegiem wyrwała do przodu, wyprzedzając ślamazarny wehikuł, by zaraz zniknąć za węglem. Stella już miała wstać i poprosić o otwarcie drzwi, gdy autobus nieco przyspieszył. U wylotu przecznicy, w którą skręciła Maggie, wyteżyła wzrok, ale nie dostrzegła już kobiety z plecakiem lub kogokolwiek w biegu.

Przez moment rozważała, czy nie wsiąść na następnym przystanku, lecz w ostatniej chwili zmieniła zdanie. Jaki sens miałyby szukanie jej teraz? Musiała już być daleko, a nawet gdyby jakimś cudem Stelli udało się ją dogonić, znacznie młodsza kobieta bez trudu zgubiłaby ją ponownie wśród rumowisk. Oblężenia radykalnie przeorientowały topografię miasta, odkrywając całkiem nowe szlaki komunikacyjne i kryjówki w miejscu zbombardowanych ulic i budynków.

Do końca podróży Stella nie oderwała się od okna na wypadek, gdyby znów spostrzegła sąsiadkę, bo im dłużej roztrząsała incydent w myślach, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że to była Maggie. Szczególnie biorąc pod uwagę reakcję kobiety, która ewidentnie ją rozpoznała, nim rzuciła się do ucieczki. Ktoś obcy nie zwróciłby uwagi na jej gest lub mimochodem odpowiedział na pozdrowienie. Tylko gdzie był Roger? Kobieta z całą pewnością nie miała ze sobą malca. Co więc z nim zrobiła?

Wracając z przystanku do domu, Stella przystanąła przed furtką pod numerem trzydziestym czwartym. Czyżby Maggie wróciła do domu? Może powinna zapukać? Ale co powiedzieć Shawbrookom? Że widziała Maggie z okna autobusu? Znów opadły ją wątpliwości. Uciekiniarka wyglądała zupełnie jak Maggie, lecz skoro nie było z nią dziecka, to może jednak nie ona? Co więcej, taka wiadomość przysporzyłaby im tylko dodatkowego stresu.

Gdyby przechodziła kwadrans później, napotkałaby policyjny patrol zmierzający pod ten sam adres i wówczas może zdałaby relację z tego, co widziała. Zamiast tego podjęła jednak wspinaczkę w górę zbocza, marząc o filiżance herbaty i relaksującym wieczorze w zaciszu własnego domu.

„To nie na moje lata – pomyślała, gdy z westchnieniem ulgi opadła na fotel w salonie. – Maggie Peterson to już nie mój problem. Powiedziałam wszystko, co wiem, teraz niech się służby wykażą”.

Z kubkiem świeżo zaparzonej herbaty usiadła w oranżerii na tarasie. Ogród tonął w promieniach zachodzącego słońca rzucających ciepłe refleksy na liście kępy nawłoci przy składziku. Wbrew radom ogrodnika Stella nie mogła się zdobyć na wykopanie mizernej rośliny, którą John zasadził tuż przed śmiercią.

Niestety na wycieracze nie znalazła żadnej korespondencji, a z utęsknieniem wyglądała wiadomości od Harriet. Liverpool, podobnie jak Plymouth, wpadł w oko Luftwaffe, więc Stella drżała z niepokoju o rodzinę córki.

Rozkoszując się widokiem ogrodu, przypomniała sobie wizytę zdesperowanej Very. Niezależnie od wieku macierzyństwo rządziło się swoimi prawami. Gdyby Harriet przepadła bez wieści, Stella również odchodziłaby od zmysłów. Wykazała jak najlepszą wolę podczas przesłuchania, odkąd kłamstwa Maggie wyszły na jaw. Zamiast Shawbrooków należało przede wszystkim zawiadomić władze i pozwolić im robić swoje. Z postanowieniem złożenia wizyty inspektorowi Droyowi następnego ranka w drodze do wolontariatu poszła do kuchni przyrządzić sobie kolację.

W trakcie posiłku nad dachami poniósł się ryk syren, ale Stella tylko zgłosiła radio, by jakby nigdy nic dokończyć posiłek. Wiele miesięcy wcześniej podjęła decyzję, że nie da się zastraszyć.

– Jestem za stara na ganieńce nocami po ulicach czy przesiadywanie w piwnicy – odpowiadała na wymówki zatroskanej córki. – Sama o siebie zadbam, więc przestań się przejmować.

Alarm okazał się fałszywy, lecz Stella poszła spać, jeszcze zanim go odwołano.

Tymczasem po sąsiedzku dwóch funkcjonariuszy zastukało do drzwi Shawbrooków, gdzie cała rodzina oczekiwała ich powrotu z Martindell. Vera na powitanie rzuciła się Andy’emu na szyję.

– Ta cała Maggie wróciła do Plymouth – obwieściła z przejęciem. – Ponoć widziano ją w banku.

– Po kolei – mitygował David. – Najpierw posłuchajmy, co udało się panom odkryć w Martindell.

Inspektor Droy zrelacjonował przebieg wyprawy.

– Niewiele jej było trzeba, by nabrać podejrzeń – powiedział. – Kilka niewinnych pytań państwa Davenhamów z miejsca zbudziło jej czujność, a pani kolor włosów musiał przeważać szalę. Bez wątpienia oboje zdążyli opuścić Martindell przed naszym przybyciem.

– Co mówią ludzie we wsi? – zainteresował się Patrick.

– Rozmawialiśmy z Bridgerami oraz właścicielem sąsiedniego gospodarstwa i jego córką. Nikt nie ma pojęcia, dokąd wyjechała. Kasjer na dworcu potwierdził, że wsiadła do pierwszego pociągu do Exeter wczoraj rano. Podobno pytała o połączenia powrotne i nawet kupiła bilet, ale jak się państwo domyślają, nigdy z niego nie skorzystała. Wyjechała chyłkiem, bez słowa pożegnania.

– A dziś pojawiła się w Plymouth – mruknął David.

– Ale po jakie лихо? – Vera zmarszczyła brwi. – Przecież to szaleństwo!

– Po pieniądze – odparł ojciec celnie.

– Tyle że bank odmawia współpracy – dodała Mu.

– To się da załatwić – stwierdził Droy. – Sęk w tym, że może już być za późno. Z pieniędzmi w kieszeni ma wolną rękę, aby wyfrunąć dokądkolwiek.

– Ustalmy, że nie dostanie już od nas ani grosza! – zażądała Vera, a ojciec skinął głową.

Nieco później zwierzył się Muriel na stronie:

– Martwi mnie, że nie miała ze sobą Freddiego.

– Może czekał na dworze w wózku? – podsunęła córka.

– Pewnie tak...

– Mówiłeś o tym Verze?

– Nie, a na szczęście sama nie zapytała.

– Prędzej czy później to zrobi.

– Poczekam. Zresztą przypuszczalnie masz rację, zostawiła go gdzieś na zewnątrz.

Maggie szparko zmierzała do centrum. Miała zamiar wyjechać z Plymouth tak samo niepostrzeżenie, jak dotarła tu poprzedniego dnia. Wolała nie zbliżać się do dworca, lecz w śródmieściu chciała złapać autobus do którejś z podmiejskich stacji i stamtąd ruszyć dalej. Bez Rogera nic nie ograniczało jej swobody ruchów – mogła jechać gdzie bądź i na bieżąco zmieniać dalsze plany. Z zamyślenia wyrwało ją stukanie tuż nad uchem. Podniosła wzrok i serce skoczyło jej do gardła. Za szybą autobusu sunącego wolno wzdłuż chodnika napotkała twarz Stelli Todd. Gdy sąsiadka uniosła rękę, Maggie, niewiele myśląc, wzięła nogi za pas. Zostawiwszy autobus w tyle, na pierwszym skrzyżowaniu rzuciła się w lewo, a zaraz potem w prawo, po czym zwolniła kroku, by nie wzbudzać ciekawości przechodniów. Miała sobie za złe, że tak się zdradziła. Należało udać kogoś obcego i przejść obojętnie, a tym samym zasiać u sąsiadki ziarno wątplenia. Tymczasem, jeżeli kobieta wiedziała o poszukiwaniach Maggie, jeszcze gotowa wysiąść przy najbliższej okazji i zawiadomić policję.

Uwolniona od odpowiedzialności za niemowlę, nie przewidywała większych perturbacji. Odkryła, że ze stacji w Saltash może dotrzeć nawet do Penzance, które wydawało się już dostatecznie odległe. Upychając poczynione wcześniej sprawunki w plecaku, nie mogła się nadziwić, jakie wszystko było prostsze bez Rogera. Koniec z pieluchami, ciągłym szukaniem mleka i wielokrotnym wstawaniem w ciągu nocy.

Najbliższy pociąg do Kornwalii przez Saltash odjeżdżał następnego dnia rano, lecz po spotkaniu Stelli nie mogła zostać w Plymouth jeszcze jednej nocy. A na dworcach roilo się pewnie od policji.

Zła na sąsiadkę i siebie samą, krążyła bez celu po ulicach, aż natknęła się na przystanek nocnej linii, gdzie czekało już kilka osób.

W apogeum kampanii nalotów wiosną tego roku uruchomiono wieczorne połączenia dla ludzi masowo opuszczających miasto. Z każdym dniem przybywało bezdomnych, którzy godzinami wystawali na umownych przystankach, zanim któryś z ochotniczych kierowców wywiózł ich na odludzie, skąd wracali rano po nocy spędzonej w autobusie lub dostawczaku udostępnionym przez niektóre z większych sieci handlowych.

Pomysł, by wyjechać z miasta pod osłoną nocy, a z samego rana znaleźć dalszy transport. wydał jej się kuszący. Zagadnęła jedną z czekających kobiet o godzinę odjazdu autobusu.

– Kto to może wiedzieć? Pewnie z jakieś pół godziny – odparła zapytana ze wzruszeniem ramion.

Maggie ssało w żołądku. W pół godziny zdążyłaby coś przekąsić. Nieopodal spostrzegła mały bar, gdzie za jednego szylinga zjadła talerz zupy, po czym wróciła na przystanek równo z przyjazdem piętrowego autobusu. W lot pojęła, że nie starczy miejsca dla wszystkich. Przeciskając się na czoło kolejki, złękła się, że to być może ostatni kurs z tego przystanku, a nie wiedziała, gdzie szukać innej linii. W przypiływie determinacji bezceremonialnie odepchnęła jakąś staruszkę i zajęła jej miejsce.

– Hola! – zawołał męski głos i ktoś chwycił ją z tyłu za plecak. – Nie tak prędko! Wynocha na koniec kolejki!

– Ręce precz! – wrzasnęła Maggie.

– O ile przepuści pani moją żonę i mnie – warknął mężczyzna.

Konduktor nie kazał na siebie czekać.

– O co ten hałas?

Maggie nie zwlekała.

– Ten człowiek nie pozwala mi wsiąść do autobusu!

– Bo wcisnęła się bez kolejki! – dobiegło z tłumu, czemu zawtórował chór innych głosów.

– Przyszła dopiero przed chwilą i od razu pcha się do drzwi.

– Stoimy od pół godziny!

– Proszę poczekać z boku, aż wszyscy zajmą miejsca – rzekł konduktor grzecznie.

Poczerwieniała z oburzenia Maggie szarpnęła za plecak wciąż przytrzymywany przez mężczyznę z tyłu.

– Mam takie samo prawo wsiąść do autobusu jak wszyscy! – zawołała.

– Naturalnie, ale w swoim czasie.

Czekający ludzie kolejno wspinali się na pokład, a gdy para, z którą Maggie wdała się w spór, zniknęła w środku pojazdu, konduktor podniósł rękę.

– Przykro mi, proszę pani. Brak wolnych miejsc.

– Że co?! – krzyknęła piskliwie. – Co to ma znaczyć?

– Ten pojazd ma pozwolenie na przewóz trzydziestu sześciu pasażerów i tyłu właśnie wsiadło.

– Ale ja muszę wyjechać! – Maggie zatrzęsała się z furii.

– Trzeba było czekać jak inni. – Konduktor uderzył w dzwonek.

– Złóż na pana doniesienie! – krzyknęła, gdy autobus odbił od krawężnika.

– Powodzenia, jestem ochotnikiem – doleciało z wnętrza, zanim kierowca pojazdu zamknął drzwi.

Wściekła i upokorzona, Maggie została sama na chodniku. Niepotrzebnie zrobiła scenę, zamiast zwyczajnie zapytać o następny kurs. Choć na dobrą sprawę było jej wszystko jedno, czy ktoś z przystanku później ją rozpozna. Po wyjeździe z Plymouth żadne oskarżenia już by jej nie dosięgły.

Ostatecznie doszła do wniosku, że nawet gdyby Stella ją wydała, służbom zabrakłoby ludzi do przeprowadzenia obławy. Unikając głównych bulwarów, dotarła w pobliże dworca centralnego, aby wsiąść w pierwszy lepszy pociąg jadący na północ, a potem przedostać się do Penzance, lecz w tym momencie pod niebo gruchnął jęk syren.

– Wszyscy do schronu! – zakrzyknął obok strażnik miejski, gestem wskazując zejście do podziemi na obrzeżach parku. Maggie zawróciła, lecz mężczyzna przeciął ulicę i zatarasował jej drogę. – Tędy, droga pani, wszyscy się pomieszczą.

– Wolę wrócić do siebie.

– To zbyt niebezpieczne – ostrzegł mężczyzna. – Miejmy nadzieję, że polecą dalej i lada chwila będzie po krzyku. Ale nie może pani zostać teraz na zewnątrz – dodał tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Maggie, już raz zrobiwszy z siebie widowisko, wołała nie ryzykować, więc zapuściła się z innymi do podziemi. W środku przycupnęła na ławie pod ścianą w jednej z mrocznych sal. W miarę jak schron się wypełniał, pogratulowała sobie w duchu, gdyż przybyli później musieli stać lub siadać na ziemi. Sama znalazła się między szczupłą kobietą z dzieckiem na kolanach a krępkim mężczyzną o zmierzwionych włosach i kilkunastu zaroście.

– Pani wybaczy, musimy się trochę ścisnąć – zagadnął przyjaźnie.

– Przynajmniej siedzimy – odpowiedziała Maggie.

W górze nie milkły syreny, a wkrótce dołączył do nich warkot samolotów, lecz nie słyszeli odgłosów eksplozji, jakby rzeczywiście napastnik obrał tej nocy inny cel. W zatłoczonym wnętrzu zrobiło się ciepło i duszno, a Maggie, która prawie nie zmrużyła oka w norze pani Dawkins, poczuła obezwładniającą niemoc. Próbowwała zachować przytomność, wbijając sobie paznokcie w skórę dłoni, lecz powieki same jej się zamykały i w końcu zapadła w sen.

Mężczyzna obok z uśmiechem zerknął na głowę młodej brunetki, która spoczęła mu na barku. Przesunął się delikatnie, robiąc śpiącej miejsce, po czym objął ją za ramiona, by nie ześlizgnęła się z ławki. Spała jak zabita, nim godzinę później ku swemu zażenowaniu ocknęła się w objęciach nieznanego.

– Przepraszam – wyjąkała. – Długo spałam?

– Z godzinę – odparł sąsiad. – Ależ panią zmogło!

– Nie miałam kiedy wypocząć – przyznała Maggie oględnie. – Dziękuję, że posłuszyl mi pan za poduszkę.

– Zawsze do dyspozycji!

Kobieta po raz pierwszy przyjrzała mu się z uwagą. Przypominał Billa pod względem niedźwiedziojatej postury i ogorzałej twarzy nawykłej do słońca i wiatru. Był w średnim wieku, choć duże, bystre oczy nadawały mu młodszy wygląd, szczególnie gdy się uśmiechał.

– Mike Forest.

– Meg. – Maggie odkaszlnęła. – Meg Smith.

– Miejmy nadzieję, że ta drzemka postawi panią na nogi.

– Co za dzień – westchnęła. – Spóźniłam się na pociąg do domu, a teraz utknęłam tutaj. A pan?

– Przyjechałem z Kornwalii odebrać dostawę części – wyjaśnił Mike. – Jutro wracam ciężarówką do Falmouth.

– To ci historia! Naprawdę? – Oczy Maggie rozblęły.

– Tak, bo co?

– Nie uwierzy pan! – improwizowała swobodnie. – Jutro rano miałam jechać właśnie do Falmouth. Brat ma dwudniową przepustkę, więc specjalnie wzięłam wolne w pracy, lecz na stacji dowiedziałam się, że pociąg odwołano.

Mike Forest w istocie nie uwierzył. Mógł się jedynie domyślać, po co tak atrakcyjna kobieta wybiera się do Falmouth, ale wątpił, by chodziło o brata.

– Podobno nic nie kursuje aż do poniedziałku – ciągnęła nieznaną – więc nie zdążę się z nim zobaczyć, zanim znów wypłynie. – W jej głosie zabrzmiała płacziwa nuta.

– To rzeczywiście pech – przyznał Mike ze współczuciem.

Przepisy zabraniały mu brać pasażerów, choć sam nie miałby nic przeciwko towarzystwu w czasie długiej jazdy.

Zabrział sygnał odwołania alarmu. Spragnieni powietrza ludzie jęli gromadnie wstawać i garnąć się do drzwi.

Na zewnątrz Mike spojrział na nową znajomą.

– Może pani zabrać się ze mną – zaproponował. – Mam jeszcze parę spraw do załatwienia rano, więc planuję wyjazd jutro koło południa.



– Naprawdę? – Maggie posłała mu swój najbardziej czarujący uśmiech. – Bardzo chętnie, dziękuję. Gdzie się spotkamy?

– Podjadę przed bramę cmentarza tutaj, obok parku – zdecydował kierowca. – O dwunastej. Lecz uprzedzam, że nie będę czekał.

– Oczywiście – przystała Maggie skwapliwie. – Będę punktualnie.

– Na mnie czas. Do zobaczenia jutro – pożegnał się Mike, po czym zniknął w tłumie postaci rozproszonych w mroku.

Maggie nie uśmiechało się czekać w Plymouth jeszcze jeden dzień, lecz podróż prywatną ciężarówką wydawała się o niebo lepszym rozwiązaniem niż transport publiczny. „Muszę tylko nie rzucać się w oczy i nie zostawać zbyt długo w jednym miejscu”, przykazała sobie.

Należało jednak spędzić gdzieś noc. Bez Rogera mogła zrobić to, co wszyscy – poszła więc do pogotowia ratunkowego, gdzie każdy dostawał koc i kawałek podłogi do spania. Skorzystała z łazienki, po czym skulona w kącie pod przykryciem odpłynęła w niebyt.

Następnego ranka Droy i świeżo upieczony sierżant Sharpe przybyli do banku równocześnie z naczelnikiem. Inspektor wyjaśnił okoliczności wymagające ujawnienia transakcji Maggie Peterson.

– Przykro mi, mam związane ręce. – Pan Dale pokręcił głową. – Tylko nakaz sądu zwalnia mnie z tajemnicy zawodowej.

– W takim razie wrócimy z nakazem – rzekł Droy. – Życzę miłego dnia.

Okienko kasy świeciło pustkami, lecz policjanci natknęli się na pana Stokesa na schodach przed wejściem. Z dała od surowego wzroku przełożonego kasjerowi rozwiązał się język.

– Co za pomysł, aby nosić siedemdziesiąt cztery funty w kieszeni, choćby i w banknotach jednofuntowych? – zagadnął towarzysko. – Ale dziś nie brak takich, co na gwałt potrzebują gotówki i nie wahają się ogołocić rachunku z ostatniego pensa.

– To prawda – przyznał inspektor z uśmiechem. – Takie czasy.

Na posterunku czekała na niego wiadomość od Stelli Todd.

– Powiedziała, że wie coś na temat waszej poszukiwanej, Margaret Peterson. Nie chciała zaczekać ani podać szczegółów komu innemu niż pan. Prosiła o kontakt w siedzibie kobiecego wolontariatu w Mutley.

– Jedziemy. Sharpe!

Stella sortowała ubrania dla potrzebujących na zapleczu biura.

– Dzień dobry – powitała policjantów bez entuzjazmu.

Droy z miejsca przeszedł do rzeczy.

– Dzień dobry. Podobno ma pani jakieś informacje o Maggie Peterson?

– Tak – odparła kobieta z wahaniem, nie wiedząc, od czego zacząć. – Chociaż chyba powinnam uprzedzić panów wczoraj wieczorem, przepraszam.

– Nie szkodzi. Proszę mówić.

– Wczoraj, gdy wracałam stąd po dyżurze, mój autobus musiał zboczyć z trasy z powodu jakiegoś niewybuchu. Ulica się zakorkowała, więc posuwaliśmy się w żółwym tempie. I nagle przez okno zobaczyłam Maggie Peterson idącą chodnikiem tuż obok. Z początku nie wierzyłam własnym oczom. Powinna być z Rogerem gdzieś na wsi.

– Zauważyła panią? – spytał Andy Sharpe.

– Zapukałam w szybę, a gdy się obejrzała, pomachałam do niej z autobusu. Lecz ona na mój widok uciekła.

– Rozpoznała panią?

– Na pewno. Tyle że kierowca akurat znów przyhamował, więc szybko straciłam ją z oczu.

– Jest pani pewna, że to ona?

– Też zaczęłam się bać, że wzrok płata mi figle na starość. Zwłaszcza że nie było przy niej dziecka. Ale im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej wszystko zaczyna nabierać sensu. Kto inny dałby nogę, bo przypadkowa babcia macha mu z autobusu?

– Mówi pani, że była sama? – dociekał Andy.

– Musiała zostawić gdzieś dziecko. Może śpieszyła się, aby je odebrać, i dlatego pobiegła?

Śledczy wymienili spojrzenia.

– Gdzie to dokładnie było? – zapytał inspektor.

– W Mannamead – odrzekła Stella. – Co też mnie z początku zmyliło, bo skąd by się tam wzięła?

– W która ulicę skręciła?

– Nie widziałam nazwy, a nie orientuję się w tych okolicach. Gdyby nie zmiana trasy, nigdy bym tam nie trafiła.

– Ma się rozumieć – rzekł Droy cierpliwie. – Pamięta pani, co miała na sobie, albo jakiś szczegół, który mógłby pomóc?

– Niech pomyślę. – Stella zmarszczyła brwi. – Była ubrana w niebieską spódnicę w kwiatki, granatową bluzkę i kremowy żakiet. Ach tak, i dźwigała duży toból na ramionach.

– W sensie plecak, jak na wycieczkę?

– Coś takiego – potwierdziła Stella. – Plus torebka z przodu.

– Dziękuję. Dobrze pani zrobiła, dając mi znać.

Kobieta spuściła oczy.

– Gdybym nie zwlekała, może panowie już by ją wytopili.

Trudno się było zgodzić, lecz inspektor powiedział tylko:

– Nie ma czego żałować, wszystko bardzo się przyda. Nie będziemy dłużej przeszkadzać.

Na dworze zwrócił się do Andy'ego:

– Szkoda, że nie przysłała wczoraj, chociaż wątpię, by to coś zmieniło.

– Dokąd pana zdaniem zmierzała Maggie Peterson?

Inspektor rozłożył dłonie.

– Mogła iść tamtędy na dworzec. Odkąd ma pieniądze, co jak podejrzewam, stanowiło główny cel jej wizyty w Plymouth, pewnie szuka sposobu, by prysnąć. Wszystko jedno dokąd.

– Niepokoi mnie, co zrobiła z Freddie'm – westchnął Andy markotnie.

– Mnie też – przyznał przełożony. – Dlatego musimy dopaść ją jak najszybciej. Mamy zdjęcie poszukiwanej?

– Chyba widziałem kilka na kominku w salonie... – Sierżant podrapał się w głowę. – Ale sprzed kilku lat. Dlaczego? Co pan zamierza?

– Przede wszystkim rozpytać na dworcach, czy nikt jej nie widział. A poza tym dostrzegam pole do popisu dla Keitha Lane'a. Obiecaliśmy mu przeciek przed finałem historii, ale może byłby zainteresowany rozgrzaniem tematu wcześniej, w stylu: „Kto rozpoznaje tę kobietę?” wielkimi literami na pierwszej stronie obok fotografii. Może dostanie odpowiedź.

– O, niejedną – stwierdził młody człowiek ze śmiechem. – Większość niewiele wartych, ale czemu by nie spróbować. A nuż ktoś rzeczywiście skojarzy.

– W porządku – powiedział Droy. – Proszę poszukać zdjęcia u Shawbrooków. Ja zadzwonię do Keitha, zobaczymy, co może zrobić. Spotykamy się na posterunku.

Andy ruszył na Marden Road z nadzieją, że zastanie Verę. Odkąd pozbyła się laski, trudno było jej usiedzieć w domu. Tym razem dobrze trafił.

– Wiadomo coś? – zapytała dziewczyna, gdy wypuścił ją z objęć.

– Pani Todd się do nas zgłosiła.

– Po co? – mruknęła Vera z myślą o ostatnim spotkaniu z sąsiadką.

– Wczoraj wieczorem zauważyła Maggie Peterson w Mannamead z okna autobusu. Podobno na widok Stelli rzuciła się od uciezki.

– Z wózkiem?

– Nie. – Andy ujął narzeczoną za ręce. – Nie miała Freddiego.

– Jak to? To gdzie on jest? Co z nim zrobiła?

– Nie wiem, najdroższa, ale bądź pewna, że poruszymy niebo i ziemię.

Vera osunęła się na kanapę i ukryła twarz w dłoniach. Andy przygarnął ją do piersi, a gdy łkanie ucichło, podał jej chusteczkę.

– Zabiję ją, jeżeli coś mu się stanie – wycedziła dziewczyna zapalczywie.

– Nie sądzę, by na to pozwoliła. Wygląda, że naprawdę go kocha.

– On nie potrzebuje jej miłości – prychnęła Vera z goryczą.

– Najważniejsze to złapać trop, zanim zdąży opuścić Plymouth – stwierdził Andy. – Dlatego chcemy puścić w obieg jej fotografię. – Obejrzał się na kominek. – A niech to! Zabrała wszystkie.

– W kufrze walały się zdjęcia. – Vera natychmiast była na nogach. – Chodźmy zobaczyć w piwnicy.

Chwilę potem już grzebali w papierach na dnie skrzyni z wyłamanym zamkiem.

– Bingo! – zakrzyknęła Vera triumfalnie, dobywając pamiątkę ślubną Petersonów. – Pana młodego się wytnie.

– Albo to. – Andy zaprezentował wizerunek ciężarnej Maggie. – W sam raz na portret, bez dolnej połowy. – Wyłuskał odbitki z ramek. – Wezmę obydwa, niech nasi fachowcy decydują.

– Pójdę z tobą. – Vera na poczekaniu zatrasnęła wieko.

– Po co? – rzucił Andy. – Nie dopuszczają cię do udziału w śledztwie.

– Szukamy mojego syna!

– I dlatego najlepsze, co możesz zrobić, to zaufać ludziom, którzy wiedzą, jak go odnaleźć. – Przytulił ją i pocałował ponownie. – Obiecuję, że dowiesz się pierwsza, gdy tylko złapiemy trop.

Po wyjściu ukochanego Vera, niewiele myśląc, pokuśtykała do Stelli po więcej szczegółów, ale nie miała szczęścia. Głuchy na dźwięk dzwonka dom pod pięćdziesiątym trzecim milczał jak zaklęty.

Inspektor Droy był dobrej myśli. Mimo oporów naczelnika banku długi język niedoświadczonego kasjera ujawnił to, co trzeba. Maggie Peterson niechybnie wybierała się gdzieś na dłużej, skoro wyciągnęła wszystkie oszczędności w gotówce. Należało przypuszczać, że prędzej czy później spróbuje sprzedać dom, co nie umknęłoby uwadze służb. Fakt, że Roger nie pojawiał się w zeznaniach świadków, nakazywał pośpiech. Tylko podejrzana mogła naprowadzić ich na jego ślad. Wówczas w świetle dowodów, jakie udało się zgromadzić, procedura uznania rodzicielstwa Very Shawbrook nie powinna nastęrczyć trudności.

Po powrocie na komisariat inspektor zatelefonował do Keitha Lane'a z „Western Morning News”, który ochoczo przystał na jego propozycję wzmożenia poszukiwań za pośrednictwem dziennika.

– Redakcja mogłaby nawet rozważyć jakąś nagrodę – dorzucił mimochodem.

Wkrótce potem nadszedł Andy Sharpe z dwiema fotografiami, z których jedna po wykrojeniu portretu pasowała jak znalazł.

Ani się obejrzel, a urlop Patricka dobiegł końca. Mu, choć przygnębiona wyjazdem męża do Campbeltown w Szkocji, chodziła dumna jak paw z powodu jego awansu na porucznika. Postanowili zachować stancję u pani Dunbar. Spędziwszy tam pierwszych kilka dni małżeńskiego pożycia, zdążyli się zadomowić. Mu, która w zwykłych okolicznościach powinna po ślubie zrezygnować z pracy, otrzymała od naczelnego pielęgniarki zapewnienie, że wobec potrzeb kadrowych szpital z radością zatrudni siostrę Davenham bez przymusowego zakwaterowania w internacie.

W przeddzień rozstania Mu nie wybierała się na Marden Road.

– Nic tam po nas, a dzisiaj chcę cię tylko dla siebie – oświadczyła.  
– Nie jesteś ciekawa, czego Andy i inspektor Droy dowiedzieli się w banku?  
– Poczekam. Nasza obecność niczego nie przyspieszy, a należy nam się jeden dzień we dwoje. Co masz ochotę robić?

– Wrócić do łóżka – usłyszała natychmiast ku swemu rozbawieniu.

– A potem?

– Wycieczka za miasto?

– Dobrze, ale bez szpiegowania. Tylko dla przyjemności.

– Zgoda. Dokąd wyskoczymy?

– Co powiesz na piknik w Plym Forest? To niedaleko i łatwo dojechać autobusem.

– Pierwszorządny plan – ucieszył się Patrick. – Na potem.

Gdy uznali, że pora się ubrać, Mu przygotowała prowiant do zabrania i po krótkiej przejażdżce autobusem wysiedli na skraju lasu tętniącego dźwiękami lata. Promienie przenikające przez korony drzew rozlewały kałuże światła u ich stóp, w miarę jak przytuleni zagłębili się w zielony gąszcz. Wąskie ścieżki wyprowadziły ich wkrótce na skapaną w słońcu polanę, gdzie urządzili postój w zagłębieniu powalonego pnia.

„Nigdy nie zapomnę tej chwili”, pomyślała Muriel wyciągnięta obok ukochanego na kobiercu z mchu, spoglądając w czysty lazur nieba.

– A gdybyśmy poszli potańczyć dziś wieczorem? – rzekł Patrick zniecka.

– Gdzie? – zdziwiła się Mu.

– Na błoniach w Hoe. Zdaniem pani Dunbar to miejsce robi furorę. Co szkodzi zobaczyć?

Dotarwszy na wybrzeże, nowożeńcy ze zdumieniem ujrzeli tłum ludzi płaszących na trawie w poświęcacie zachodzącego słońca. Mężczyźni w mundurach wszelkiej maści, gospodynie i ekspedientki, urzędnicy wracający z pracy, starzy i młodzi, parami lub pojedynczo, wszyscy puszczały się w tany pośród dźwięków muzyki i beztroskiego śmiechu, choć przez chwilę wolni od udręki wojny.

Patrick zakreślił małżonką i przylgnął do niej w tańcu.

– Szczęśliwa? – wyszeptał, muskając oddechem jej skroń.

Mu podniosła na niego rozświetlone oczy.

– Tak jest, panie poruczniku.

I z resztą Plymouth wirowali pod gołym niebem, beztroscy i roześmiani, na przekór nazistowskim bandytom.

Po kolacji w śródmieściu każde z nich ciągnęło do domu, by ostatnie chwile spędzić sam na sam. Wynajęty pokój w ciągu kilku dni stał się ich ostoją, gniazdkiem miłości i załączkiem wspólnego życia.

– Będę sobie ciebie wyobrażał, kiedy piszesz do mnie listy przy tym stole – zażartował Patrick, gdy spleceni leżeli w łóżku. – Bo chyba teraz skrobiesz coś od czasu do czasu?

– Codziennie – przyrzekła Mu. – Kocham cię ponad wszystko.

Kompletnie rozbrojony poważnym spojrzeniem szmaragdowych oczu, Patrick obsypał żonę pocałunkami, napawając się jej rozkoszą. Tej nocy żadne z nich nie chciało tracić czasu na spanie.

Pożegnali się w pierwszym świetle brzasku. Mu woląla nie odprowadzać ukochanego na dworzec, by nie utrudniać im rozstania przy świadkach. Przywarli do siebie na długo, zanim po ostatnim pocałunku oficer wsiadł do taksówki i podał dyspozycje kierowcy. Samochód jeszcze nie zniknął za zakrętem, gdy Muriel poczuła w sercu znajome ssanie. Stara przyjaciółka tęsknota nie dała na długo o sobie zapomnieć.

**K**eith Lane przeszedł samego siebie. Inspektor z zadowoleniem zlustrował zdjęcie Maggie Peterson na pierwszej stronie porannej gazety pod wytłuszczonym nagłówkiem: „KTO JĄ WIDZIAŁ?”. Tekst poniżej głosił:

*Policja poszukuje Margaret Peterson (lat 27) w związku z zaginięciem Freddiego Shawbrooka, dziś jedenastomiesięcznego. Kobiętę mogącą naprowadzić służby na trop chłopca ostatnio widziano w Plymouth dwa dni temu, lecz niewykluczone, że zdążyła opuścić miasto. Wszelkie informacje pomocne w ustaleniu miejsca jej aktualnego pobytu prosimy kierować do inspektora Gordona Droya, a czytelnik, który przyczyni się do zatrzymania podejrzanej, otrzyma nagrodę w wysokości pięćdziesięciu funtów.*

Na posterunku pokazał gazetę Andy’emu.

– Szkoda, że wspomnieli o nagrodzie – stwierdził. – Teraz nie opędzimy się od najróżniejszych szajbusów.

Telefon w istocie rozdzwonił się od samego rana. Andy przeprowadzał wstępny wywiad, aby odsiać oczywiste pomyłki. Niejaka pani Dawkins domagała się obiecanych pięćdziesięciu funtów, twierdząc, że poszukiwana kobieta z dzieckiem spędziła noc w jej pubie. Jakiś mężczyzna dzwoniący z budki telefonicznej utrzymywał, że w czwartkowy wieczór Maggie próbowała wsiąść do nocnego autobusu na Alexandra Road.

– Ta sama kobieta co na zdjęciu, wysoka brunetka z plecakiem. Chciała wepchnąć się przed nas z żoną, ale konduktor odesłał ją na koniec kolejki i ostatecznie nie wsiadła.

Andy zanotował nazwisko i adres dzwoniącego.

– Rzeczywiście mogła się tam znaleźć, skoro wcześniej Stella Todd widziała ją w Mannamead – odmeldował przełożonemu.

– Lepiej go przesłuchać – stwierdził Droy.

Aparat na recepcji znów zaterkotał.

– Inspektorze! Do pana!

– Odbiorę i jedziemy. – Droy przyjął słuchawkę. – Inspektor Gordon Droy, słucham? – Zamilkł na długą chwilę, a na koniec rzekł: – Dziękuję, proszę się nie ruszać. Zaraz będziemy.

Maggie dotarła na umówione miejsce niemal godzinę przed czasem, więc by nie czekać na widoku, ukryła się w publicznym szalecie na przystanku po drugiej stronie ulicy. Dopiero za dziesięć dwunasta czujnie wychynęła na zewnątrz, lecz mijając stoisko prasowe obok bramy cmentarza, niemal dostała zawału na widok swojej twarzy na afiszu pod nagłówkiem krzyczącym: „Kto ją widział?” oraz informacji o pięćdziesięciofuntowej nagrodzie. Gdy po kilku sekundach odzyskała oddech, odwróciła się i odeszła ze spuszczoną głową. Oby tylko kioskarz niczego nie zauważył. Niecierpliwie zerknęła na

zegarek. Pięć minut. Rzucając niespokojne spojrzenia na boki, nadaremnie wypatrywała ciężarówkę Mike'a Foresta.

Drugą noc również spędziła w noclegowni, a w ciągu dnia kryła się po parkach. Dotąd udało jej się uniknąć groźnych konfrontacji, lecz teraz, gdy jej zdjęcie zdobiło witrynę w każdym kiosku, musiała jak najszybciej wyostać się z miasta. Gdzie ten Mike? Co robić, jeżeli nie przyjedzie? Z każdą chwilą ryzykowała, że ktoś – już nie tylko policja, lecz właściwie ktokolwiek na ulicy – mógłby ją rozpoznać. A pięćdziesiąt funtów piechotą nie chodzi, chętnych nie zabraknie. Wyteżyła wzrok, ponaglając kierowcę w duchu.

„Pokręcę się przed bramą cementarza, łatwiej będzie się ukryć jakby co”, postanowiła. Przypomniała sobie awanturę w kolejce do nocnego autobusu. Co za szczęście, że ostatecznie nim nie pojechała. Któryś z pasażerów z pewnością by zapamiętał i jako porządny obywatel zawiadomił organy ścigania. Albo ta wredna pani Dawkins ze Swana. Ona i jej podobni wydaliby własną matkę dla samej nagrody.

Nerwowo przestąpiła z nogi na nogę, gdy nagle zza zakrętu wyskoczyła dostawcza furgonetka. Maggie przebiegła przez ulicę, wymachując rękami w obawie, że Mike jej nie zauważy, lecz ku jej bezbrzeżnej uldze samochód zahamował przy krawężniku.

– Witaj, Meg! – Drzwi szoferki trzasnęły.

– Dzień dobry, jestem gotowa. Wsiadać?

– Raczej nie, pani Peterson – usłyszała tuż za plecami.

Odwróciła się, aby stanąć oko w oko z Andym Sharpem.

– Aresztuję panią pod zarzutem uprowadzenia Fredericka Shawbrooka.

Maggie wlepiła w niego martwy wzrok.

– Mój syn to Roger Peterson, a nie żaden Frederick.

– Pojedzie pani z nami. – Droy zaszedł ją z drugiej strony z kajdankami w garści.

Maggie znalazła się w potrzasku. W bezsilnej złości zwróciła wzrok na kierowcę.

– To wszystko twoja sprawa! – krzyknęła z pasją, podczas gdy inspektor skuł jej ręce na plecach.

– Uprzedziłem policję, to prawda – zgodził się mężczyzna.

– Jakim prawem, ty beczelny draniu?! Chcesz, by odebrali mi syna? Jeszcze pożałujesz!

– Zaraz się wyjaśni, czy to syn – powiedział Mike ze spokojem. – Mam w domu takiego gałgana i nie ręczę za siebie, gdyby go ktoś uprowadził.

– Dziękujemy za pańską pomoc – rzekł Droy. – Kiedy znowu będzie pan w Plymouth?

– Pojutrze.

– Proszę zajrzeć na posterunek, potrzebny będzie protokół z pana podpisem.

Andy Sharpe utkwiał w Maggie twarde spojrzenie.

– Gdzie jest Freddie?

Kobieta uniosła podbródek z pogardliwym prychnięciem, lecz zacisnęła usta.

– Co pani zrobiła z dzieckiem? – powtórzył sierżant, a wobec wyniosłego milczenia zatrzymanej wybuchnął: – Na litość boską, kobieto, tylko się pogrążasz! Gdzie Freddie?

Maggie wytrzymała jego wzrok.

– Nie znam żadnego Freddiego. Wiem tylko, gdzie jest Roger... Ale jemu nic a nic nie grozi.

– Gdzie zatem jest Roger?

– Ha! Ciekawość to pierwszy stopień do piekła – przekomarzała się Maggie tonem dziecka z piaskownicy.



– Dajmy spokój. Wyjaśnimy to na posterunku. – Inspektor machnął ręką.

Andy zagryzł zęby, obiecując sobie przyprześć ją do muru w trakcie przesłuchania. Posadził Maggie z tyłu radiowozu i ulokował się obok, podczas gdy inspektor objął kierownicę.

Na komisariacie pojęmaną zamknięto w celi, gdzie dostała jedzenie na metalowej tacy, a po dopełnieniu formalności trafiła do pokoju przesłuchań. Na wstępie odmówiła wsparcia adwokata.

– Po co? Przecież nie zrobiłam nic złego – tłumaczyła z prostotą.

– Ma pani prawo do obrońcy w swoim interesie – objaśnił inspektor, lecz Maggie uparcie powtórzyła:

– Nie potrzebuję prawnika.

– Zatem proszę usiąść. – Droy wskazał jej krzesło za stołem. – Posterunkowa Adams będzie przysłuchiwać się naszej rozmowie w roli świadka, a posterunkowy Dawes jest tu po to, by sporządzić protokół, który następnie otrzyma pani do wglądu i podpisu. Czy wciąż nie życzy sobie pani obecności prawnika?

– Niech pan pyta. Dam znak, jeżeli uznam, że potrzebuję pomocy.

– Proszę to zanotować – polecił Droy podwładnemu, kładąc papierową teczkę na stole.

Na moment zawiesił wzrok na aresztowanej, po czym zerknął w akta. Najpierw, na potrzeby protokołu, wymienił wszystkich uczestników przesłuchania i poprosił Maggie o potwierdzenie swoich danych. Wreszcie odchylił się na oparcie krzesła z rękami na piersi.

– Gdzie jest chłopczyk, którego uważa pani za Rogera Petersona?

– Nie powiem.

– Czy domniemany Roger Peterson naprawdę jest pani synem?

– Oczywiście! – odparła kobieta bez mrugnienia okiem.

– Na jakiej podstawie pani tak twierdzi?

– Skoro musicie sprawdzić, proszę bardzo. – Maggie wydobyla z kieszeni złożony dokument.

– Podejrzana przedstawiła akt urodzenia syna Margaret i Colina Petersonów, który przyszedł na świat dwudziestego dziewiątego lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego roku.

– Sam pan widzi. – Maggie zniżyła głos do dramatycznego szeptu. – Nikt więcej mi nie został na tym świecie.

– To się okaże. Co to jest? – Śledczy rozpostarł na stole papier wydobyty z teczki.

Maggie spojrzała na nagłówek i krew uciekła jej z twarzy. Po długiej chwili spytała:

– Skąd pan to ma?

– Z urzędu stanu cywilnego. Pani syn zmarł kilka godzin po narodzinach, a dokładniej trzydziestego lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego roku. Chłopiec, którego pani przetrzymuje, to nie on. Według wszelkiego prawdopodobieństwa jest to syn Very Shawbrook zamieszkałej przy Suffolk Place dwadzieścia jeden. Nie ma pani nic do powiedzenia?

– Nie.

– Sądźmy, że przez pomyłkę został sam w domu podczas nalotu w nocy dwudziestego pierwszego kwietnia bieżącego roku, a następnego dnia usłyszał go przypadkowy przechodzień, który zaalarmował pani męża, Colina Petersona. Sierżant Peterson, mimo zagrożenia, wszedł do zniszczonego budynku przy Suffolk Place dwadzieścia jeden i wyniósł niemowlę. – Inspektor urwał, lecz nie doczekawszy się reakcji podejrzanej, kontynuował wywód: – Przypuszczalnie sierżant Peterson zabrał dziecko do siebie,

czyli na Marden Road trzydzieści cztery, bez powiadomienia opieki społecznej, a gdy nazajutrz sam poniósł śmierć w ataku, pani postanowiła zatrzymać chłopca w miejsce zmarłego syna.

Maggie zgromiła go wzrokiem.

– Colin uratował mu życie i przyniósł dziecko do domu, bo w mieście panował absolutny chaos. Oczywiście, że złożył doniesienie dzień później, zanim zginął. Czekalam, aż ktoś się upomni o małego, a do tego czasu należało zapewnić mu opiekę. Zadbalam o niego lepiej niż rodzona matka, która zostawiła go na pastwę bomb! – Potoczyła wzrokiem dookoła, jakby licząc na aplauz. – Codziennie spodziewalam się pracowników opieki społecznej, aż w końcu pomyślałam, że widać nikt z jego rodziny nie ocalał. – Zmierzyła Droya hardym spojrzeniem. – Całe szczęście, że Colin nie oddał go do ośrodka, aby dzieciak tułał się po sierocińcach z chmarą innych podzrutek. Mąż wiedział, że pod moją opieką dziecko bezpiecznie przetrwa do czasu, aż znajdą się jego bliscy. Zajmowałam się nim najlepiej, jak mogłam, i dzisiaj jest moim synem, cokolwiek pan powie.

– Powiem, że to nieprawda. – Inspektor obejrzał się na funkcjonariusza w kącie, który notował każde słowo. – Nadąża pan?

– Tak jest, inspektorze.

– Trzeba się było natrudzić, aby nikt nie nabrał podejrzeń. Wysnuła pani historię o babci, nie do końca wiadomo której, ale ponieważ obie zmarły jeszcze przed urodzeniem prawdziwego Rogera, to po prostu kłamstwo. – Droy znów zrobił przerwę. – Mam przed oczami protokół z przesłuchania niejakiej Stelli Todd... – Maggie ani drgnęła – ...która to utrzymuje, że pożyczyła pani wózek i inne dziecięce drobiazgi, bo ich pani nie miała. Koledzy męża dobrowolnie wsparli panią finansowo tuż po śmierci sierżanta. Osobiście złożyłem pani kondolencje i usłyszałem wówczas z pani ust, że niemowlę to Roger Peterson. Ani razu nie skorzystała pani z okazji, by zasygnalizować wypadek mnie lub komukolwiek. Przeciwnie, zrobiła pani wszystko, aby przekonać całe otoczenie, że to pani syn. Gdy wtedy jeszcze posterunkowy Sharpe jednoznacznie zapytał, czy Colin uratował niemowlę z konkretnego budynku, zapewniła go pani w żywe oczy, że nic na ten temat nie wie. Więcej, wyraziła pani wręcz żal wobec bliskich chłopca.

– Którzy zostawili go samego w domu pod ostrzałem! – wycodziła Maggie dobitnie, jakby nie rozumiał. – Samiutkiego. Niech się najpierw nauczą odpowiedzialności. Ze mną będzie mu znacznie lepiej.

– A potem – ciągnął inspektor niewzruszonym tonem – wywiozła go pani na wieś, zrywając wszelki kontakt.

– Jak każda rozsądna matka – odparowała Maggie. – Uchroniłam go przed kolejnymi bombardowaniami.

– Wprowadziła pani w błąd panią Todd co do miejsca swojego pobytu. Miała pani mieszkać w wiejskim pubie.

– Dostałam ciekawszą ofertę. Podjęłam zatrudnienie w rezydencji Bridgerów w Martindell, gdzie miałam lepsze warunki i dom na własny użytek. Pan by się zastanawiał?

– Ale o tym już pani nie wspomniała sąsiadce, która zawsze służyła pomocą.

– To plotkara – prychnęła Maggie ze wzruszeniem ramion. – Nie miałam ochoty, by cała dzielnica rozprawiała o moich sprawach.

– A tymczasem nikomu nie powtórzyła nawet pani kłamstw. To również dzięki jej dyskrecji nie domyśliła się pani, że najemcy pani mieszkania to prawdziwa rodzina chłopca.

Kobieta wyglądała na zaskoczoną.

– Shawbrookowie nie mają z nim nic wspólnego. Gazety pisały o kim innym.

– Więc widziała pani ogłoszenie? Wiedziała, że rodzina go szuka?

Maggie przeniosła wzrok za okno. Inspektor odczekał chwilę.

– Rzeczywiście w artykułach prasowych zakradła się literówka w nazwisku, lecz mogła pani skorzystać po dacie i adresie. Gdyby pani Todd była taką plotkarą, za jaką ją pani bierze, i nie próbowała oszczędzić pani zgryzot po śmierci męża, pewnie powiedziała by więcej na temat nowych lokatorów. Próbowала pomóc jednym i drugim naraz. – Inspektor zamilkł. – Wyjechała pani przedwcześnie, prawda? Nawet nie zdążyła przekazać kluczy najemcom ani przygotować mieszkania. Jak zawsze uczynna pani Todd zrobiła to za panią. Tyle że w pośpiechu zapomniała pani o pluszowym misiu, którego mąż wziął z domu chłopca.

– Ten utyłyany wycieruch? U mnie w domu dostał piękną, nową maskotkę po... – Maggie ugryzła się w język. – Byłam pewna, że wyrzuciłam to paskudztwo.

– Są świadkowie na to, że sierżant Peterson wyniósł z domu przy Suffolk Place misia pandę z fioletową kokardką. Identyczną zabawkę znaleziono w pani piwnicy. Matka chłopca potwierdza, że to przytulanka jej syna, co dało początek dochodzeniu.

– Takich misiów jest przecież na pęczki – zachnęła się Maggie.

– Owszem – przyznał inspektor – ale ten Freddiego Shawbrooka miał przyszyte ucho, jak panda u pani w domu. To właśnie skłoniło nas do podejrzeń, że to pani porwała Freddiego Shawbrooka.

– Nikogo nie porwałam – zelektryzowała się Maggie. – Colin przyniósł dziecko do domu i tak zostało. Od tamtej pory tylko ja się nim opiekuję. Należy do mnie i mam wszelkie prawo je zatrzymać.

– Gdzie?

Maggie uśmiechnęła się chytrze.

– Sami musicie odkryć.

– Skoro tak pani woli. Lecz uprzedzam, że sędzia weźmie pod uwagę pani nastawienie. Lepiej powiedzieć teraz, gdzie jest Freddie.

– Żebyście go oddali tej wariatce?

– Pani zdanie w tej sprawie się nie liczy. Gdy tylko ustalimy pokrewieństwo, chłopiec wróci do swojej prawowitej rodziny.

– A ja? – upomniała się Maggie dziecinnie. – Zajmowałam się nim tyle czasu, a gdyby nie Colin, jego matka mogłaby dzisiaj zmieniać kwiaty na grobie!

– Miejmy nadzieję, że sędzia uwzględni to w trakcie procesu. – Inspektor zamknął teczkę.

– Procesu?

– Jest pani oskarżona o uprowadzenie dziecka i świadome ukrywanie go wbrew woli matki. – Droy spojrzął na posterunkową Adams wyprężoną przy drzwiach. – Proszę ją zabrać do celi, dopóki sąd nie wyznaczy terminu rozprawy. W akcie oskarżenia nadmienię, że sprzeciwiamy się kaucji. Niech ma, na co zasłużyła.

Policjantka zbliżyła się do Maggie.

– Proszę pozwolić ze mną – rzekła, kładąc zatrzymaną rękę na ramieniu.

Maggie podniosła się wolno i postąpiła kilka kroków, lecz przy drzwiach obejrzała się na inspektora.

– Nie dorasta pan do pięt mojemu mężowi. On i ja uratowaliśmy życie tego chłopca.

Po wyjściu obu kobiet przełożony wydał głębokie westchnienie.

– Wie, że to nie Roger, ale naprawdę myśli, że ma prawo zatrzymać cudzego syna. Gdyby się przyznała po publikacji wiadomości o poszukiwaniach, mogłaby liczyć na wdzięczność mimo braku zgłoszenia. Ale z chwilą, gdy rozmyślnie zaczęła się ukrywać, jej intencje nie pozostawiają wątpliwości.

– Jednak wciąż nie wiemy, gdzie jest Freddie – stwierdził Andy ponuro. – Musimy go znaleźć, zanim Vera dowie się o aresztowaniu. Co, do licha, mogła z nim zrobić?

– Wierzę, że go nie skrzywdziła – zawyrokował Droy. – Naprawdę kocha to dziecko. Musiała je z kimś zostawić. Co wiemy o rodzinie i przyjaciółach?

– W Plymouth chyba nie ma nikogo – odparł Andy. – Kiedyś byłaby to pani Todd, ale ta przyjaźń dobiegła końca. U niej go nie zostawiła.

– W takim razie proszę sprawdzić, czy któryś szpital lub dom opieki nie przyjął rudowłosego chłopczyka.

– Tak jest. – Andy podniósł się z miejsca.

– Możemy znów ją zapytać, lecz obawiam się, że to nie ma sensu. Chyba nie wszystko do niej w pełni dociera. Jeżeli zdecyduje się pan poinformować Shawbrooków o jej zatrzymaniu, przypominam, że nie wolno ujawniać treści przesłuchania.

Andy wątpił, by taka odpowiedź zadowolila Verę.

Pani Leason, szefowa przytułku St Crispin's w Laira, spoczęła na kanapie w salonie. Miała za sobą pracowity dzień, jak zwykle przy trzydziściorgu podopiecznych w wieku od sześciu miesięcy do trzynastu lat. Ostatnio jednak wieczorami dosłownie padała z nóg. Może czas pomyśleć o emeryturze? Choć przecież cały personel sierocińca gonił resztkami sił. W każdym razie filiżanka herbaty stała się koniecznością przed wieczornym obchodem. Sięgnęła po gazetę zwiniętą na stoliku i przez długą chwilę wpatrywała się w zdjęcie na pierwszej stronie pod nagłówkiem „Kto ją widział?”. Przebiegłszy wzrokiem całość artykułu, z gazetą pod pachą poczłapała do gabinetu wykonać telefon. Najpierw jednak przejrzała rejestr z danymi każdego wychowanka. Najnowszy przybysz nazywał się Roger Smith, urodzony 29 lipca 1940 roku, syn Margaret Smith bez stałego miejsca zamieszkania. Niewiele. Kobieta sięgnęła po dziennik, w którym notowano wszelkie, nawet najbardziej błahе wydarzenia na terenie placówki. Znalazła wzmiankę o przyjęciu Rogera oraz informację, że matka zamierza go odebrać, gdy osiedli się u siostry za miastem.

Kierowniczką westchnęła. Przypadek, jakich tysiące. W przytułkach roilo się od dzieci, których rodzice stracili dach nad głową. Przy czym pani Smith wydawała się szczególnie spięta, zostawiając syna. Nie chciała podać żadnych szczegółów na swój temat.

– Gdyby, uchowaj Boże, coś się pani stało, musimy wiedzieć, kto jest oficjalnym opiekunem.

To wyraźnie zbiło ją z tropu.

– Poza mną nikt. Ale proszę się nie obawiać. Wrócę po niego niebawem.

Kolejna samotna matka – może wdowa, choć prędzej łatwowierna ofiara uroku jakiegoś marynarza – w sytuacji bez wyjścia. Pani Leason wierzyła, że kobieta naprawdę pragnie odebrać dziecko, lecz z doświadczenia wiedziała, że rzadko się to zdarza.

Jeszcze raz pochyliła się nad zdjęciem w gazecie przed podniesieniem słuchawki.

Gordon Droy był jedną nogą w drzwiach, gdy recepcjonista wezwał go do telefonu. Przez ułamek sekundy miał ochotę odmówić. Nie można powiedzieć, aby tego dnia próżnowali. Sierżant Sharpe przypominał ducha, należało go wysłać do domu, bo i tak ledwie widzi na oczy. Przedtem jednak inspektor zdecydował się przyjąć telefon. A nuż to coś ważnego, proszono o niego po nazwisku.

– Inspektor Droy.

– Dobry wieczór. Nazywam się Martha Leason, prowadzę dom opieki St Crispin's w Laira.

– Dobry wieczór pani. W czym mogę pomóc?

– Zdaje się, że to ja mogę pomóc panu. Właśnie natrafiłam na artykuł o kobiecie podejrzanej o uprowadzenie chłopca.

– Tak? – Droy wolał nie ujawniać informacji o zatrzymaniu przed odnalezieniem dziecka.

– Dwa dni temu kobieta podobna do pani Peterson zostawiła nam syna pod opieką. Podobno straciła dom w bombardowaniach, więc zamierzała przenieść się do siostry i później wrócić po Rogera.

– Rogera? – Inspektor nie zdołał ukryć podniecenia w głosie.

– Tak, Rogera Smitha. Sądzę, że to ona.

– A dziecko jest u pani?

– Tak. Śpi na górze.

– Doskonale! – wykrzyknął śledczy. – Jutro zawiadomię jego matkę, chociaż nie będzie mogła go odebrać do czasu potwierdzenia pokrewieństwa. Czy chwilowo może go pani zatrzymać?

– Oczywiście. Ale co mam zrobić, jeżeli pani Peterson wróci?

– Nie wróci, nie ma obawy.

– Trzymam pana za słowo. Naturalnie zajmiemy się chłopcem.

– Czy mogłaby pani wprowadzić poprawkę do ksiąg? Powinien przyzwyczajając się do swojego prawdziwego imienia, czyli Freddie Shawbrook. Pozwolę sobie odwiedzić panią jutro w kwestii formalności, jeżeli można.

– Bardzo proszę. Czy pasuje panu wpół do jedenastej?

– Jak najbardziej. Dziękuję. – Inspektor odwiesił słuchawkę. – Sharpe! Idziemy na Marden Road! Vera z ojcem właśnie skończyli kolację.

– Jakies wieści po publikacji? – dopytywała dziewczyna, wciągając Andy’ego do sieni. – Przyskrzyniliście ją?

– A jak! – Funkcjonariusz promieniał. – Jest w areszcie na posterunku.

– Dobrze – syknęła Vera mściwie. – Niech zdycha z głodu i z zimna... – Urwała nagle. – A Freddie?

– Jest bezpieczny w domu dziecka w Laira – odparł Droy.

– Dlaczego? Nie mogliście przywieźć go od razu?

– Maggie Peterson zostawiła go tam dwa dni temu.

– Czemu?

– Tego się wkrótce dowiemy, najważniejsze, że nic mu nie jest – odparł Andy.

– Skąd mieliście informacje?

– Kierowniczka przytułku zobaczyła zdjęcie Maggie w gazecie i zadzwoniła na komisariat – wyjaśnił inspektor. – Twierdzi, że to na pewno Freddie, choć przyjęła go pod nazwiskiem Rogera Smitha.

Vera zerwała się z miejsca.

– Jedźmy po niego!

– Przykro mi, nie dzisiaj – sprzeciwił się Droy. – Jestem umówiony z panią Leason jutro przed południem, ale i tak wątpię, aby mogła pani zabrać go od razu.

– To mój syn!

– Wiem, kochanie. – Narzeczony wziął ją za rękę. – Jeszcze tylko trochę.

– Powinniśmy uprzedzić Mu. – David zręcznie zmienił temat. – Tak się tym przejęła.

– Wróciła dzisiaj do pracy – przypomniała Vera.

– Żaden problem – rzekł Andy. – Jeżeli nie zajrzy tutaj po dyżurze, to wracając, wstąpię do pani Dunbar.

– Na mnie pora – oświadczył inspektor. – Cieszę się, że w końcu mogliśmy przynieść państwu dobre wieści. Dam znać po spotkaniu z panią Leason, czego teraz należy oczekiwać.

– Proszę mnie wziąć ze sobą – nalegała Vera. – Muszę go zobaczyć!

W rezultacie następnego dnia cały tłum nawiedził dom dziecka. Czekając w pokoju obok, aż inspektor i kierowniczka uzupełnią dokumentację, Vera nie mogła usiedzieć. Nosiło ją od drzwi do okna i z powrotem, za każdym okrążeniem nastawiała ucha przy ścianie.

– Usiądźże, na litość boską! – David nie wytrzymał.

Córka posłuchała, lecz nie minęła chwila, a znów była przy drzwiach.

– Nie mogę, tato. Co oni tam robią tyle czasu? Kiedy w końcu oddadzą mi moją kruszynkę?

– Już niedługo – łagodził Andy.

– Niestety nie mogę wydać państwu dziecka, które pani Margaret Smith zostawiła pod moją opieką, dopóki nie otrzymam polecenia z sądu – usłyszeli, gdy pani Leason wraz z inspektorem wreszcie wyłonili się z biura.

– Ale pozwól mi pani go zobaczyć? – zląkła się Vera.

– Nie widzę przeszkód – odparła przełożona. – Proszę za mną.

Powiodła ich na klatkę schodową, a następnie na najwyższe piętro do ogromnej sali wypełnionej dziecięcymi łóżeczkami, ze specjalnym kojcem do zabawy pośrodku. Pierwsze, co ujrzeli, to mały rudzielec na poduszkach, pochłonięty robieniem hałasu przy użyciu blaszanego bębena i drewnianej łyżki.

Vera znieruchomiała z dłonią przy piersi.

– Freddie – szepnęła do Andy'ego.

Powoli zbliżyła się do kojca, na co szkrab rozjaśnił się w uśmiechu. Dziewczyna uklękła na podłodze i przez szparę między prętami wsunęła wysłużonego misia pandę z fioletową kokardką. David, dwóch policjantów oraz pani Leason patrzyli z zapartym tchem, gdy na buzi dziecka odbił się wyraz zachwytu, a stęsknione rączki złapały felerne ucho.

– Pandy!

# Epilog

Sierpień 1941 roku

**M**u siedziała w poczekalni St Crispin's u boku siostry nabuzowanej do granic. Od wielu tygodni, czekając na rozstrzygnięcie kwestii rodzicielstwa, przyjeżdżała tu niemal codziennie, ale dzisiaj wreszcie miała odebrać Freddiego

Za pierwszym razem dziewczyna spytała inspektora:

– Kiedy do mnie wróci?

– Nie od razu. Trzeba czekać na werdykt sędziego.

– Jakiego znowu sędziego?

– Należy formalnie ustalić twoje macierzyństwo w świetle prawa – wyjaśnił Andy. – Odbędzie się posiedzenie, każdy z was może zostać wezwany na świadka lub poproszony o złożenie oświadczenia. Sam do końca nie wiem, na czym to polega, ale wam powiedzą.

Vera, choć wielokrotnie uprzedzana, nie uniknęła zawodu, mimo że jej samej także zależało na oficjalnym wyroku, by nie narażać się na podobne komplikacje w przyszłości.

Gdy następnie przyjechała go odwiedzić, chłopczyk na jej widok ukrył buzię na piersi pani Leason.

Vera była zdruzgotana.

– Nie poznaje mnie! – wołała bliska płaczu.

– Potrzebuję czasu – tłumaczyła łagodnie kierowniczką. – Sporo przeszedł w swoim krótkim życiu, szczególnie w ostatnich miesiącach. Niech się do ciebie znowu przyzwyczai. Tylko go nie popędzaj, a zobaczysz, że tego, co was łączy, nie tak łatwo wymazać. We wczesnym etapie niemowlę przywiązuje się do matki za pośrednictwem zmysłów. To jej zapach, głos, dotyk przenikają do jego świadomości. Freddie zdążył wykształcić taką bliskość z tobą, zanim was rozdzielono. Tego się nie zapomina.

– A czy zapomni o niej? Nie chcę, by pamiętał jej głos ani tym bardziej zapach – uniosła się Vera.

– Będą jednymi z wielu doświadczeń, lecz nie zdążyły trwale się zapisać.

Gdy na prośbę sędziego pani Leason pozytywnie oceniła warunki w nowym mieszkaniu, nie pozostawało nic więcej, jak zabrać chłopca do domu.

– Podobno wychodzisz za mąż – napomknęła kobieta z uśmiechem. – Życzę wam dużo szczęścia. Stworzycie wspaniałą rodzinę.

Smyk był już ubrany do wyjścia, gdy wreszcie go przyniesiono. Z wyciągniętymi rączkami od razu postąpił kilka chwiejnych kroków w kierunku matki.

– Witaj, skarbie – zaszemrała Vera, biorąc go w objęcia. – Dziś wracamy do domu.

Martha Leason nie posiadała się z radości, że historia, która mogła przybrać bardzo różny obrót, zakończyła się tak pomyślnie.



Przekazała Verze dokument tożsamości oraz książeczkę żywnościową malca, a Mu sięgnęła po torbę z jego ubrankami.

– Ludziom pozbawionym domów przysługują dodatkowe kartki w razie potrzeby – przypomniała sobie kierowniczką, przenosząc spojrzenie na Mu. – Czy pani zamieszka z rodziną?

Zapytana potrząsnęła głową.

– Nie. Spodziewam się dziecka, więc planuję zrezygnować z pracy w szpitalu i dołączyć do męża w Szkocji.

Patrick był w siódmym niebie, gdy usłyszał, że zostanie ojcem.

*Najdroższa,*

*nie potrafię wyrazić, jak się cieszę! Pomyśl tylko, całkiem nowy człowiek! Skoro musisz odejść ze szpitala, przeprowadź się do Campbeltown. Znalazłem wygodną kwaterę u pani Gulliver, gdzie mógłbym pomieszkiwać w czasie powrotów na ląd. Kilkakrotnie odwiedziłem rodziców, nie mogą się doczekać, by cię poznać i zostać dziadkami. Dbaj o siebie i pamiętaj, że Kocham Was oboje jak wariat.*

*Patrick*

Mu nie zwlekała ani chwili.

*Freddie wrócił do domu, a Vera w przyszłą sobotę wychodzi za Andy'ego. Zamieszkają wszyscy razem z tatą. Nikt mnie nie potrzebuje poza tobą i naszym maleństwem. Przyjadę do Glasgow w poniedziałek po ślubie, więc daj znać pani Gulliver z wyprzedzeniem. Kochamy cię podwójnie.*

*Mu*

# Podziękowania

Powieść ta w znacznej mierze powstała podczas przymusowego zamknięcia z powodu pandemii COVID-19 latem 2020 roku. Pragnę gorąco podziękować wszystkim, którzy okazali mi wsparcie w okresach zwątpienia, a w szczególności mojej wydawczyni Rosie de Courcy, całemu zespołowi oficyny Zeus oraz mojej agentce Judith Murdoch za nieustanną pomoc i słowa otuchy.

Serdeczne podziękowania kieruję także do moich przyjaciół: dowódcy Królewskiej Marynarki Wojennej Johna McCombe'a (obecnie na emeryturze) i Dermota Flynna, dawniej związanego z siłami morskimi, którzy zgodzili się użyczyć mi swojej wiedzy i doświadczenia, gdy błędziłam wraz z Cumbrią po Atlantyku. Ich doradztwo było bezcenne, a wszelkie pomyłki przypisuję sobie.

To był dla wszystkich trudny rok i na zawsze zachowam w pamięci każdego, kto przyczynił się do stworzenia tej książki. Dziękuję Wam!

TYTUŁ ORYGINAŁU:

*The Stolen Baby*

Redaktorka prowadząca: Ewa Pustelnik

Wydawczyni: Justyna Żebrowska

Redakcja: Adrian Kyć / Rytm pisania

Korekta: Małgorzata Hayles

Projekt i opracowanie okładki: Łukasz Werpachowski

Zdjęcia na okładce: © Grispb; © julia\_arda; © Sergey Ryzhov / Stock.Adobe.com

Przedmiot

Copyright © Diney Costeloe, 2021

Copyright © 2022 for the Polish edition by Wydawnictwo KobiECE sp. z o.o.

Copyright © for the Polish translation by Anna Sauvignon, 2022

tel:691962519

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2022

ISBN 978-83-8321-078-0

Grupa Wydawnictwo KobiECE | [www.WydawnictwoKobiECE.pl](http://www.WydawnictwoKobiECE.pl)



Na zlecenie Woblink

**woblink**

[woblink.com](http://woblink.com)

plik przygotowała Anna Jakubowska